

Jerzy Żuławski

**NA SREBRNYM GLOBIE
RĘKOPIS Z KSIĘŻYCA**

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • Polska.pl • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

SPIS TREŚCI

OD AUTORA.....	3
RĘKOPISU CZĘŚĆ PIERWSZA. DZIENNIK PODRÓŻY	13
RĘKOPISU CZĘŚĆ DRUGA. NA TAMTEJ STRONIE	41
[Rozdział] I.....	41
[Rozdział] II	57
[Rozdział] III.....	72
[Rozdział] IV	84
[Rozdział] V	97
[Rozdział] VI.....	113
RĘKOPISU CZĘŚĆ TRZECIA. WŚRÓD NOWEGO	
POKOLENIA	123
[Rozdział] I.....	123
[Rozdział] II	125
[Rozdział] III.....	131
[Rozdział] IV.....	147
[Rozdział] V	153
[Rozdział] VI.....	162
[Rozdział] VII.....	173

OD AUTORA

Pięćdziesiąt lat blisko upłynęło już od owej podwójnej wyprawy, najszańszej zaiste, jaką kiedykolwiek człowiek przedsięwziął i wykonał – i cała rzecz poszła niemal w zapomnienie, gdy pewnego dnia w jednym z dzienników w K... pojawił się podpisany przez asystenta małego miejscowego obserwatorium artykuł, przypominający wszystko na nowo. Autor artykułu twierdził, że ma w ręku niewątpliwe wiadomości o losie wystrzelonych przed pięćdziesięciu laty na księżyc szaleńców. Rzecz narobiła wiele wrzawy, chociaż początkowo nie brano jej zbyt poważnie. Ci, co słyszeli lub czytali o owym nadzwyczajnym przedsięwzięciu, wiedzieli, że śmiali awanturnicy ponieśli śmierć, ruszali więc teraz ramionami na wieść, że ci, od dawna za umarłych uważani, nie tylko żyją, ale przysyłają nawet wiadomości wprost z księżycy.

Asystent mimo wszystko uporczywie obstawał przy swoim zdaniu i pokazywał ciekawym stożkową, żelazną kulę, czterdzieści centymetrów wysoką, w której miał odnaleźć rękopis na księżycu sporządzony. Misternie odkręcającą się, wewnątrz próżną kulę, pokrytą grubą warstwą rdzy i żużlu. można było oglądać i podziwiać; rękopisu jednakże asystent nikomu nie chciał pokazać. Twierdził, że są to papiery zwęglone, których treść on dopiero odczytuje za pomocą sztucznych zdjęć fotograficznych, robionych z wielkim trudem i największą ostrożnością. Ta tajemniczość wzbudzała podejrzenia, zwłaszcza że asystent do tego czasu nie powiedział, jak doszedł do posiadania kuli; ale zaciekawienie wzrastało ciągle. Czekano z pewnym niedowierzaniem przyrzeczonych wyjaśnień, a tymczasem zaczęto sobie przypominać ze współczesnych pism dzieje całej wyprawy.

I nagle zaczęli się ludzie dziwić, że mogli tak prędko zapomnieć... Wszakże w czasie owej wyprawy nie było pisma codziennego, tygodniowego lub miesięcznego, które by przez parę lat z rzędu nie poczuwało się do obowiązku poświęcenia w każdym numerze kilku szpalt temu wypadkowi, tak niesłychanemu i nieprawdopodobnemu. Przed samą wyprawą pełno było wszędzie sprawozdań ze stanu robót przygotowawczych; opisywano niemal każdą śrubę w „wagonie”, który miał przebyć międzyplanetarne przestrzenie i wysadzić śmiałych szaleńców

na powierzchnię księżycy, znaną do tego czasu jedynie ze znakomych zdjęć fotograficznych, dokonywanych od szeregu lat w „Licke-Observatory” – zajmowano się żywo wszystkimi szczegółami przedsięwzięcia; na naczelnym miejscu umieszczano portrety i życiorysy obszerne podróżników. Wiele wrzawy wywołała wieść o cofnięciu się jednego z nich w ostatniej niemal chwili, bo niespełna na dwa tygodnie przed naznaczonym terminem „odjazdu”. Ci sami, co niedawno jeszcze rzucali gromy na cały „niedorzeczny i awanturniczy” plan wyprawy, a uczestników jej nazywali wprost półgłówkami, zasługującymi jedynie na dożywotnie zamknięcie w szpitalu, oburzali się teraz na „tchórzstwo i odstępstwo” człowieka, co powiedział otwarcie, że się spodziewa mieć grób na ziemi również spokojny, a nierównie późniejszy niż jego niedoszli towarzysze na księżycu. Największe jednak zaciekawienie wywołała osoba nowego śmiałka, zgłaszającego się na opróżnione miejsce. Przypuszczano powszechnie, że go uczestnicy wyprawy nie przyjmą do swego grona, gdyż czas był już za krótki, aby nowy towarzysz mógł odbyć konieczne przedwstępne ćwiczenia, którym tamci przez kilka lat się oddawali, doszedłszy w końcu do niesłychanych wprost wyników. Opowiadano o nich, że nauczyli się znosić w lekkim odzieniu mróz czterdziestostopniowy i czterdziestostopniowe gorąco, obywać się całymi dniami bez wody i oddychać bez szkody dla zdrowia powietrzem bez porównania rzadszym od atmosfery ziemskiej na wysokich górach. Jakież tedy było zdziwienie, gdy się dowiedziano, że nowy ochotnik, przyjęty, dopełnił liczby „lunatyków”, jak ich nazywano. To tylko sprawozdawców pism doprowadzało do rozpacz, że nie mogli się dowiedzieć bliższych szczegółów o tym tajemniczym awanturniku. Mimo natarczywe nalegania nie dopuszczał do siebie reporterów, ba! nawet nie przysłał żadnemu dziennikowi fotografii ani nie odpowiadał na listowne zapytania. Inni członkowie wyprawy zachowywali również ściśle milczenie co do jego osoby. Na dwa dni dopiero przed wyruszeniem wyprawy w drogę pojawiła się wiadomość bliższa, choć nieco fantastyczna. Jednemu z dziennikarzy udało się po wielu trudach zobaczyć nowego uczestnika przedsięwzięcia i rozpuścił natychmiast wieść, że to ma być kobieta w przebraniu męskim. Nie bardzo wierzono tej pogłosce, a zresztą nie było już czasu zajmować się nią. Stanowcza chwila nadchodziła. Gorączkowe oczekiwanie zamieniło się po prostu w szaf. Okolica nad ujściem Kongo, skąd wyprawa miała „wyruszyć w drogę”, zarojła się od ludzi, przybyłych ze wszystkich części świata.

Fantastyczny pomysł Juliusza Vernego miał być nareszcie urzeczywistniony – w sto kilkanaście lat po śmierci swego autora.

Na wybrzeżu Afryki, dwadzieścia kilka kilometrów od ujścia Kongo, zionął otwór obszernej gotowej już studni z lanej stali, która miała za kilkanaście godzin wystrzelić na księżyc pierwszy pocisk z zamkniętymi w nim pięcioma śmiałkami. Osobna komisja sprawdziła jeszcze raz w pośpiechu wszystkie zawile obliczenia; zrobiono raz jeszcze przegląd zapasów i narzędzi: wszystko było w porządku, wszystko było gotowe.

Na drugi dzień na krótko przed wschodem słońca potworny huk wybuchu oznajmił światu na paręset kilometrów wokoło, że podróż rozpoczęta...

Według niezmiernie ścisłych, i dokładnych obliczeń pocisk miał pod działaniem wybuchowej siły prostopadłego rzutu. przyciągania ziemi i siły rozpędowej, nabytej przez dzienny obrót ziemi dookoła osi, zakreślić w przestworzu olbrzymią parabolę z zachodu na wschód i wszedłszy w oznaczonym punkcie i w oznaczonej godzinie w sferę przyciągania księżyca, spaść prawie pionowo na środek jego tarczy ku nam zwróconej, w okolicy *Sinus Medii*. Bieg pocisku, obserwowany z różnych punktów ziemi przez setki teleskopów, okazał się zupełnie prawidłowym. Dla patrzących pocisk zdawał się cofać na niebie w kierunku od wschodu na zachód, zrazu znacznie wolniej niż słońce, potem coraz szybciej, w miarę jak się od ziemi oddalał. Ten ruch pozorny był wynikiem obrotu ziemi, wobec którego pocisk w tyle pozostawał.

Sledzono go długo, aż wreszcie w pobliżu księżyca już i najsilniejsze teleskopy nie były zdolne go spostrzec. Mimo to łączność między zamkniętymi w pocisku awanturnikami a ziemią nie ustawała jeszcze przez pewien czas ani na chwilę. Podróżnicy obok mnóstwa innych przyrządów zabrali ze sobą znakomity aparat do telegrafii bez drutu, który według obliczeń powinien był funkcjonować nawet na odległość trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, dzielących księżyc od ziemi. Obliczenia atoli zawiodły w tym wypadku; ostatnią depeszę otrzymały stacje astronomiczne z odległości dwustu sześćdziesięciu tysięcy kilometrów. Czy to ze względu na niedostateczną siłę prądu wytwarzającego fale, czy też wadliwą budowę przyrządu, telegrafowanie na większą odległość było niemożliwe. Ale ostatnia depesza brzmiała nader zachęcająco: „Wszystko dobrze, nie ma powodu do obaw”. W sześć tygodni wysłano według umowy drugą wyprawę. Tym razem znalazło w pocisku pomieszczenie dwóch tylko ludzi: wieźli za

to ze sobą znacznie większe zapasy żywności i potrzebnych narzędzi. Aparat telegraficzny mieli znacznie silniejszy niżli poprzedni; nie było wątpliwości, że wystarczy do przesyłania wiadomości z księżycą. Atoli z księżycą depeszy już nie otrzymano. Ostatni telegram wysłali już podróżnicy z pobliza celu wyprawy, przed samym spadkiem na księżycową powierzchnię. Wiadomość była nie najpomyślniejsza. Pocisk z niewytłumaczonej przyczyny zoczył nieco z drogi i wskutek tego widocznym było, że spadnie na księżyc nie prostopadle, lecz skośnie, pod kątem dość ostrym. Ponieważ pocisk nie był zbudowany dla takiego spadku, więc podróżnicy obawiali się, czy nie poniosą śmierci przez rozbicie. Widocznie obawy się spełniły, gdyż to była ostatnia depesza.

Wobec tego zaniechano zamierzonych wypraw dalszych. Nie można się było ludzić co do losu nieszczęśliwców; po cóż było powiększać jeszcze bezużyteczne ofiary? Żal jakiś i wstyd ogarnął ludzi. Najwięksi zwolennicy „międzyplanetarnej komunikacji” przycichli teraz, a o wyprawach mówiono i pisano już tylko jako o szaleństwie, będącym wprost zbrodnią. W kilka lat wreszcie cała rzecz poszła w zapomnienie na długi przeciąg czasu.

Przypomniał ją dopiero, jak się powiedziało, artykuł nie znanego dotąd, a wkrótce głośnego asystenta w pomniejszym obserwatorium astronomicznym. Odtąd każdy tydzień przynosił coś nowego. Asystent odsłaniał powoli rąbki swej tajemnicy, a chociaż niedowiarków nigdy nie brakło, zaczęto zapatrywać się na rzecz coraz poważniej. Sensacyjna wieść rozeszła się wkrótce po całym cywilizowanym świecie. Wreszcie asystent opowiedział, w jaki sposób doszedł do posiadania cennego rękopisu i jak go odczytał, a nawet pozwolił ludziom fachowym oglądać jego zwęglone szczątki wraz z cudownymi iście orbitkami fotograficznymi.

Otóż, jak się rzecz miała z ową kulą i rękopisem:

„Pewnego dnia po południu – opowiadał asystent – gdy siedziałem zajęty notowaniem codziennych spostrzeżeń meteorologicznych, oznajmił mi służący zakładu, że jakiś młody człowiek chce ze mną mówić. Był to mój kolega i dobry przyjaciel, właściciel wioski nie opodal położonej. Widywałem go rzadko, gdyż choć mieszkał niedaleko, nieczęsto się do miasta wybierał. Zatrzymałem go tedy i uporawszy się co prędzej z robotą, wyszedłem do drugiego pokoju, gdzie mnie, jak zauważyłem, niecierpliwie oczekiwał. Zaraz po powitaniu oświadczył, że mi przynosi wiadomość, która mię ucieszy niewątpliwie. Wiedział, że od lat zajmuję się z zapalem badaniem meteorytów, przyszedł mi

tedy powiedzieć, że przed kilku dniami spadł w jego wiosce meteor znacznej, jak się zdaje, wielkości. Kamienia nie znaleziono, gdyż upadł w trzęsawisko i prawdopodobnie zagłębił się znacznie, ale jeśli go chcę mieć, on jest gotów dać mi kilku robotników dla jego wydobywania. Kamień naturalnie chciałem mieć i uwolniwszy się na parę dni z obserwatorium, pojechałem sam na miejsce w celu poszukiwań. Ale mimo niewątpliwych znaków i usilnej pracy nie mogliśmy nic znaleźć. Wydobyto tylko duży kawał obrobionego żelaziwa kształtu kuli armatniej, której obecność w tym miejscu mocno mnie zadziwiła. Zwątpiłem już o pomyślnym wyniku poszukiwań i wydałem właśnie polecenie zaprzestania dalszych robót, gdy przyjaciel zwrócił moją uwagę na ową kulę. Istotnie wyglądała zastanawiająco. Powierzchnia jej była pokryta żużlem, jaki się tworzy na żelaznych meteorytach przy rozżarzaniu się ich podczas przejścia przez atmosferę ziemską. Czyżby to ona miała być owym spadłym meteorem?

W tej chwili – nagle – błysnęła mi pierwsza myśl. Przypomniała mi się wyprawa sprzed lat pięćdziesięciu, której historię znałem dosyć dobrze. Dodać muszę, że nie podzielałem nigdy przekonania o bezwzględnej zatarenie podróżników mimo beznadziejnej treści ostatniej depeszy, jaką od nich ziemia otrzymała. Za wcześnie było jednak teraz wyjawiać domysły. zabrałem więc tylko kulę i przewiozłem z największą ostrożnością do domu. pewny niemal w duchu, że znajdę w niej cenne wskazówki o tych zaginionych. Z jej niewielkiego względnie ciężaru odgadłem zaraz, że jest wydrażona.

W domu w największej tajemnicy zabrałem się do roboty. Nie łudziłem się ani na chwilę, że jeśli się w niej znajdują jakie papiery, to musiały ulec zwęgleniu podczas rozpalania się żelaza w ziemskiej atmosferze. Należało zatem otworzyć kulę tak, aby tych przypuszczalnych szczątków nie zniszczyć, a może – myślałem – da się z nich co odcyfrować.

Praca była nadzwyczajnie ciężka, zwłaszcza że nie chciałem brać nikogo do pomocy. Przypuszczenia moje zbyt były niepewne, a nawet – przyznaję – fantastyczne, aby je można było przedwcześnie rozgłosić.

Spostrzegłem, że szczyt kuli stanowi śruba, którą należało odkręcić. Osadziłem więc kulę szczelnie w ciężkim śrubsztaku, aby ją uchronić od wstrząśnień, mogących uszkodzić jej zawartość, i zabrałem się do roboty. Śruba była zardzewiała i nie chciała odchodzić. Po długich usiłowniach nareszcie udało mi się ją poruszyć. Pamiętam, ten pierwszy

zgrzyt obracanej śruby przejął mię dreszczem radości i niepokoju zarazem. Musiałem pracę przerwać na chwilę, gdyż trzęsły mi się ręce. Powróciłem do niej po godzinie, z bijącym jeszcze sercem.

Śruba poruszała się z wolna, gdy wtem postłyszałem dziwny świst. Początkowo nie mogłem zrozumieć jego przyczyny. Prawie bezmyślnie poruszyłem śrubą w odwrotnym kierunku i świst ustał prawie natychmiast; zaledwie jednak znów nieco odkręciłem śrubę, dał się zaraz słyszeć, choć był teraz słabszy. Nareszcie pojąłem wszystko! Wnętrze kuli było całkowitą próżnią! Świst pochodził z wdzierania się powietrza do środka szczeliną przez rozluźnienie śruby utworzoną?

Ta okoliczność upewniła mnie w przekonaniu, że jeśli kula zawiera w sobie papiery, to nie będą całkiem zniszczone, gdyż brak powietrza musiał je uchronić od spalenia, gdy kula rozżarzyła się przebywając atmosferę ziemską! W parę chwil przekonałem się o słuszności tych domysłów. Po usunięciu śruby znalazłem w kuli, której wnętrze wyłożone było jeszcze warstwą wypalanej gliny, zwój papierów zwęglonych, ale nie spalonych. Nie śmiałem prawie oddychać z obawy, aby tych cennych dokumentów nie uszkodzić. Wyjąłem je z największą ostrożnością i... popadłem w rozpacz. Na zwęglonym papierze litery były prawie niewidoczne, a ponadto papier był tak kruchy, że się niemal rozsypywał w rękę.

Bądź co bądź, postanowiłem dokonać dzieła i treść rękopisu odczytać. Kilka dni zeszło mi na rozmyślanie, jak się wziąć do tego. Wreszcie uciekłem się do pomocy promieni rentgenowskich. Przypuszczałem – i jak się później okazało – słusznie, że atrament, którego użyto do pisma, zawierał składniki mineralne, a zatem zaczernione nim miejsca będą stawiały większy opór promieniom rentgenowskim niż sam zwęglony papier. Naklejałem tedy ostrożnie każdą kartę rękopisu na cienką błonę, rozpiętą w ramie, i robiłem rentgenowskie zdjęcia fotograficzne. W ten sposób otrzymałem klisze, które po przeniesieniu obrazu na papier dały mi rodzaj palimpsestów, gdzie litery, po obu stronach papieru pisane, łączyły się ze sobą. Było to trudne do odczytania, ale bynajmniej nie niemożliwe.

Za kilka tygodni postąpiłem był już tak daleko z odczytywaniem rękopisu, że nie widziałem potrzeby zachowywania dłużej całej rzeczy w tajemnicy. Wtedy to napisałem ów pierwszy artykuł, donoszący o wypadku... Dzisiaj leży przede mną cały rękopis gotowy, odczytany, uporządkowany i przepisany i nie mam zgoła wątpliwości, że został

spisany na księżycu ręką jednego z pięciu najpierw wyprawionych podróżników i wysłany z księżycyca na ziemię.

Co do reszty – treść rękopisu mówi sama za siebie”. Do tego wyjaśnienia, które poprzedziło ogłoszenie tekstu rękopisu, dodał asystent krótką historię samejże wyprawy.

Przypomniał zatem, że pierwsza myśl wyszła od irlandzkiego astronoma, (O’Tamora, a pierwszym jej zapalonym i nie wątpiącym w urzeczywistnienie zwolennikiem stał się młody, stawny podówczas w Brazylii portugalski inżynier, Piotr Varadol. Ci, pozyskawszy trzeciego towarzysza w Polaku, Janie Koreckim, który im oddał do rozporządzenia całą, dość znaczną fortunę, rozpoczęli zabiegi około urzeczywistnienia jasno już określonego planu. Przede wszystkim tedy przedstawiono szkice projektu akademiom i ciałom naukowym, a następnie wezwano pomocy fachowych powag do opracowania jego szczegółów. Myśl spotkała się z nadspodziewanym uznaniem i obudziła zapał; wkrótce nie była to już sprawa kilku ludzi, lecz całego cywilizowanego świata, który zapragnął wysłać swych przedstawicieli na księżyc celem dowiedzenia się bliższych szczegółów o tym globie. Na wniosek akademij i astronomicznych instytutów rządu pospieszyły z pomocą pieniądze, a że nie brakło i znacznych ofiar prywatnych, więc wkrótce inicjatorowie mieli do rozporządzenia kapitały, z którymi można było już nie jedno, ale kilka wypraw urządzić. Tak też postanowiono. Jak wiadomo jednak, dwie tylko z tych wypraw doszły do skutku.

Załogę pierwszego pocisku stanowić miało pięciu ludzi, w tej liczbie trzech autorowie projektu; czwartym był Anglik, lekarz Tomasz Woodbell, piątym Niemiec Braun, który wszakże cofnął się w ostatniej chwili. Na miejsce jego zgłosił się nieznajomy ochotnik.

W drugim pocisku zamknęło się dwóch braci, Francuzów, nazwiskiem Remogner.

Po tym krótkim zarysie historycznym asystent w dalszym ciągu memoriału rozwodził się obszernie nad techniczną stroną przedsięwzięcia. Opisał tedy szczegółowo zbudowanie olbrzymiej armaty w kształcie stalowej studni, mówił o budowie pocisku, który po dostaniu się na bezpowietrzną powierzchnię księżycyca można było zamienić na hermetycznie zamknięty wóz, poruszany osobnym motorem elektrycznym, opisywał przyrządy ochronne, mające podróżników zabezpieczyć od zmiążdżenia w chwili wystrzału, a następnie spadku na księżyc, wreszcie wymieniał wszystkie przedmioty, składające się na wewnętrzne urządzenie i zaopatrzenie „przenośnego pokoju”.

Księżyc nie jest światem gościnnym. Astronomowie wiedzą o tym od dawna, chociaż go znają tylko z daleka i –jednostronnie. Mimo niesłychanego udoskonalenia przyrządów optycznych w dwudziestym wieku, księżyc oparł się zwycięzko próbom przybliżenia go do ziemi za ich pomocą na taką odległość, aby można było zbadać wszystkie szczegóły jego powierzchni. Krążąc około ziemi w średniej odległości trzystu ośmdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, wydaje się w szklach o tysiąckrotnym powiększeniu odległym od niej na 384 km, co stanowi jeszcze zawsze pokaźny kawałek drogi. Silniejszych zaś szkieł nie można używać do jego badania, gdyż przy znacznie większym powiększeniu z powodu za małej przezroczystości atmosfery ziemskiej otrzymuje się obraz tak niewyraźny, że niepodobna poznać na nim nawet gór, w słabszych szklach dokładnie widocznych.

Nadto badaniu dostępna jest tytko jedna półkula księżycowego globu. Księżyc bowiem, odbywając swą drogę naokoło ziemi w dwudziestu siedmiu dniach, czterdziestu trzech minutach i jedenastu sekundach, wykonywa w tym czasie tylko jeden obrót około swej osi, tak że zwrócony jest ku ziemi zawsze tą samą stroną swej powierzchni. Zjawisko to nie jest przypadkowe. Księżyc nie jest dokładną kulą, ale zbliża się kształtem do bardzo mało wydłużonego jaja. Siła przyciągania ziemi sprawia, że jaje owo zwraca się ku niej ostrym końcem i tak krąży, jakby na uwięzi, nie mogąc się odwrócić.

Znana astronomom połowa księżycy wystarczyła jednak, aby go zdyskredytować najzupełniej w opinii ludzi, marzących o zamieszkaniu innych, niż ziemia, światów. Ta powierzchnia naszego satelity, większa co do obszaru dwa razy od Europy, przedstawia się w teleskopach jako bezwodna i pustynna wyżyna, zasiana wprost niezliczoną ilością obrączkowych gór, podobnych z kształtu do olbrzymich kraterów, nierzadko o stukilometrowej średnicy, których brzegi wznoszą się do siedmiu tysięcy metrów ponad okoliczne równiny. W północnej części zwróconej ku nam półkuli ciągnie się szereg obszernych kolistych płaszczyzn, nazwanych przez pierwszych selenografów morzami. Równiny te o stromych brzegach, utworzonych przez niebotyczne łańcuchy górskie, poprzerywane są w różnych kierunkach mnóstwem szczelin, których pochodzenie zawsze zastanawiało astronomów, zwłaszcza że na ziemi nie istnieje nic podobnego. Szczeliny te, nieraz na sto kilkadziesiąt kilometrów długie, a na parę szerokie, dochodzą głębokością do tysiąca metrów i więcej.

Jeśli sobie uprzytomnimy jeszcze, że ta powierzchnia pozbawiona jest niemal zupełnie atmosfery, że „dzień” księżycowy, trwający naszych dni czternaście, jest tam latem, podczas którego upał dochodzi do niesłychanego natężenia, a czternastodniowa noc zimą, mroźniejszą niż nasze zimy podbiegunowe, będziemy mieli obraz kraju, wcale nie zachęcającego do obrania go sobie za „stałe miejsce pobytu”. Tym więcej podziwiać trzeba poświęcenie ludzi, którzy z narażeniem własnego życia wybrali się na ten glob w tym jedynie celu, aby powiększyć zasób ludzkiej wiedzy nie ulegającymi wątpliwości wiadomościami o najbliższym ziemi ciele niebieskim.

Podróżnicy mieli zresztą zamiar przebyć tylko jak najprędzej tę niegościnną półkulę i dostać się na drugą, od ziemi odwróconą stronę księżycy, gdzie spodziewali się niebezpiecznie znaleźć znośne warunki do życia. Większość piszących o księżycu uczonych twierdzi wprawdzie, że i na tamtej stronie atmosfera jest zbyt rzadka, aby można nią oddychać; wszakże O'Tamor, opierając się na wieloletnich badaniach i obliczeniach, wnosił, że znajdzie tam powietrze o dostatecznej gęstości dla utrzymania życia, a z powietrzem wodę i roślinność, mogącą dostarczyć najlichszego bodaj pożywienia. Ci śmiali ludzie gotowi zresztą byli nawet na śmierć, byle wydrzeć przedtem gwiazdzystemu niebu bodaj jedno z tych jego tajemnic, które tak zazdrośnie ukrywa przed człowiekiem. Odwagę ich podnosiła myśl, że poświęcenie to w żadnym razie nie pozostanie bezowocnym, gdyż będą mogli spostrzeżeń swych udzielić pozostałym na ziemi ludziom przy pomocy wziętego ze sobą telegraficznego aparatu. A nuż – myśleli czasem, upojeni wielkością swego przedsięwzięcia – nuż znajdą na tamtej tajemniczej stronie księżycy raj czarodziejski i dziwny, świat nowy. zgoła odmienny od ziemskiego, a gościnnie? Marzyli wtedy o wezwaniu nowych towarzyszy do przebycia owych setek tysięcy kilometrów, o założeniu tam, na tej jasnej, ziemi w ciche noce świecącej kuli, nowego społeczeństwa, nowej ludzkości, szczęśliwszej... może... Tymczasem trzeba się było liczyć z koniecznością przebycia górzystej, bezpowietrznej i bezwodnej pustynnej wyżyny, zajmującej całą ku ziemi zwróconą półkulę księżycy. Nie było to drobnostką. Obwód księżycy wynosi blisko jedenaście tysięcy kilometrów, gdyby zatem upadli, jak się spodziewali, na środek ku ziemi zwróconej tarczy, mieliby do zrobienia około trzech co najmniej tysięcy kilometrów, nimby się dostali w okolice, gdzie mieli nadzieję móc oddychać i żyć. Pocisk – kształtu wydłużonego, z jednej strony stożkowe zakończonego cylindra – był

też odpowiednio urządzony, aby go można zamienić na pewien rodzaj zamkniętego samochodu, i zaopatrzone obficie w zapasy zgęszczonego powietrza, wody, żywności i paliwa, mogące wystarczyć dla pięciu osób na cały rok, to jest nawet na dłużej, niż potrzeba dla dostania się na odwrotną stronę księżycy.

Oprócz tego wzięli z sobą podróżnicy znaczną liczbę różnych narzędzi, małą biblioteczkę i... sukę z dwojgiem szczeniąt.

Była to piękna i wielka angielska wyżlica, należąca do Tomasza Woodbella, którą przed puszczeniem się w drogę ochrzczono zgodnie mianem Seleny.

Te wszystkie rzeczy przypomniał szczegółowo memoriał asystenta w K..., mający służyć za objaśnienie do wydanego wkrótce potem rękopisu.

Rękopis sam, spisany po polsku na księżycu przez Jana Koreckiego, uczestnika pierwszej wyprawy, składał się z trzech części, powstałych w różnych czasach, a wiążących się ze sobą w organiczną całość, stanowiącą opowieść o przedziwnych losach i przejściach rozbitka wyrzuconego na ląd zawieszony w błękitnie trzysta ośmdziesiąt cztery miliony metrów ponad ziemią.

A oto przedruk dosłowny owego rękopisu według pierwszego wydania, sporządzonego przez asystenta obserwatorium w K...

REKOPISU CZĘŚĆ PIERWSZA.

DZIENNIK PODRÓŻY

Na Księżycu, dnia...

Mój Boże! jakąż ja datę mam położyć?! Ów wybuch potworny, któremu kazaliśmy się wyrzucić z Ziemi, rozsadził nam rzecz uważaną tam za najtrwalszą ze wszystkiego, co istnieje, rozsadził nam i popsuł czas. W istocie to jest okropne! pomyśleć tylko, że tu, gdzie jesteśmy, nie ma lat, nie ma miesięcy ani dni, naszych krótkich, rozkosznych, ziemskich dni... Zegarek mi mówi, że upłynęło już z górą czterdzieści godzin od chwili, kiedyśmy tu spadli: spadliśmy w nocy, a słońce jeszcze nie wzeszło. Spodziewamy się je ujrzeć dopiero za dwadzieścia kilka godzin. Wzjedzie i pójdzie po niebie leniwie, dwadzieścia dziewięć razy wolniej niż tam, na Ziemi. Trzysta pięćdziesiąt cztery godzin będzie świecić nad naszymi głowami, a potem przyjdzie znowu noc, trwająca trzysta pięćdziesiąt cztery godzin. Po nocy znów dzień, taki sam, jak poprzedni, i znowu noc, i znów dzień – i tak bez końca, bez odmiany, bez pór roku, bez lat, bez miesięcy...

Jeśli dożyjemy...

Siedzimy beczynnienie, zamknięci w naszym pocisku, i czekamy słońca. O! ta straszna tęsknota za słońcem!

Noc wprawdzie jest jasna Jaśniejsza bez porównania od naszych – tam – ziemskich nocy podczas pełni. Olbrzymi półkrąg Ziemi tkwi nad nami nieruchomie w czarnym niebie u zenitu i zalewa białym światłem tę pustkę straszliwą wokół nas... W tym dziwnym świetle jest wszystko takie tajemnicze i martwe... I mróz... Oh! jaki straszny mróz! – Słońca! słońca!

O'Tamor od chwili upadku nie odzyskał jeszcze przytomności. Woodbell, choć sam pokaleczony, nie odstępował go ani na chwilę. Obawia się, że to jest wstrząśnienie mózgu, i bardzo mało robi nadziei. Na Ziemi – powiada – wyleczyłby go. Ale tutaj w tym ohydnych mrozie, tu, gdzie za jedyne niemal pożywienie mamy zapas sztucznego białka i cukru, gdzie musimy oszczędzać powietrza i wody... To by

było straszne! stracić O'Tamora, właśnie jego, który jest duszą naszej wyprawy!...

Ja, Varadol i Marta, a nawet Selena z obojgiem szczeniąt, jesteśmy zdrowi. Marta zdaje się nic nie wiedzieć i nie czuć. Wodzi tytko oczyma za Woodbellem, zaniepokojona jego ranami. Szczęśliwy Tomasz! Jak go ta kobieta kocha!

Oh! ten mróz! Zdaje się, że nasz pocisk zamknięty zamienia się wraz z nami w bryłę lodu. Pióro wysuwa mi się ze zgrabiących palców. O, kiedyż nareszcie wzejdzie słońce!

Tejże nocy w 27 godzin później.

Z O'Tamorem coraz gorzej, nie można się łudzić – to jest już agonia. Tomasz, czuwając nad nim, zapomniał o własnych ranach i sam teraz tak osłabł, że się musiał położyć: Marta zastępuje go przy chorym. Skąd ta kobieta bierze tyle sił? Odkąd się otrząsnęła z pierwszego oszołomienia po spadku, jest najczynniejsza z nas wszystkich. Zdaje mi się, że jeszcze nie spała.

Ach! ten mróz...

Varadol siedzi osowiały i milczący. Na kolanach jego zwinięta w kłębek Selena. On mówi, że im tak cieplej obojgu. Szczenięta położyliśmy w łóżku obok Tomasza.

Próbowałem spać, ale nie mogę. Mróz mi spać nie daje i to upiorne światło Ziemi nad nami. Już tylko mało co więcej nad pół tarczy jej widać. Znak to, że słońce wzejdzie niebawem. Nie umiemy dokładnie obliczyć, kiedy to nastąpi, gdyż nie wiemy, w którym punkcie tarczy Księżyca się znajdujemy. O'Tamor byłby to z łatwością obliczył ze stanu gwiazd, ale on leży bezprzytomny. Będzie się musiał Varadol w jego zastępstwie wziąć do tej roboty. Nie wiem, dlaczego z tym zwleka.

Powinniśmy byli według obliczenia spaść na *Sinus Medii*, ale Bóg jeden wie, gdzie się istotnie znajdujemy. Na *Sinus Medii* powinno być już słońce świecić o tej porze. Widocznie spadliśmy dalej ku „wschodowi” – jak na Ziemi tę stronę Księżyca nazywają, gdzie dla nas będzie słońce zachodziło – niezbyt jednak daleko od środka księżycowej tarczy, gdyż Ziemia jest nad nami niemal w zenicie.

Tyle nowych, dziwnych wrażeń odbieram zewsząd, że ich nie mogę zebrać ani uporządkować. Przede wszystkim to niesłychane, wprost strachem przejmujące uczucie lekkości... Wiedzieliśmy na Ziemi, że

Księżyc, czterdzieści dziewięć razy od niej mniejszy, a ośmdziesiąt jeden razy lżejszy, będzie nas przyciągał sześć razy słabiej, choć się bliżej jego środka ciężkości znajdujemy; ale co innego jest wiedzieć o czymś, a co innego czuć. Jesteśmy już blisko siedmdziesiąt godzin na Księżycu i nie możemy się jeszcze przyzwyczaić do tego. Nie umiemy zastosować wysiłku naszych mięśni do zmniejszonej wagi przedmiotów, ba! nawet własnego ciała. Powstaję szybko ze siedzenia i podskakuję blisko na metr w górę, mimo że się chciałem tylko podnieść. Varadol chciał przed kilku godzinami zgiąć hak z grubego drutu, przymocowany do ściany naszego domu. Chwycił go dłonią – i podniósł się cały w górę na dłoni! Zapomniał, że waży teraz zamiast siedmdziesięciu kilku, tylko niespełna trzynaście kilogramów! Co chwilę któryś z nas rzuca gwałtownie przedmiotami, chcąc je tylko przesunąć. Wbicie gwoździa staje się rzeczą prawie niemożliwą wobec tego, że młotek, ważący na ziemi dwa funty, waży tutaj zaledwie sto siedmdziesiąt parę gramów! Pióra, którym piszę, nie czuję prawie w ręku.

Marta powiedziała przed chwilą, że ma wrażenie, jakby się już stała duchem, pozbawionym wazkiego ciała. To jest bardzo dobre określenie. W istocie jest coś nieswojskiego w tym uczuciu dziwnej lekkości... Można by naprawdę uwierzyć, że się jest duchem, zwłaszcza wobec widoku Ziemi świecącej na niebie jak Księżyc – tylko czternaście razy większy i jaśniejszy od tego, który ziemskie noce rozjaśnia. Wiem, że to wszystko prawda, a wciąż mi się zdaje, że śnię lub znajduję się w gmachu opery na jakiejś dziwnej feerii. Lada chwila – myślę – spadnie kurtyna i te dekoracje się zwiną jak sen...

I o tym przecież wiedzieliśmy dobrze przed wyruszeniem w drogę, że tak Ziemia będzie świecić nad nami, jak olbrzymia, nieruchoma lampa zawieszona wśród nieba. Ciągle powtarzam sobie, że to rzecz tak prosta: Księżyc odbywa swoją drogę zwrócony ku Ziemi wciąż jedną stroną, a więc ona musi się wydawać nieruchomą patrzącym na nią z Księżycza. Tak, to jest rzecz naturalna, a przecież straszy mnie ten świecący szklany upiór Ziemi, wpatrujący się w nas od siedmdziesięciu godzin nieruchomie i uporczywie z samego zenitu!

Widzę ją przez szybę w zwróconej ku górze ścianie pocisku i rozróżniam gołym okiem ciemniejsze plamy mórz i rozjarzone tarcze lądów. Przesuwają się przede mną z wolna, wyłaniają się po kolei z cienia: Azja, Europa, Ameryka – zwiężają się na krawędzi świetlistego globu i zachodzą, aby znów po dwudziestu czterech godzinach się ukazać,

Tak mi się zdaje, że cała Ziemia zamieniła się w oko rozwarte, bezlitosne i czujne i wpatruje się uporczywie a ze zdziwieniem w nas, którzyśmy od niej uciekli z ciałem – pierwsi ze wszystkich jej dzieci.

W pierwszej chwili po upadku, gdyśmy nieco oprzytomnieli i odśrubowali żelazne pokrywy, zasłaniające okrągłe szyby naszego domku, zobaczyliśmy ją już nad sobą. Była niemal w pełni. Wtedy podobna była do oka szeroko w osłupieniu rozwartego; teraz z wolna zasuwa się na tę straszłą, nieruchomą źrenicę powieka cienia. W chwili kiedy słońce, nie poprzedzone świtem, wybuchnie zza skał jak płomienna i bezpromienna kula na czarnym niebie, już się to oko zmruży do połowy, a zamknie się całkiem, gdy słońce stanie prostopadle nad nami.

W trzy godziny później.

Odwołany do O'Tamora, przerwałem to pisanie, którym zapełniam długie godziny, z konieczności beczynnym spędzane.

Z tą straszną ostatecznością nigdyśmy się nie liczyli, że możemy zostać sami bez niego. Byliśmy przygotowani na śmierć, ale na własną, nigdy na jego śmierć! A tu nie ma ratunku... Tomasz też leży w gorączce i miast chorym się opiekować, sam wymaga opieki. Marta nie odstępowała ich ani na chwilę, zwracając się to do jednego, to do drugiego, a my z Piotrem stoimy bezradni i nie wiemy, co począć.

O'Tamor nie odzyskał przytomności i już jej nie odzyska. Sześćdziesiąt lat z górą przeżył na Ziemi, aby tu...

Nie, nie! nie mogę tego słowa wymówić! To jest straszne! on! na samym wstępie!...

Jesteśmy tu tak okropnie sami w tej długiej, strasznym mrozem przejmującej nas nocy.

Przed paru godzinami Marta, jakby przejęta nagle tym uczuciem bezbrzeżnej pustki i samotności, rzuciła się ku nam ze złożonymi rękami, wołając:

– Na Ziemię! na Ziemię! – i zaczęła płakać. A potem znowu wołała:

– Czemu nie telegrafujecie na Ziemię! czemu nie dacie tam znać? Patrzcie, Tomasz chory!

Biedna dziewczyna! – cóżemy jej mieli odpowiedzieć?

Wie równie dobrze, jak my, że już na sto dwadzieścia kilka milionów metrów przed Księżycem aparat nasz przestał funkcjonować... Wreszcie Piotr jej to przypomniał, a ona, jak gdyby przesłanie wiado-

mości mogło chorych uratować, zaczęła się domagać natarczywie, aby ustawić armatę, którąśmy wzięli z Ziemi na wypadek zepsucia się telegraficznego aparatu.

Ten strzał, to już teraz jedyny – ostatni sposób porozumienia się z tymi, co tam zostali.

Ulegliśmy obaj z Varadolem i odważyliśmy się na wyjście z pocisku.

Przyznaję, że strach mię zdejmował przed tym krokiem. Tam poza chroniącymi nas ścianami istotnie jest niemal próżnia... Barometr bowiem wykazuje istnienie na zewnątrz nas atmosfery, której gęstość nie wynosi ani trzechsetnej części gęstości ziemskiego powietrza. Okoliczność, że ta atmosfera w ogóle istnieje, chociaż w takim rozrzedzeniu, jest dla nas nader pomyślna, gdyż pozwala nam spodziewać się, że znajdziemy ją na tamtej stronie w dostatecznej do oddychania gęstości. Ach! z jakimż drzeniem serca wysuwaliśmy przed kilkudziesięciu godzinami po raz pierwszy barometr na zewnątrz! Z początku rtec tak gwałtownie spadła, iż zdawało się nam, że się zrównała zupełnie z powierzchnią. Ogromny, zimny przestрах ścisnął nas za gardło: to by znaczyło – próżnia absolutna, a z nią śmierć nieuchronna! Ale za chwilę rtec, powróciwszy do równowagi, podniosła się w rurce na 2,3 mm! Odetchnęliśmy swobodniej – choć tym powietrzem tam oddychać nie można!

I mieliśmy teraz wyjść dla ustawienia armaty w tę próżnię! Włożywszy nasze „nurkowe ubrania” i umocowawszy nad karkiem zbiorniki ze zgęszczonym powietrzem na zapas, stanęliśmy gotowi we wgłębieniu znajdującym się w ścianie pocisku. Marta zamknęła za nami szczelnie drzwi od wnętrza, aby wraz z nami nie uciekło stamtąd tak cenne dla nas powietrze, a wtedy myśmy otworzyli zewnętrzną klapę...

Dotknęliśmy stopami księżycowego gruntu i w tejże chwili ogarnęła nas straszliwa głusza. Widziałem przez szklaną maskę na twarzy, że Piotr porusza ustami, domyślałem się, że mówi, ale nie słyszałem ani słowa. Tam powietrze jest zbyt rzadkie, aby mogło głos ludzki przewodzić.

Podniosłem odłam kamienia i rzuciłem go pod nogi. Upadł wolno, wolniej niż na Ziemi i zgoła bez stuku. Zatoczyłem się jak pijany; zdawało mi się, że jestem już rzeczywiście w świecie duchów.

Musielśmy się porozumiewać na migi. Ziemia, która nas żywiła, teraz świecąc pomagała się nam porozumieć.

Wyjeliśmy armatę, umieszczoną w schowku w ścianie, otwieranym na zewnątrz, i puszkę z materiałem wybuchowym, osobno dla niej przyrządzonym. Ta robota poszła nam łatwo; wszak armata waży tutaj zaledwie szóstą część tego, co ważyła na Ziemi!

Teraz należało tylko ustawione działo dokładnie do pionu nabić, umieściwszy w wydrążonej kuli kartkę; wobec lekkości materiałów na Księżycu – siła wybuchu wystarczy w zupełności, aby zanieść ją po prostej linii na Ziemię. Ale tego nie potrafiliśmy już zrobić. Potworny, ohydny, straszliwy mróz ścisnął nas żelaznymi szponami za piersi. Wszak tu od trzystu kilkudziesięciu godzin słońce już nie świeciło, a nie ma dość gęstej atmosfery, aby mogła przez tak długi czas utrzymać ciepło rozpalonych zapewne w długim dniu kamieni...

Powróciliśmy do pocisku, który się nam wydał rozkosznym, ciepłym rajem, choć tak oszczędzamy paliwa!

Przed wschodem słońca, które ten świat ogrzeje, niepodobna ponawiać próby wyjścia. A tego słońca jak nie ma, tak nie ma!

Kiedyż nareszcie się zjawi i co nam przyniesie?

70 godzin 46 minut po przybyciu na Księżyc.

O'Tamor umarł.

Pierwszego dnia księżycowego, 3 godziny po wschodzie słońca.

Jest nas już tylko czworo. Za chwilę puszczamy się w drogę. Wszystko gotowe: pocisk nasz po przymocowaniu kół i ustawieniu motoru zamienił się w wóz, który nas powiezie przez te pustynie ku krajowi, gdzie będzie można żyć... O'Tamor tu zostanie...

Uciekliśmy od Ziemi, ale śmierć, wielka władczyni ziemskich plemion, przebyta wraz z nami te przestrzenie i oto przypomniała się zaraz na wstępie, że jest przy nas – nielitosna, zwycięska jak zawsze. Uczuliśmy jej obecność i bliskość, i wszechwładztwo tak żywo, jak nigdy tam na Ziemi. Spoglądamy mimo woli po sobie: na kogo teraz kolej?...

Noc jeszcze była, gdy nagle Selena zerwała się z kąta, gdzie w kłębek zwinięta leżała od paru godzin, i wyciągnąwszy pysk ku świecącemu przez okno półksiężycowi Ziemi, zaczęła wyć przeraźliwie. Podskoczyliśmy wszyscy, jakby podrzuceni jakąś wewnętrzną siłą.

– Śmierć idzie! – krzyknęła Marta. A Woodbell, który czując się zdrowszym, stał znowu przy łóżku O’Tamora, odwrócił się ku nam powoli:

– Już przyszła – rzekł.

Wynieśliśmy trupa z pocisku. W tym skalistym gruncie niepodobna wykopać grobu. Księżyc nie chce przyjąć naszych umarłych, jakże przyjmie nas żywych?

Ułożyliśmy tedy zwłoki na wznak na tej twardej księżycowej skale, twarzą ku niebu i świecącej na nim Ziemi, i poczęliśmy gromadzić z rzadka rozsypane po płaszczyźnie kamienie, aby z nich ułożyć mogiłę. Otoczyliśmy ciało niewysokim wałem, nie mogliśmy jednak znaleźć dość dużej płyty kamiennej, aby je przykryć. Wtedy Piotr przez rurę, łączącą nasze głowy i umożliwiającą porozumiewanie się, rzekł:

– Zostawmy go tak... Czy nie widzisz, że patrzy na Ziemię?

Spojrzałem na trupa. Leżał na wznak i zdawał się istotnie szklisty-mi, rozwartymi oczyma wpatrywać w to oko Ziemi, mrużące się ciągle, ciągle przed blaskiem dla nas jeszcze niewidocznego słońca, które miało wzejść niebawem.

Niech tak zostanie...

Z dwóch sztab żelaznych, ułamków potrzaskanego rusztowania, które nas uchroniło od rozbicia się podczas spadku, zrobiliśmy krzyż i umocowaliśmy go w wale kamiennym nad głową O’Tamora.

Wtem – gdy właśnie ukończywszy smutną robotę, mieliśmy wracać do pocisku – stało się coś dziwnego. Szczyty gór, majaczące przed nami w trupim świetle Ziemi, nagle, bez żadnego przejścia, na jedno mgnienie oka stały się krwawo-czerwone, a potem zaraz rozplonęły białym, jarzącym blaskiem na tle wciąż jednakowo czarnego nieba. Podnóża gór, przez kontrast oświetlenia poczerniawszy teraz zupełnie, były prawie niewidoczne i tylko te cyple najwyższe, jak w ogniu do białości rozżarzona stal, wisały nad nami, powiększając się z wolna, lecz ciągle. Z powodu braku perspektywy powietrznej, umożliwiającej na Ziemi ocenienie odległości, te jasne plamy zdawały się wisieć na tle czarnego nieba wśród gwiazd tuż przed naszymi głowami, oderwane od podstawy skalistej, która w szarości się zgubiła. Nie śmieliśmy ręki wyciągnąć w obawie, aby nie natknąć palcami na te kawały żywego światła.

A one rosły wciąż przed naszymi oczyma, co sprawiało wrażenie, jakby zbliżały się do nas wolnym, nieubłaganym ruchem; mieliśmy ich już pełne oczy, już, zda się, były tuż, tuż przed nami... Cofnęliśmy się

mimo woli, zapominając, że te szczyty są od nas o setki, a może tysiące metrów odległe.

Wtem Piotr obejrzał się i krzyknął. Odwróciłem głowę za jego przykładem i – osłupiałem, uderzony nowym a niesłychanym widowiskiem na wschodzie.

Nad czarną piłą jakiegoś grzbietu górskiego iskrzył się bladawy, srebrzysty słup światła zodiakalnego. Patrzyliśmy w nie, zapomniawszy na chwilę o zmarłym, gdy wtem po pewnym czasie zaczęły u dołu słupa, tuż nad krawędzią widnokregu, błyskać drobne, ruchliwe, skaczące czerwone płomyki, wiankiem obok siebie ułożone.

To słońce wschodziło! z utęsknieniem oczekiwane, upragnione, życiodajne słońce, którego O’Tamor tu już nie zobaczy!

Rozplakaliśmy się obaj, jak dzieci.

W tej chwili to słońce świeci już nad horyzontem, jasne i białe. Owe, naprzód widziane, płomyki czerwone, to były protuberancje, olbrzymie wytryski żarzących się gazów, które strzelają na wszystkie strony z kuli słonecznej, a na Ziemi, gdzie atmosfera je załsniewa, widoczne bywają tylko podczas całkowitych zaćmień słońca. Tutaj – wobec braku powietrza –zapowiedziały nam ukazanie się tarczy słonecznej i przez długi czas jeszcze co dnia je tak będą zapowiadać, rzucając na chwilę krwawy odbłask na góry, nim się rozjarzą do białą w pełnym blasku dziennym.

Po kilkudziesięciu minutach dopiero na miejscu ruchliwego wianka czerwonych ogników, kiedy już blask spełznął ze szczytów tu w dolinę, biały rąbek tarczy słonecznej ukazał się nam nad widnokregiem; godziny całej potrzebowała ta tarcza, aby się wyłonić całkowicie zza tych skał na wschodzie.

Przez cały ten czas mimo okropnego mrozu zajmowaliśmy się przygotowaniem do podróży. Ale istotnie każda chwila jest droga; dłużej zwlekać niepodobna. Teraz już wszystko gotowe.

Ze wschodem słońca zrobiło się cieplej. Promienie jego, choć tak ukośnie jeszcze padają, grzeją całą mocą, nie osłabione przez pochłaniającą atmosferę, jak to jest na Ziemi. Dziwny widok...

Słońce płonie jak jasna, bezpromienna kula, położona na górach jakby na olbrzymiej, czarnej poduszce. Dwie są tutaj tylko barwy, męczące kontrastem oko nad wszelki wyraz: biała i czarna. Niebo jest czarne i mimo że zrobił się już dzień, zasiane niezliczonym mnóstwem gwiazd: wokoło nas krajobraz pusty, dziki, przestraszający – bez złagodzeń światła, bez półcieni, w połowie lśniącobiały od sło-

niecznego blasku, w połowie zaś zupełnie czarny w cieniu. Nie ma tu atmosfery, która tam na Ziemi nadaje niebu tę cudowną, błękitną barwę, a sama, światłem przesycona, roztopia w sobie gwiazdy przed wschodem słońca i stwarza świty i zmierzchy, różowi się zorzą i zasępia chmurami, przepasuje się tęczą i powoduje delikatne przejścia od światła do mroku.

Nie! stanowczo oczy nasze nie są stworzone do tego światła i tego krajobrazu.

Znajdujemy się na rozległej równinie z litej skały, porysowanej tu i ówdzie niewielkimi szczelinami i powydymanej w obłe, niewysokie, podłużne garby, ciągnące się w kierunku północno-zachodnim. Na zachodzie (wschód i zachód naszego świata oznacza zgodnie z istotnym stanem rzeczy, a więc przeciwnie, niż to widzimy na ziemskich mapach Księżyca), na zachodzie tedy widać niewielkie, ale nadzwyczajnie strome wzgórza, nad którymi w północno-zachodniej stronie króluje niebotyczna, poszarpana piła jakiegoś szczytu. Od północy grunt wznosi się powoli, do znacznej jednak, jak się zdaje, wysokości. Na wschodzie mnóstwo szczelin, garbów, wyrw i małych kotlinek, podobnych do dołków sztucznie wygrzebanych; ku południu rozciąga się nieprzejrzana okiem płaszczyna.

Varadol utrzymuje na podstawie pospiesznie dokonanych pomiarów wysokości Ziemi na niebie, że znajdujemy się istotnie na *Sinus Medii*, gdzieśmy według obliczeń spaść byli powinni. Mnie się to jakoś nie zdaje, gdyż szczyty, okalające od zachodu i północy ową płaszczynę, znane z map: *Mosting*, *Sommering*, *Schroter*, *Bode* i *Pallas*, nie odpowiadają ani rozmieszczeniem, ani wysokością temu, co tu widzimy. Ale ostatecznie wszystko jedno! Ruszamy ku zachodowi, aby posuwając się wzdłuż równika, gdzie według map grunt zdaje się być najrówniejszym, okrążyć kulę księżycową i dostać się na tamtą stronę.

Za chwilę-nic tu już z nas nie pozostanie, kromia grobu i krzyża, oznaczającego po wieczne czasy miejsce, gdzie pierwsi ludzie wylądowali na Księżycu.

Żegnaj mi więc, grobie towarzysza, pierwsza budowlo, jakąśmy wzniesli na tym nowym świecie! Żegnaj, martwy przyjacielu, ojciec nasz drogi i niedobry, któryś nas wywiódł ze Ziemi i opuścił na wstępie do nowego życia! Oto krzyż, zatknięty na twojej mogile, jest jakby sztandarem, świadczącym, że Śmierć zwycięska, przybywszy z nami, wzięła już ten kraj w posiadanie... My uciekamy przed nią, ty tu z nią zostaniesz, spokojniejszy od nas, zapatrzony w nieruchomą Ziemię,

która cię zrodziła, z krzyżem nad głową, którego wiernym byłeś wyznawcą!

*Pierwszego dnia księżycowego, 197 godzin po wsch.
słońca. Mare Imbrium, 77° zach. dł., 77°27' pn. szer.
księżycowej.*

Nareszcie mogę zebrać myśli! Co za straszliwy, bezlitośnie długi dzień, co za straszliwe słońce, zionące ogniem blisko od dwustu godzin z tego bezdennego, czarnego nieba! Dwadzieścia godzin upłynęło już od południa, a ono stoi jeszcze prawie prostopadle nad naszymi głowami wśród tumanu nie przyćmionych gwiazd, obok czarnego kręgu Ziemi w nowiu, obrąbionego płomienną obrączką nasyczonej światłem atmosfery. Dziwne jest to niebo nad nami! Wszystko się dokoła nas zmieniło i tylko konstelacje gwiazd są te same, któreśmy ze Ziemi widzieli, ale tu, gdzie powietrze wzrokowi nie przeszkadza, widno tych gwiazd bez porównania więcej. Cały firmament zdaje się być zasianym nimi jak piaskiem. Gwiazdy podwójne błyszczą jak kolorowe punkty, zielone, czerwone lub sine, nie zlewając się w kolor biały, jak na Ziemi. Przy tym tu niebo, pozbawione barwnego tła powietrza, nie jest gładką wydrążoną kopułą; czuje się owszem jego głębię niezmierną; nie potrzeba obliczeń, aby poznać, która gwiazda jest dalej, a która bliżej. Patrząc na Wielki Wóz, czuję olbrzymie odsunięcie w głąb niektórych jego gwiazd w porównaniu z innymi, bliższymi, podczas gdy na Ziemi wyglądał jak siedm ćwieków, wbitych w gładki strop. Droga Mleczna nie jest tu smugą, lecz bryłowatym węzłem, wijącym się przez czarne otchłanie. Mam takie wrażenie, jakbym spojrział na niebo przez stereoskop jakiś cudowny.

A co najdziwniejsza, to słońce wśród gwiazd, płomienne, straszne, a nie zaćmiewające ani najlichszego ze światel niebieskich...

Upał jest straszliwy; skały, zda się, wkrótce zaczną topnieć i rozpływać się, jak lód na naszych rzekach w piękne dni marcowe. Tyle godzin tęskniliśmy do słońca i ciepła, a teraz musieliśmy uciec przed nim, aby zachować życie. Stoimy od kilkunastu godzin na dnie głębokiej szczeliny, ciągnącej się od stóp poszarpanych turni *Eratosthenesa* wzdłuż *Apeninu* w głąb *Morza Dżdżów*. Tutaj dopiero, tysiąc metrów pod powierzchnią, znaleźliśmy cień i trochę chłodu...

Ukrywszy się tu, spaliśmy, obezwładnieni znużeniem, przez kilkanaście godzin bez przerwy. Zdawało mi się we śnie, że jestem jeszcze

na Ziemi, w jakichś gajach zielonych i chłodnych, gdzie po świeżej murawie szemrał rozlany przezczysty potok. Po błękitnym niebie szły białe obłoki, słyszałem śpiew ptaków i brzęczenie owadów, i głos ludzi wracających z pola.

Obudziło mnie szczekanie Seleny, dopominającej się jadła.

Otwarłem oczy, ale rozmarzony snem, nie mogłem długo pojąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, i co znaczy ten zamknięty wóz, w którym się znajdujemy, co znaczą te skały wokoło, puste i dzikie? Zrozumiałem nareszcie wszystko i niewysłowny żal chwycił mnie za piersi. Selena tymczasem, widząc, że już nie śpię, przysłała do mnie i położywszy pysk na moich kolanach, poczęła się we mnie wpatrywać swymi rozumnymi oczyma. Zdawało mi się, że widzę w tym wzroku jakiś niemy wyrzut... Pogłaskałem ją w milczeniu po głowie, a ona zaczęła skomleć żałośnie, oglądając się na szczenięta, igrające swobodnie w kącie wozu. Te szczenięta. Zagraj i Leda, to jedyne istoty, które tutaj są wesołe.

A prawda! czasem jeszcze i Marta jest wesoła jak małe zwierzątko, ale to tylko wtedy, gdy Woodbell, wciąż niedomagający, wyciąga rękę, aby dotknąć jej ogromnych i bujnych, ciemnobrunatnych włosów. Wtedy jej smągła twarz rozjaśnia się uśmiechem, a duże jej czarne oczy płoną bezbrzeżną miłością, wpatrzone w twarz kochanka, taką męską i piękną jeszcze do niedawna, a teraz zwiędłą i strawioną przez gorączkę. Robi wszystko, aby go rozweselić, aby mu każdym ruchem, każdym spojrzeniem powiedzieć, że go kocha i przy nim jest szczęśliwa nawet tu, gdzie tak trudno być szczęśliwym. Nie mogę się powstrzymać od bolesnej zazdrości, gdy widzę, jak ona pełne, wiśniowe i takie namiętne usta przesuwają po jego wychudłej ręce, szyi i twarzy, jak całuje powieki jego zimnych stalowych oczu, a potem, wzięwszy jego głowę w dłonie, tuli ją jak małe dziecko do piersi o nieskazitelnych liniach i śpiewa mu dziwne, dla nas niezrozumiałe pieśni. Słyszał je pewnie z tych samych tak gorąco całujących ust tam, w jej rodzinnym kraju, na Malabarskim Wybrzeżu i teraz, gdy je słyszy, śnić mu się muszą rozkołysane palmy i szumy błękitnego morza... Ta kobieta przemyciła mu tu w swej duszy cały ten świat, który dla nas przepadł bezpowrotnie.

Nie zapomnę nigdy dnia, w którym ją zobaczyłem po raz pierwszy. Było to właśnie bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości, że Braun się cofa. Siedzieliśmy wszyscy czterej w Marsylii, w hotelowym pokoju,

którego okna wychodziły na zatokę, i rozmawialiśmy o tym odstępstwie towarzysza, które nas wszystkich bardzo żywo obeszło.

Wtem doniesiono nam, że jakaś kobieta chce się widzieć z nami natchmiast. Wahaliśmy się jeszcze, czy ją przyjąć, gdy ona weszła sama. Ubrana była tak, jak się w południowych Indiach ubierają córki bogatych krajowców; twarz, nadzwyczaj piękna, miała wyraz na pół zalękniony, na pół stanowczy. Zerwaliśmy się wszyscy ze zdziwieniem, a Tomasz zbladł i przechyliwszy się przez stół, począł się jej bacznie przypatrywać. Ona zatrzymała się u drzwi ze spuszczoną głową.

– Marto! ty tutaj! – krzyknął wreszcie Woodbell.

Postąpiła naprzód i podniosła głowę. Na twarzy jej nie było już ani śladu wahania lub niepewności, rozlała się na niej natomiast iście południowa, namiętna miłość. Powieki opadły jej ciężko na płomienne, czarne źrenice, usta nieco rozchylone i okrągła pełna broda wysunęły się naprzód. Wyciągnęła ręce ku Tomaszowi i odpowiedziała, patrząc mu w oczy spod spuszczonej powiek:

– Przyszłam za tobą i pójdę za tobą, choćby na Księżyc!

Woodbell był blady jak trup. Chwycił się dłońmi za głowę i jęknął raczej, niż zawołał:

– To niemożliwe!

Wtedy ona spojrzała po nas, a poznając snadź po wieku, że O'Tamor jest naszym wodzem, rzuciła mu się do nóg tak szybko, że nie miał czasu się cofnąć.

– Panie! – wołała czepiając się jego odzienia – panie, weźcie mnie ze sobą! Ja jestem kochanką tego waszego towarzysza, kocham go, wszystkim dla niego porzuciła, niechże on mnie teraz nie porzuca! Dowiedziałam się, że wam brak towarzysza, i przyjechałam aż z Indii! Weźcie mnie! ja wam kłopotu nie zrobię, sługą waszą będę! Ja jestem bogata, bardzo bogata, dam wam złota i pereł, ile zechcecie – ojciec mój był radzą w Travancore na Malabarskim Wybrzeżu i wielkie skarby zostawił! Silna też dosyć jestem, patrzcie!

To mówiąc wyciągnęła śniade, nagie, okrągłe ramiona.

Varadol się zachnął:

– Ależ do takiej podróży trzeba przygotowania! To co innego niż podróż parowcem z Travancore do Marsylii!

Na to ona zaczęła opowiadać, jak w tajemnicy przed Tomaszem nawet odbywała te same ćwiczenia, któreśmy robili, licząc zawsze na to, że się jej w ostatniej chwili uda nas ubłagać, byśmy ją wzięli ze sobą. Teraz tylko korzysta ze sposobności, wykonując zamiar z dawna

powzięty. Wie od Tomasza, że tam, na Księżycu, śmierć może znaleźć, ale ona nie chce żyć bez niego! I znowu nas błagała.

Wtedy O'Tamor, milczący od tego czasu, zwrócił się do Tomasza z zapytaniem, czy ją chce wziąć ze sobą, a potem, gdy Woodbell, niezdolny słowa wymówić, skinął głową, położył rękę na bujnych włosach dziewczyny i rzekł powoli i z namaszczeniem:

– Pójdiesz z nami, córko. Może cię Bóg wybrał za Ewę nowemu pokoleniu, oby szczęśliwшему niż ziemskie!

Tak mi żywo stoi ta scena w pamięci...

Ale oto Marta mnie woła. Tomasz znowu gorączkuje, trzeba mu dać chininy.

W dwie godziny później.

Żar, zamiast ustawać, wzmagą się jeszcze. Posunęliśmy się znów głębiej, aby go uniknąć. Póki nie minie, niepodobna nawet myśleć o dalszej podróży. Strach mnie przejmuje, gdy sobie przypomnę, że mamy do zrobienia blisko trzy tysiące kilometrów, nim się dostaniemy do celu... A kto nam zaręczy, że tam będzie można żyć?... Jeden O'Tamor nie wątpił, ale jego nie ma już między nami.

Drogomierz na naszym wozie wskazuje, że przebyliśmy już sto sześćdziesiąt siedm kilometrów; policzywszy czas, wypada po jednym kilometrze na godzinę. A wszak posuwaliśmy się stosunkowo bardzo szybko.

Wyruszyliśmy w cztery godziny po wschodzie słońca, kierując się wprost ku zachodowi. Sądząc, że się znajdujemy na *Sinus Medii*, chcieliśmy się przedostać na płaszczyznę między górami *Sommering* i *Schroter*, a stamtąd, okrążywszy *Sommering* od północy! zachodu, zbliżyć się do równika i wzdłuż niego posuwać się prosto w kierunku pierścienia górskiego *Gambart* i wyższego, dalej ku zachodowi na równiku położonego *Landsberg*.

Grunt był wyjątkowo równy, prawie bez szczelin, toteż wóz posuwał się szybko. Nadzieja i ożywienie wstąpiły w nasze serca; było nam ciepło i lekko – jedynie wspomnienie OTamora zasępiło na chwilę naszą wesołość. Tomasz był zdrowszy, a Marta, widząc to, promieniała radością. Zaczęliśmy na nowo snuć uroczne plany. Droga wydawała nam się niedaleka, trudy niezbyt wielkie. Podziwialiśmy niesłychaną dzikość przepysznego w swej martwocie krajobrazu lub też staraliśmy się z mapą rozłożoną przed oczyma odgadywać naprzód fantastyczne

widoki, które nas czekają. Varadol zaczął przypominać wszystkie badania i dowodzenia O'Tamora, według których odwrotna strona Księżyca ma być krajem bynajmniej nie pozbawionym warunków do życia, a ciekawym i wspaniałym nad wszelki wyraz. Rzeczywiście – mówiliśmy sobie – jeśli tam są takie same góry, jak te, które błyszczą się teraz w słońcu przed nami na widnokręgu, a oprócz tego jeszcze zieloność i woda, to warto, zaiste, przebyć trzysta osmdziesiąt cztery tysiące kilometrów, aby kraj ten zobaczyć! Rozmawialiśmy żywo, a Tomasz i Marta, przytuleni, jak zwykle, całym ciałem do siebie, snuli już różowe plany przyszłego życia w tym raj. Nawet Selena, słysząc ożywione głosy, zaczęła szczeleć radośnie i skakać po całym wozie wraz z rozbawionymi szczeniętami.

Tak upłynęły trzy godziny i przebyliśmy już około trzydziestu kilometrów, gdy wtem Varadol, który z kolei stał przy sterze motoru, zatrzymał wóz. Przed nami wznosił się niewysoki, obły wał skalisty, ciągnący się od południa ku północnemu zachodowi. Wał można było przebyć z łatwością, ale chodziło o oznaczenie dokładne kierunku, w którym się mamy posuwać. W północno-zachodniej stronie wznosiły się jakieś poszarpane, niebotyczne turnie, któreśmy mieli za szczyty krateru *Sommering*. Krater ów, jak astronomowie na Ziemi tutejsze obrączkowe góry nazywają, wznosi się wprawdzie tylko na tysiąc czterysta metrów ponad okoliczną równinę, podczas gdy te tumie zdawały się nam bez porównania wyższe, ale przypisywaliśmy to łatwemu do wytłumaczenia optycznemu złudzeniu. Zresztą i to przypuszczenie było możliwe, że spadliśmy z naszym pociskiem w południowo-zachodniej części *Sinus Medii*, na płaszczyźnie otwierającej się ku szerokiemu półkolu cyrku *Flammariona*, i mamy teraz po prawej ręce krater *Mosting* o pokaźnej wysokości 2300 metrów. W każdym razie należało ową górę okrążyć od północy, aby nie zmienić pierwotnego planu. Woodbell radził, aby zrobić jeszcze raz pomiary astronomiczne dla oznaczenia punktu, w którym się znajdujemy, ale nie chcąc teraz tracić czasu, odłożyliśmy tę robotę do pory gorętszej, kiedy będziemy się musieli zatrzymać z powodu zbyt wielkiego upału.

Skierowaliśmy tedy wóz wprost ku północy. Droga stawała się coraz uciążliwszą. Grunt wznosił się z wolna w górę;

tu i ówdzie spotykaliśmy szczeliny, które trzeba było wymijać, lub całe pola z litej skały, podobnej do gnejsu, zasypane luźnymi odłamkami gładów. Posuwaliśmy się coraz wolniej i z wielkim trudem. W kilku miejscach musieliśmy, przywdziawszy powietrzochrony, wyjść z

wozu i torować drogę, odwalając zagradzające głązy. Błogosławiliśmy wtedy małą siłę przyciągania Księżyca, dzięki której wielkie nawet odłamy skał mogliśmy z łatwością poruszyć i usunąć. Bawiła nas nawet początkowo ta robota. Każdy z nas, poruszający ogromne bryły, wydawał się patrzącym nań olbrzymem. Nawet Marta nam pomagała. Tomasz tylko został w wozie przy sterze, zbyt był bowiem osłabiony. Ból w ranach ustał, ale gorączka wracała co chwilę.

Posuwaliśmy się tak kilkanaście kilometrów od punktu, gdzieśmy zawrócili ku północy. Mieliśmy po lewej ręce wciąż szereg drobnych i nadzwyczajnie stromych wzgórz, spoza których sterczały olbrzymie i nieprawdopodobnie przepaściste turnie. Przed nami grunt wznosił się ciągle, a z ogromnego wału, jaki tworzył, sterczał jeden ostry szczyt. Na prawo, ku wschodowi, ciągnął się jakiś łańcuch coraz to wyższych gór.

Upłynęło już dwadzieścia cztery godzin od wschodu słońca, kiedyśmy się. dostali na gładką płaszczyznę z litej skaty, po której można się było szybciej posuwać. Postanowiliśmy się tutaj zatrzymać dla odpoczynku. Przy tym dziwny układ krajobrazu coraz więcej nas niepokoił.

Byliśmy wszyscy już prawie pewni, że znajdujemy się w jakiejś innej okolicy Księżyca, a nie na *Sinus Medii*. Należało nareszcie zrobić dokładne pomiary dla oznaczenia długości i szerokości księżycowej punktu, w którym się znajdujemy.

Po krótkim posiłku wzięliśmy się zaraz do pracy. Piotr nastawił instrumenta astronomiczne. Środek tarczy ziemskiej odchylony był od zenitu o 6° ku wschodowi i 2° ku północy; znajdowaliśmy się zatem pod 6° zachodniej długości i 2° południowej szerokości księżycowej, to znaczy na krańcu *Sinus Medii*, obok krateru *Mosting*. Co do tego nie mogło być wątpliwości, pomiary były bardzo dokładne.

Postanowiliśmy tedy ruszyć dalej, nie zmieniając kierunku.

Jużeśmy mieli puścić się w drogę, gdy wtem Varadol zawołał:

– A nasza armata! zostawiliśmy armatę! Istotnie, teraz dopiero przypomnieliśmy sobie, że armata nasza, jedyny i ostatni środek porozumienia się z mieszkańcami Ziemi, została wraz z nabojem i kulą przy grobie O’Tamora. Śmierć jego i pogrzeb tak nas w chwili wyruszenia oszołomiły, że zapomnieliśmy zabrać ze sobą tak cennej dla nas armaty. Była to strata niepowetowana, a tym dotkliwsza, że po zerwaniu telegraficznego połączenia to była ostatnia nić, która nas wiązała z Ziemią. Uczuliśmy się nagle tak bezbrzeżnie osamotnionymi, jak gdy-

byśmy się o setki kilometrów oddalili w tej chwili znów od globu, który jest już od nas o setki tysięcy kilometrów oddalony.

Pierwszą myślą naszą było wrócić i zabrać zostawioną armatę. Obstawiał przy tym zwłaszcza Woodbell, utrzymując, że musimy się porozumieć z Ziemią, aby powstrzymano dalsze zamierzone wyprawy, póki nie damy znać, żeśmy znaleźli tutaj warunki do życia.

– Jeśli my mamy zginąć – mówił – po cóż mają ginąć jeszcze i inni... Wszak wiecie, że tam na Ziemi bracia Remogner są gotowi do drogi. Oczekują od nas wieści telegraficznej, ale nasz aparat nie funkcjonuje. Trzeba ich powstrzymać – przynajmniej do czasu.

Jednakże niełatwo było wrócić. Przede wszystkim wobec olbrzymiej podróży, jaką mamy przed sobą, każda godzina jest dla nas droga, gdyż w razie powtarzanych zwłok zapasy żywności i powietrza mogą się wyczerpać, a wtedy bylibyśmy skazani na niechybną zgubę. I tak z powodu choroby O'Tamora musieliśmy się dość długo zatrzymać, a wiedzieliśmy, że jeszcze nieraz upał lub mróz powstrzymają nas w pochodzie na całe dziesiątki godzin. Po wtóre, któż z nas mógł zaręczyć, że trafimy do miejsca, gdzie armata została.

Varadol starał się usunąć skrupuły Tomasza.

– Wszak bracia Remognerzy – mówił – nie wyruszą w drogę, nie otrzymawszy wiadomości od nas. Zresztą nie wiadomo, czy wystrzelona kula upadnie na Ziemię w takim miejscu, gdzie ją będzie mógł ktoś znaleźć, a zatem depesza bardzo łatwo może nie dojść do rąk, dla których będzie przeznaczona.

Przypomniała się nam i ta okoliczność, że z armaty, zbudowanej wyłącznie dla pionowego strzału, możemy korzystać tylko w bliskości środka księżycowej tarczy, gdzie Ziemia znajduje się w zenicie nad nami. Na strzał paraboliczny z innego miejsca Księżyca siła naboju nie wystarcza, a choćby wystarczyła, to nie mamy sposobu ustawienia armaty tak dokładnie, abyśmy mogli być pewni, że kula, biegnąc po linii krzywej, mimo to nie ominie swego celu, Ziemi. Tak więc powstrzymawszy jednym strzałem dalsze wyprawy, nie moglibyśmy już potem, posunawszy się ku krawędzi widocznej z Ziemi księżycowej tarczy, przyzwać drugim strzałem nowych towarzyszy w razie znalezienia pomyslnych warunków do życia. W ten sposób bylibyśmy skazani tutaj na wieczyste osamotnienie. Tymczasem jeśli się teraz zdarzy, że bracia Remognerzy mimo wszystko przybędą, to przywiozą może ze sobą silniejszy aparat telegraficzny, i tak zyskamy towarzyszy i sposób stałego porozumiewania się z mieszkańcami Ziemi.

Te wszystkie względy przemawiały za tym, aby nie tracić czasu na poszukiwanie armaty, w istocie mało dla nas przydatnej. Po krótkiej zwłoce tedy ruszyliśmy w dalszą drogę.

Upłynęło znów dwadzieścia cztery godzin i mieliśmy już około stu trzydziestu kilometrów drogi poza sobą. Słońce stało już 28° nad horyzontem i ciepło wzmagało się ciągle.

Zauważyliśmy przy tym ciekawe zjawisko. Podczas gdy ściana wozu oświetlona słońcem była tak rozgrzana, że parzyła niemal, strona od słońca odwrócona zimna była jak lód. Uczucia mrozu doznawaliśmy także za każdym razem, gdyśmy wjechali w cień jakiegoś cypla skalnego, których coraz więcej spotykaliśmy po drodze. Powodem tych gwałtownych przejść ciepła i zimna jest tu brak atmosfery, która na Ziemi zmniejsza wprawdzie bezpośrednią siłę słonecznych promieni, ale za to ogrzewając się sama, rozprowadza ciepło równomiernie i zapobiega zbyt szybkiemu jego ubytkowi przez promieniowanie.

Z tego samego powodu każdy cień jest tutaj nocą. Światło, w atmosferze nie rozprószone, dociera tylko do tych miejsc, które są wystawione na działanie słonecznych promieni. Gdyby nie refleks rozświetlonych w słońcu gór i światło Ziemi, musielibyśmy za każdym razem, gdy wjeżdżamy w cień, zapalać elektryczne latarnie.

Przebyliśmy już ową pochyłą, gładką płaszczyznę i zaczęliśmy się zwracać ku zachodowi, aby okrążyć domniemany krater *Mosting*. Droga stawała się coraz cięższa i tylko z wielkim trudem i bardzo powoli mogliśmy się posuwać naprzód.

Byliśmy w kraju górzystym i nad wszelki wyraz dzikim. Krajobraz to w niczym niepodobny do alpejskich krajobrazów na Ziemi. Tam wśród grzbietów górskich, łączących ze sobą szczyty, ciągną się doliny, wyżłobione działaniem wody przez przeciąg tysięcy lat; tutaj ani śladu tego wszystkiego. Grunt tu cały jest sfałdowany i podniesiony, pokryty mnóstwem nie łączących się ze sobą głębokich kotlin, okrągłych, o wystających brzegach, albo też gładkimi, zupełnie luźnymi kopami, dochodzącymi nieraz do znacznej wysokości. Miejsce dolin zajmują głębokie szczeliny, ciągnące się całymi milami, podobne do cięcia olbrzymiego topom, które w prostym kierunku rozłupało grunt i znajdujące się na nim wzgórza. Nie wątpię ani na chwilę, że są to pęknięcia zastygającej i kurczącej się skorupy Księżyca.

Natomiast nie spotkaliśmy nigdzie ani śladu działania wody, tak przepotężnej na Ziemi erozji. Sądzę też, że ten kraj nigdy nie posiadał powietrza ani wody.

Wobec tego dziwiła nas z początku obecność mnóstwa luźnych głazów, rozsypanych na skalnym podłożu. Ale w kilkadziesiąt godzin później, gdy natężenie upału doszło do granic wprost niemożliwych, przyczyna, krusząca te skały w zastępstwie wody, objawiła nam się sama. Przejeżdżaliśmy właśnie obok wysokiej skały, z kamienia nadzwyczaj podobnego do naszego marmuru, gdy wtem w naszych oczach oderwał się u jej szczytu głaz o kilkunastometrowej średnicy i runął w przepaść, rozbijając się na gruby piarg. Stało się to wszystko w straszliwej, grozą przejmującej cichości. Z powodu braku powietrza nie słyszeliśmy huku, grunt tylko pod naszym wozem zadrgał, jakby się nagle Księżyc zakołysał na swych panwach.

To wściekły żab słońca odgryzł kawałek tego kamiennego świata. Skały, ściśnione w nocy mrozem jak żelazną obręczą, podczas straszliwego upału dnia rozszerzają się od strony wystawionej na działanie palących promieni. W cieniu ciągle jest chłodno; nierównomierne rozszerzanie się tedy jednolitych bloków musi powodować ich pęknięcie i kruszenie.

Tymczasem piarg ów ostry, zaścielający ogromne przestrzenie, dał nam się we znaki. Przebywaliśmy takie miejsca, gdzie za pomocą kół wóz nasz nie mógł się zgoła posuwać. Tam zakładaliśmy „łapy”, działające u wozu zupełnie jak nogi u zwierząt, i tak podrzucani nimi, przedzieraliśmy się przez złomiska głazów albo wspinaliśmy się na bystre zbocza.

Mimo licznych prób, dokonywanych na Ziemi z pociskiem zamienionym na wóz, nie mieliśmy wyobrażenia o uciążliwościach podobnej, dłużej trwającej podróży. Jestem przekonany, że gdyby siła przyciągania Księżyca, a co za tym idzie, i ciężkość na nim była tylko o połowę większa, musielibyśmy byli zginać wśród tych skalisk, niezdolni ruszyć się z miejsca.

Upłynęła już od wschodu słońca trzecia ziemską dobą, przez którą posunęliśmy się zaledwie o dwadzieścia kilometrów naprzód. Upał stawał się już nieznośny. W dusznym i rozpalonym powietrzu wozu, wstrząsany wciąż jego ruchami, Woodbell zapadł znów w gorączkę. Rany, otrzymane w chwili upadku pocisku na powierzchnię Księżyca, zaczęły mu znów dokuczać. Szczęście, żeśmy troje przynajmniej wyszli bez szwanku! Dreszcz zgrozy mnie przejmuje na samo wspomnienie owego potwornego wstrząśnienia!

Naprzód, jeszcze w przestworzu, głuchy wybuch min, umieszczonych u dołu pocisku, a mających zmniejszyć chyżość spadku, potem

wysunięte jednym naciśnięciem guzika stalowe rusztowanie ochronne i... Nie! to się opisać nie da! Widziałem tylko w ostatniej chwili, jak Marta, przechyliwszy się na swym hamaku, przycisnęła usta do ust Tomasza. O'Tamor zawołał: „Oto jesteśmy!” – i... straciłem przytomność.

Gdym oczy otworzył, O'Tamor leżał we krwi, Woodbell we krwi, Varadol i Marta zemdleni... Z pogruchotanego rusztowania stalowego zrobiliśmy potem krzyż na grobie OTamora...

Chronometry nasze wskazywały dziewięćdziesiąt ośm godzin po wschodzie słońca, kiedy upadając ze znużenia i upału, spostrzeżliśmy nareszcie, że się zbliżamy do szczytu wyniosłości, na którąśmy się z takim trudem wdzierali. Przez te cztery ziemskie doby, stanowiące mało co więcej niż czwartą część „dnia” księżycowego, spaliśmy niewiele, postanowiliśmy tedy zatrzymać się jakiś czas dla odpoczynku. Woodbell zwłaszcza potrzebował snu i spokoju.

Wóz ustawiliśmy w cieniu skały, który nas chronił od upieczenia się żywcem w nieznośnych promieniach słońca, po czym ułożyliśmy się wszyscy do snu. Po dwóch godzinach obudziłem się, pokrzepiony znakomicie. Tamci jeszcze spali. Nie chcąc ich budzić, przywdziałem powietrzochron i wyszedłem sam z wozu, aby zbadać okolicę. Zaledwie wychyliłem się z cienia, doznałem uczucia, jak gdybym się dostał do wnętrza rozpalonej huty. Już nie gorąco, ale wprost żar lał się z nieba; grunt parzył mi stopy nawet przez grube podeszwy powietrzochronu. Musiałem zebrać wszystkie siły woli, aby się nie cofnąć z powrotem do wozu.

Znajdowaliśmy się w płytkiej szyi skalnej, rozdzielającej dwa kopiste wzgórza z litego głazu i kończącej się wśród nich rodzajem przełęczą, która, o ile mogłem dostrzec z miejsca, gdzie stałem, przechodziła w płaszczyznę, występującą poza owe kopy ku zachodowi. Te kopy zasłaniały mi też widok od północy i od południa. Tylko ku wschodowi widok był rozległy na drogę, którąśmy właśnie przebyli. Patrzyłem na kamieniste pola, pełne kotlin, wyrw, szczelin i szczytów – i wprost nie wierzyłem własnym oczom, żeśmy się przez nie zdołali przedostać z naszym wielkim i ciężkim wozem.

Na Ziemi, przy sześć razy większym ciężarze, byłoby to absolutnym niepodobieństwem.

W tej chwili uczułem, że mnie ktoś trąca. Obejrzałem się: za mną stał Varadol i dawał jakieś rozpaczliwe znaki. Jak ja wyszedł z wozu w powietrzochronie, ale nie wziął ze sobą rury do mówienia, więc nie

mogliśmy się porozumieć. Widziałem tylko, że był błąd i czymś ogromnie zmieszany. Przypuszczałem, że Tomaszowi zrobiło się gorzej, i pędem pobiegłem do wozu. On poszedł za mną.

Zaledwie, znalazłszy się w wozie, zrzuciliśmy powietrzochrony, gdy Varadol rzekł nachylając się ku mnie:

– Nie budź tamtych i słuchaj: stała się rzecz straszna, pomyliłem się.

– Co? – zawołałem nie rozumiejąc jeszcze, o co mu chodzi.

– Myśmy spadli nie na *Sinus Medii*.

– Więc gdzie jesteśmy?

– Pod *Eratosthenesem*, na przełęczy łączącej ten krater z księżycowym *Apeninem*.

Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Wiedziałem ze zdjęć fotograficznych powierzchni Księżyca, robionych na Ziemi, że grzbiet górski, na którym się znajdujemy, urywa się niemal prostopadle ku położonej na zachodzie olbrzymiej równinie *Mare Imbrium*.

– Jakże my stąd zejdziemy! – zawołałem w przerażeniu.

– Cicho. Bóg jeden raczy wiedzieć. Moja wina. Upadliśmy na *Sinus Aestuum*. Patrz...

Tu podsunął mi mapę i kartki zapisane szeregiem cyfr.

– Czy się tylko nie mylisz? – odezwałem się.

– Tym razem nie mylę się, niestety! I tamte pomiary były dokładne, zapomniałem tylko, że wówczas Ziemia nie mogła się znajdować w zenicie ponad środkiem księżycowej tarczy. Wszak wiesz, że Księżyc podczas obrotu naokoło osi podlega małym wahaniom, tak zwanym libracjom, wskutek czego Ziemia nie wydaje się całkowicie nieruchomą na niebie, lecz zakreśla małą elipsę. Otóż ja zapomniałem wziąć poprawki z tego jej wychylenia od zenitu i dlatego oznaczyłem według jej położenia fałszywie długość i szerokość księżycową punktu, w którym robiłem pomiary. Teraz możemy za to wszyscy zapłacić życiem!

– Uspokój się! – rzekłem, choć drżałem sam na całym ciele. – Może się nam uda ocalić.

Za czym wzięliśmy się razem do sprawdzania obliczeń. Tym razem nie było zgola wątpliwości. Po zrobieniu koniecznej poprawki okazało się, że spadliśmy na *Sinus Aestuum* pod $7^{\circ}35'$ z. dł., a $13^{\circ}8'$ pn. szer. księżycowej. Posuwaliśmy się cały czas wzdłuż stromych wzgórz u stóp olbrzymiego *Eratosthenesa*, mając przed sobą niewielki, lecz nadzwyczajnie bystry krater bez nazwy, tkwiący już w trzonie poczynają-

cego się tu *Apeninu*. Obecnie znajdowaliśmy się pod 11° z. dł., a 15°51' pn. szer. księżycowej.

Oznaczyliśmy sobie ten punkt na mapie Księżyca. Według mapy przełęcz, którąśmy mieli o kilkaset kroków przed sobą, wznosi się 962 m nad poziom *Mare Imbrium*.

Jest to rzecz zadziwiająca, że podczas gdy astronomowie ziemscy mogą z odległości setek tysięcy kilometrów z łatwością obliczyć wysokość każdej góry księżycowej, mierząc w teleskopie długość cienia, jaki rzuca, my, znajdując się na tej górze, musieliśmy się uciekać do pomocy mapy sporządzonej na Ziemi, aby wiedzieć, jakie jest jej wzniesienie. Brak takiej atmosfery, która by mogła być wzięta w rachubę, uniemożliwiał dokonywanie barometrycznych pomiarów wysokości. Zmiana, jakąśmy zauważyli w barometrze, zasadzała się na tym, że rtęć w rurce opadła tak, iż się zrównała prawie z powierzchnią cieczy w naczyniu. Na tej wysokości, gdzieśmy się znajdowali, była próżnia niemal absolutna.

Tomasz i Marta zbudzili się wkrótce. Niepodobna było ukrywać przed nimi istotnego położenia. Powiedziałem im tedy jak najogólniej, jak rzeczy stoją. Nie wywarło to na nich zbyt silnego wrażenia. Tomasz zmarszczył się tylko i przygryzł wargi, a Marta, o ile mogłem wnosić z jej zachowania się, nie zdawała sobie dobrze sprawy z grozy położenia.

– To cóż – odezwała się – zjedziemy, jakeśmy wyjechali, albo się wrócimy.

Zjedziemy, jakeśmy wyjechali! mój Boże! Wszak to, żeśmy trafili na drogę, która nas tu wywiodła, było czystym przypadkiem! A wracać się? – tyle trudów i tyle godzin straconych?...

Postanowiliśmy wreszcie udać się na ową przełęcz, aby zobaczyć, czy się z niej nie da spuścić na równinę *Mare Imbrium*. Wóz ruszył z miejsca i za kilkanaście minut znajdowaliśmy się nad przepaścią.

Ośłupieliśmy wobec widoku, który się przed nami nagle otworzył. Skała urywała się u nóg naszych niemal prostopadle, a tam w dole, tyśiąc metrów niżej, rozciągała się jak okiem zasięgnąć nieprzejrzana równina *Mare Imbrium*, z rozrzuconymi po niej z rzadka szczytami. Brak perspektywy powietrznej sprawiał, że góry, nadzwyczaj nawet odległe, rysowały się wyraźnie naszemu oku, odbijając swą niesłychaną lśniąca białością od zupełnie czarnego tła gwiazdzistego nieba. Widok zaiste czarodziejski; na chwilę zapomnieliśmy nawet o grozie położenia.

Na widnokręgu ku północy sterczał przed nami wśród niezmiernie płaszczyzny, jak wyspa wśród morza, majestatyczny krater *Timocharis*, oddalony od nas czterysta kilometrów, a wysoki na siedm tysięcy stóp.

Na Ziemi góry, z dala widne, przybierają z powodu nieprzeźroczystości powietrza barwę sinawobłękitną; tutaj szczyt ów wyglądał w słońcu jak do białości rozpalona stal z grubymi, czarnymi pasmami cieniów i lśniącymi się czerwono żyłami ciemniejszych skał. Nieco ku zachodowi również wyraźnie szczyt się na niebie piła niższego odeń i więcej jeszcze oddalonego krateru *Lambert*. Od samego zachodu ograniczały widnokrąg liczne drobne wyniosłości i skały, łączące się z trzonem znacznie nam bliższego łańcucha księżycowych *Karpat*, ograniczających *Mare Imbrium* od południa.

Poza tym łańcuchem, ciągnącym się w kierunku promienia naszego widzenia, od południowego zachodu wznosiły się w dali, na niższych wzgórzach oparte, nieprawdopodobnie olbrzymie turnie *Kopernika*, jednej z największych gór Księżyca. Jeślim powiedział, że *Tomocharis* błyszczał jak stal rozpalona, to nie mam już porównania na określenie światła, jakie było z odległości setek kilometrów od owego potężnego pierścienia skał, mierzącego dziewięćdziesiąt kilometrów średnicy!

Na północnym wschodzie sterczały zza licznych wzniesień w niezmiernie oddali same szczyty szerokiego cyrku *Archimedes*a. Widok od wschodu i od południa mieliśmy zamknięty z jednej strony niebotycznym pasmem księżycowego *Apeninu*, z drugiej przepaścistym *Eratosthenesem*, łączącym się z *Apeninem* przełęczą, na której właśnie staliśmy.

A w tych ramach *Morze Dżdżów*. Jakaż straszną ironią wydała nam się ta nazwa, przez starych ziemskich astronomów wymyślona! Pustynia straszliwa, sucha, zimnoszara, poorana tu i owdzie potwornymi szczelinami, wydęta w lekkie, podłużne garby, ciągnące się od świetnego *Timocharisa* na widnokręgu ku *Eratosthenesowi*. Nigdzie ani śladu życia, ani odrobiny zieleni! W słońcu tylko, u stóp olbrzymich, odległych kraterów, lśniły się gdzieniegdzie świetne, do pasm drogich kamieni podobne, żółte, czerwone i stalowosine żyły jakichś pokładów...

Patrzyliśmy przed siebie w milczeniu, nie wiedząc Jaką obrać drogę. Dostawszy się na płaszczyznę *Morza Dżdżów*, mielibyśmy przed sobą przestrzeń, po której byśmy mogli rażno się posuwać; ale w tym

była cała trudność, jak się na nią dostać, jak się spuścić z owej tysiąc metrów wysokiej, prostopadłej ściany?

Po krótkiej naradzie ruszyliśmy piechotą ku południu w tej nadziei, że się nam może uda znaleźć drogę po zboczach krateru *Eratosthenesa*. Szliśmy po wąskiej płaszczyźnie, wciśniętej między skały a przepaść, otwierającą się ku *Mare Imbrium*. W jednym miejscu przejście było tak wąskie, że chcieliśmy już zawrócić, zwątpiwszy, aby się nam udało tędy przedostać z wozem. Na szczęście Marta, która nam towarzyszyła, przypomniała, że posiadamy pewien zapas min, którymi będzie można z łatwością rozsadzić niewielki zastępujący nam próg skalny. Ominęliśmy go tedy, przeciskając się ponad zawrotną przepaścią, i poszliśmy dalej. Teraz grzbiet górski, znacznie rozszerzony i płaski, podnosił się z wolna ku górze. Szliśmy wciąż ku południu; na prawo i na lewo piętrzyły się już potworne turnie pierścienia *Eratosthenesa*.

Po upływie pół godziny od chwili okrążenia owego progu stanęliśmy zatrzymani nową przepaścią, która się tak niespodziewanie otworzyła pod naszymi nogami, że Piotr, który szedł naprzód i pierwszy się wdarł na zasłaniający ją przed naszym wzrokiem próg, skoczył w tył z okrzykiem przestrachu. Zaiste trudno sobie wyobrazić coś okropniejszego nad widok, jaki się roztaczał teraz przed nami.

Posuwając się wciąż w południowym kierunku, dostaliśmy się, nie wiedząc o tym, w głęboką szczyrbę, wyrżniętą już w samej grani *Eratosthenesa*. Na prawo i na lewo piętrzyły się poszarpane tumie, z których jedna lśniącobiła w słonecznym blasku, druga w cieniu całkiem niemal czarna. A przed nami... nie! któż to opisać zdoła! – przed nami otchłań! czeluść bezdenna i niewypowiedziana, coś tak potwornego, wprost tak drapieżnego w niesłychanym majestacie grozy, ogromu i martwoty, że teraz jeszcze dreszcz paraliżującej trwogi mnie przechodzi, gdy sobie o tym przypomnę!

Przed nami było wnętrze krateru *Eratosthenesa*.

Potężny wał górski-, najeżony jak piła szczytami, zataczał tu krąg zamknięty o średnicy kilkudziesięciu kilometrów, tworząc w ten sposób rozległą kotlinę, najstraszniejszą zapewne, jaką kiedykolwiek widział ludzkie oko. Turnie, wznosząc się przeszło na cztery tysiące metrów ponad dnem tej przepaści, spadały ku niej prawie pionowo, we wściekłych jakichś podrzutach. Wyglądało to, jakby w otchłań waliły w skoku zastygłe, o iglice poszarpane kamienne kaskady. Kotliną, zagłębioną jakie dwa tysiące metrów w stosunku do poziomu oddzielonej od niej wałem równiny *Mare Imbrium*, wydawała nam się znacznie

jeszcze głębszą z powodu olbrzymich gór okolicznych i grubych cieniów, które ją w całości prawie zalegały. Z dna jej sterczało kilka odosobnionych, z rzadka rozszianych stożkowych szczytów, dochodzących połowy wysokości okolicznego wału. Patrzyliśmy na nie z góry naszego kamiennego okna. Z paru z nich wybuchały co pewien czas niewielkie obłoki ciemnoszarego dymu, opadające w tej chwili z powodu braku atmosfery i rozścielające się płasko u ich podnóża jak popiół. Nie było wątpliwości, że mieliśmy jeszcze nie wygasłe wulkany przed sobą.

Jaskrawe przeciwieństwa światła i cieniów wzmagaly jeszcze uczucie grozy. Cały wschodni brzeg wnętrza tonał w grubym mroku, zlewając się w jedną tajemniczą i ciemną oponę z czarnym niebem u góry; brzeg zachodni za to iskrzył się w słońcu białą ścianą, porysowaną ciemnymi żlebami i zjeżoną mnóstwem nieprawdopodobnych iglic, jak gdyby kościanych wieżyc, widniejących na tle czarnych plam cienia. Od południa wał z powodu odległości wydawał się niższy i był podobny do najeżonej kolcami bramy tej straszliwej czeluści. U stóp naszych – zawrotna przepaść.

A nad tym wszystkim, po czarnym, niemigotliwymi gwiazdami zasianym niebie szło ogniste bezpromienne słońce, coraz bliższe Ziemi, która lśniła trupim blaskiem, wygięta w wąski, ostry sierp, zawieszony nad tym padołem jakby znak śmierci.

Mimo woli w uszach zaszumiały mi słowa Danta:

Vero e che in su la proda mi trovai Delia valle d'abisso dolorosa...

I na przypomnienie tych słów w mózgu moim, osłabłym ze zmęczenia, upału i przestachu, zaczęła się budzić wizja dantejskiego piekła, które zaiste nie mogło być straszliwszym od tego., co miałem przed oczyma! Poruszające się na dnie olbrzymiego kotła dymy zdały mi się korowodami potępińczych duchów, wirujących około potwornej postaci Lucyfera, którego kształty przybrał w mych oczach jeden z wulkanicznych stożków... Pełno duchów, straszna procesja potępińców. Snują się wszędzie, po skalistych stokach czeluści płyną ogromną falą, zsuwają się w głąb żlebami, przewalają się, kotłują, cisną. Niektóre chcą się wznieść w górę, na świat, na słońce – odrywają się od dna całymi chmurami i opadają znowu jak ołowiane pary na miejsce wiecznej karni...

A wszystko odbywa się w takiej strasznej, dreszczem przejmującej głuszy...

Świat zaczął mi w głowie wirować; czułem, że jestem bliski utraty przytomności.

Wtem doleciał mnie płacz. Byłem tak oszołomiony, iż w pierwszej chwili sądziłem, że istotnie słyszę głos potępieńców... Ale tym razem nie była to wizja. Rzeczywiście słychać było płacz przez rurę, łączącą głowy naszych powietrzochronów.

Oprzytomniałem nieco i spojrzałem dokoła. Woodbell, oparty plecami o skałę, stał błądzący ze spuszczoną głową; Varadol, podobny z ruchów do dzikiego zwierza na uwięzi, chodził niespokojnie, o ile mu grunt i długość rury na to pozwalały, i rozglądał się, jak gdyby szukał wśród tych turni drogi i wyjścia. Marta klęczała na ziemi z czołem przy kolanach i trzęsa się od tkania, przestkach i najwyższym podrażnieniem nerwów wywołanego.

Niezmierną litością zdjęty, zbliżyłem się ku niej i oparłem z wolna dłoń na jej ramieniu. Wtedy ona z jakąś dziecięcą skargą zaczęła wołać, jak w ową pamiętną długą noc przed śmiercią O'Tamora:

– Na Ziemię! Na Ziemię!

Taka głęboka, przejmująca rozpacz była w jej głosie, że nie mogłem znaleźć słowa, aby ją pocieszyć. Zresztą jak to zrobić? – położenie nasze było istotnie rozpaczliwe. Zwróciłem się do Varadola:

– Co teraz będzie?

Piotr ruszył ramionami.

– Nie wiem... śmierć. Wszak stąd zejść niepodobna.

– A gdyby wrócić – wtrąciłem.

– O tak! wrócić, wrócić! – łkała Marta.

Varadol zdawał się płaczu jej nie słyszeć. Patrzył przez chwilę przed siebie, a potem odpowiedział zwracając się do mnie:

– Wrócić... chyba po to, aby straciwszy wiele drogiego czasu, spotkać na innej drodze podobną znów do tej przeszkodę. Patrz! – tu odwrócił się twarzą ku północy i wskazał okiem nieprzejrzaną równinę *Mare Imbrium*, leżącą poza nami –gdybyśmy się mogli tam dostać, mielibyśmy względnie równą drogę przed sobą, ale tam się nie dostaniemy... Chyba na łeb...

Spojrzałem we wskazanym kierunku. *Morze Dżdżów*, gładkie, oświetlone słońcem, wydało mi się rajem, zwłaszcza w porównaniu ze straszonym wnętrzem *Eratosthenesa*. Poczynano się tuż prawie u naszych stóp, zda się, tak bliskie, że dość skoczyć, aby się tam znaleźć. Dzieliło nas jednak od upragnionej równiny tysiąc metrów pionowej skaty nie do przebycia!

Zbiliśmy się wszyscy w kupkę i poczęliśmy patrzeć z niewypowiedzianym pożądaniem na tę przestrzeń, mogącą nas zbawić. Nie czuliśmy znużenia ani gryzących promieni słońca, które już potową tarczą wyjrzało zza krawędzi skalnej nad nami.

Po chwili Piotr powtórzył:

– Tam się nie dostaniemy...

Odpowiedział mu głośny, spazmatyczny płacz Marty, która niezdolna już była panować nad sobą.

Varadol zachnął się niecierpliwie:

– Milcz! – krzyknął chwytając ją za ramię – bo cię stąd strącę! Dość mamy kłopotu!

Wtedy nagle Tomasz wysunął się naprzód:

– Daj pokój... i ty nie płacz; dostaniemy się na *Mare Imbrium*. Wracajmy po wóz.

Tyle było stanowczości i pewności siebie w tych spokojnie, choć dobitnie powiedzianych słowach, że zwróciliśmy się na miejscu, aby wykonać rozkaz, nie śmiejąc sprzeciwić się ani pytać.

Woodbell nas jeszcze zatrzymał.

– Patrzcie – mówił wskazując zewnętrzne, ku *Morzu Dżdżów* opadające stoki *Eratosthenesa* – widzicie tę grań, tu o pięćdziesiąt metrów niżej poczynając się u stóp urwistej ściany? O ile można stąd ocenić, opada dość łagodnie aż ku płaszczyźnie; tędy zdołamy zjechać na dół...

– Ale ta ściana... – szepnąłem mimo woli, poglądając na prostopadłe urwaną skałę, która nas dzieliła od rozłożystego grzbietu grani, poprzednio nie dostrzeżonej.

– Głupstwo! jesteśmy przecież wprawni w spinaniu się po skałach! obejdziemy ją bokiem z łatwością. A wóz?... wóz zepchniemy naprzód, uwiązawszy go na linach. Nie zapominajcie, że jesteśmy na Księżycu, gdzie ciała są sześć razy lżejsze, a spadek z wysokości pięćdziesięciu metrów znaczy tyle, co z wysokości ośmiu na Ziemi!

Uczyniliśmy według rady Tomaszowej.

W sto dziewięć godzin po wschodzie słońca poczęliśmy zjeżdżać po stromym zboczu *Eratosthenesa*, aby się dostać na *Mare Imbrium*. Prawie całe trzy ziemskie doby trwało owo spuszczenie się w dolinę, tuż u naszych stóp leżącą. Większą część drogi przebyliśmy pieszo, prażeni nielitościwymi, coraz więcej prostopadłymi promieniami słońca, upadając ze znużenia i wysiłku.

Wóz wypadło istotnie stoczyć na linach w przepaść z wysokości kilkudziesięciu metrów. Jemu to nie zaszkodziło, ale psy zamknięte w

nim potłukły się mocno, mimo wszelkich z naszej strony ostrożności. Parę razy zatrzymywaliśmy się, straciwszy całkowicie nadzieję, aby się nam udało z życiem zejść w dolinę. Grań nie była drogą tak wygodną, jak nam się to z góry i z dala wydawało. Poprzerywana piętrami i rozpadlinami, zmuszała nas do nawrotów i okrążeń, tym trudniejszych, że wszędzie musieliśmy wóz wlec za sobą albo spuszczać go naprzód po linach. Często rozpacz nas ogarniała. Wtedy Woodbell, choć osłabiony gorączką i ranami, okazywał najwięcej przytomności i siły woli. Jeżeli żyjemy i żyć będziemy, jemu to mamy do zawdzięczenia.

Przez te trzy doby, nie wiem, czyśmy spali więcej niż dwanaście godzin, wyszukując za każdym razem miejsca jak najwięcej zacienione, aby się uchronić od upieczenia żywcem w promieniach słońca. Chwilami upał odbierał nam wprost przytomność.

Było właśnie księżycowe południe i słońce stało prostopadle nad naszymi głowami obok czarnej kuli Ziemi w nowiu, otoczonej krwawą obwódką nasyconej światłem atmosfery, kiedyśmy wyczerpani do ostatnich granic stanęli wreszcie na płaszczyźnie.

Upał był tak potworny, że dech nam w piersiach zapierało, a krew przysłaśniała oczy i waliła w skroniach młotami. Już i cień nie dawał ochrony! rozżarzone skały zionęły zewsząd ogniem jak czeluść hutniczego pieca.

Selena złażała gwałtownie z wywieszonym językiem, szczenięta skomliły żałośnie rozciągnięte bez ruchu w kącie wozu. Z nas co chwilę ktoś popadał w omdlenie; zdawało się, że śmierć nas spotka u wstępu do tak upragnionej równiny! Trzeba było uciekać przed słońcem – ale dokąd? Wtedy Marta przypomniała, żeśmy schodząc z góry, widzieli głęboką szczelinę, którą snadź teraz nierówności gruntu zasłaniają przed nami. Ruszyliśmy tedy we wskazanym kierunku i istotnie po godzinie szybkiej jazdy, która się nam rokiem wydała, natrafiliśmy na ową szczelinę. Jest to wądół o pionowych ścianach, utworzony przez pęknięcie skorupy księżycowej, do tysiąca metrów głęboki, a na paręset szeroki, zresztą w niczym niepodobny do ziemskich wąwozów i jarów.

Ciągnie się, o ile możemy stąd ocenić, dziesiątki kilometrów równoległe do pasma *Apeninu*. Na mapach Księżyca nie jest zaznaczony; uszedł zapewne uwagi astronomów z powodu cienia, w jakim prawie zawsze musi być pograżony, leżąc w bliskości wysokich gór.

Dla nas ta szczelina stała się ocaleniem. Natrafiwszy na miejsce, w którym się poczyna, zjechaliśmy bystro w jej głąb i tu dopiero, tysiąc metrów pod powierzchnią *Mare Imbrium*, znaleźliśmy trochę chłodu...

Sen pokrzepił nas znakomicie. Tomasz tylko, którego trzymała dotąd żelazna siła woli, zapadł znów w gorączkę. Jest tak osłabiony, że ruszać się nie może. Mimo to za jakie dwadzieścia godzin puścimy się w dalszą drogę. Słońce poczyna się od zenitu przechylać ku zachodowi. Tam na równinie upał musi być wciąż jeszcze straszliwy, ale w każdym razie nie taki, jak przed kilkudziesięciu godzinami. Zresztą my po odpoczynku łatwiej go znieść zdołamy.

Po głębokiej rozwadze zmieniliśmy plan podróży. Zamiast na zachód zwrócimy się wprost na północ, ku biegunowi Księżycy. Zyskujemy na tym podwójnie. Przede wszystkim mamy przed sobą przeszło tysiąc kilometrów względnie równej i dobrej drogi przez płaszczyznę *Mare Imbrium*, co przyspieszy znacznie podróż. Po wtóre, zbliżając się ku biegunowi, dostajemy się w okolice, gdzie słońce nie stoi we dnie tak wysoko nad horyzontem ani tak głęboko w nocy pod horyzont nie zapada; spodziewamy się więc spotkać tam znośniejszą temperaturę. Jedno bowiem jeszcze takie południe, jak dzisiaj, a śmierć nasza byłaby nieuchronna.

REKOPISU CZĘŚĆ DRUGA. NA TAMTEJ STRONIE

[Rozdział] I

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem, otworzywszy oczy po długiej chorobie, która mnie pozbawiła przytomności pod koniec owej straszliwej podróży przez bezwodną i bezpowietrzną pustynię księżycową. Dzisiaj, gdy się zbieram do spisania dalszych przygód naszych na tym globie, stoi mi ta chwila tak żywo w pamięci, jakby zaledwie kilkanaście godzin od niej upłynęło. A wszakże, gdy policzę księżycowe doby, widzę, że na Ziemi mija już rok jedenasty od czasu, gdyśmy spadli na powierzchnię Księżyca, a dziesięć lat od wyjścia z wozu po półrocznym blisko zamknięciu. Teraz oddychamy już pełną piersią pod niebem tak samo, jak na Ziemi, błękitnym, nad brzegiem prawdziwego falistego morza i patrzymy na lasy roślin dziwnych i nieprawdopodobnych, ale również zielonych i pełnych właściwego sobie życia. Sto trzydzieści cztery razy okrążyło słońce ten świat w naszych oczach i jużemy się z nim prawie żyli. Włos nam siwieje, a obok nas wzrasta nowe pokolenie – pokolenie ludzi, którzy kiedyś będą uważali za mit historię o dostaniu się tu swych praojców z Ziemi, wychylającej się przed nimi zza widnokregu w postaci olbrzymiej, świecącej kuli, gdy zapuszczą czasem ku krańcom bezpowietrznej pustyni. Dla nich będzie to ciekawe, rzadko widywane światło niebieskie; dla nas Jest to matka, którąśmy opuścili na zawsze, nie mogąc atoli zerwać ostatej, ale najsilniejszej nici wiążącej nas z nią – tęsknoty.

Przejdzie jeszcze kilkadziesiąt lub nieco więcej dni księżycowych i pomrzemy my wszyscy, którzyśmy na Ziemi byli urodzeni, a nowe pokolenie, czytając kiedyś mój pamiętnik, będzie go zapewne przez długi czas uważało za jakąś świętą księgę *Exodus*, nim się pojawi tutaj „krytyk” i dowiedzie niezbitcie, że podanie o ziemskim pochodzeniu ludzi jest tylko dziecinną fantazją zamierzchłych czasów.

Myślę o tym, jako o rzeczy całkiem naturalnej; wszakże i mnie już wiele z tego, co sam przeżyłem, wydaje się tylko snem fantastycznym. Zwłaszcza choroba, podczas której leżałem przez całą księżycową dobę bez przytomności, utworzyła w życiu moim dziwną przerwę, tak że mi trudno było zrazu powiązać to, co się działo przed nią, z tym, co zobaczyłem, przyszedłszy do siebie, odróżnić rzeczywistość od gorączkowych majaczeń. Ale istotnie, przebudzenie moje było nader dziwne.

Otworzyłem oczy i nie mogłem nic zgoła zrozumieć z tego, co mnie otaczało. Spojrzawszy dokoła, spostrzegłem, że się znajduję na obszernej łące wśród wzgórz, pokrytej dziwnie świeżą, puszystą zielenością. Cała okolica zalana była łagodnym półświatłem, podobnym do ziemskich świtów, gdy słońce wydostaje się dopiero spod horyzontu. Tylko nagie szczyty wysokich gór płonęły w pełnym czerwonym blasku. Nad nimi sklepiało się niebo bladobłękitne, lekką mgłą zaciągnięte. Patrzyłem długo, nie umiając sobie zdać dokładnie sprawy z tego, gdzie się znajduję. Wtedy zobaczyłem na łące dwoje ludzi, idących z wolna i schylających się co chwila, jak gdyby czegoś szukali. Dokoła nich skakały dwa psy, poszczekując wesoło.

Zdawało mi się zrazu, że jestem na Ziemi w jakiejś nieznannej okolicy, i myślałem, skąd się tu wziąłem, gdy wtem przypomniała mi się nagle nasza księżycowa wyprawa i długa podróż w zamkniętym wozie przez pustynię lunarne. Rozejrzałem się jeszcze raz dokoła, o ile mogłem to uczynić nie podnosząc głowy, która mi ciążyła, jakby ołowiem nalana. Gdzież się podział wóz? gdzie są te dzikie krajobrazy, które widziane przez jego okna, tkwiły mi jeszcze w pamięci?

Chciałem zawołać na ludzi, znajdujących się nie opodal, ale nagle ogarnęło mnie takie ogromne znużenie, że nie mogłem głosu wydobyć. Zresztą zacząłem przypuszczać, że te wszystkie niesłychane przygody były snem tylko. Miałem zrobić wyprawę na Księżyc, zasnąłem gdzieś na jakiejś łące – kto wie jak długo spałem – i śniło mi się, że już tam był, że walczyłem z okropnymi trudami, traciłem towarzyszy, na śmierć się narażałem... To tylko dziwne, że nie znam tej okolicy...

Niejasna świadomość ciężkiej przebytej choroby zaczęła się budzić w moim umyśle. Tak, zapewne miałem gorączkę i w gorączkowych marzeniach wędrowałem po Księżycu. Ostatecznie dobrze, że ta mara już przeminęła. Doznałem ogromnej ulgi na myśl, że to wszystko snem było tylko, że znajduję się na Ziemi i nigdy nie będę zmuszony jej opuścić. Zrobiło mi się dziwnie słodko i błogo, a po chwili uczułem, że znowu zapadam w sen.

Gdym się obudził po raz drugi, spostrzegłem, że nad posłaniem moim stoją dwie, poprzednio widziane, postacie i rozmawiają półgłosem. Zdawało mi się, że dosłyszałem wyraz: „śpi” – na co drugi głos odpowiedział: „Będzie żył”. Zdziwiło mnie to, ale nie chciałem dać poznać po sobie, że czuwam, i tylko leżąc bez ruchu, zacząłem pilnie przypatrywać się spod w półprzymkniętych powiek stojącym nade mną ludziom. Choć, jak mi się zdawało, spałem dość długo, oświetlenie okolicy w niczym się nie zmieniło, trudno mi było zatem w niepewnym blasku rozpoznać pochylone nade mną twarze. Po pewnym czasie, gdy oczy przywykły do słabego światła, ludzie ci wydali mi się znajomymi, nie mogłem sobie atoli przypomnieć ich imion. Z wolna przeniosłem z nich wzrok na góry, widne na skraju widnokregu i wciąż jednakowo u szczytów oświetlone, choć, jak zauważyłem, blask padał na nie teraz z innej strony.

W tej chwili zobaczyłem między nimi coś, co zajęło całą moją uwagę. Nad głęboką przełęczą między dwiema wysokimi górami stał ogromny szarobiałły krąg, do połowy zza horyzontu wychylony. Patrzyłem nań długo, aż naraz wszystko mi się rozjaśniło: to była Ziemia – tam, na niebie świecąca!

Świadomość, że istotnie znajduję się na Księżycu, powróciła w całej pełni i dreszczem mnie przejęła. Krzyknąłem głośno i zerwałem się z posłania. Piotr i Marta – ich to bowiem przed chwilą widziałem nad sobą – podbiegli ku mnie z oznakami żywej radości, ale ja uczułem tylko ogromny zamęt w głowie i znowu straciłem przytomność.

Było to już ostatnie zemdlenie w ciągu mojej długiej choroby. Ocuściwszy się zeń, zacząłem z wolna powracać do zdrowia. Sto kilkadziesiąt godzin jeszcze upłynęło, nim zdołałem podnieść się i chodzić o własnej mocy. Piotr i Marta czuwali tymczasem z istic macierzyńską troskliwością nade mną, a ja, zbyt jeszcze osłabiony, aby móc rozmawiać i wypytywać, rozmyślałem jeno nad tym, co mnie otaczało. Wiedziałem już, że podczas mej choroby przybyliśmy do kraju z dawna upragnionego, gdzie nie brak powietrza i roślinności, ale długo nie mogłem się jeszcze oswoić z myślą, że stało się to w sposób całkiem naturalny. Trudno mi bowiem było uwierzyć, że cały ziemski miesiąc leżał bez przytomności, a wóz tymczasem, posuwając się wciąż ku północy, dotarł wreszcie do bieguna, odległego od nas jeszcze o paręset kilometrów, w chwili gdy mnie gorączka z nóg zwała.

Znajdowaliśmy się istotnie na samym północnym biegunie księżycowym. Dziwny kraj! kraj wiecznego światła i mroku zarazem, gdzie

nie ma stron świata, nie ma wschodów ani zachodów, południa ani północy. Oś księżycy jest prawie prostopadła do płaszczyzny ekliptyki, stąd też słońce nie zapada tutaj pod horyzont ani nie wznosi się na niebie, lecz zdaje się tylko toczyć wieczyście po widnokregu. Gdy się wyjdzie na góry, których tam jest kilka w pobliżu, widzi się to słońce jak kulę czerwoną i ognistą, czołgającą się leniwie u samego nieboskłonu. Szczyty gór płoną wieczyście w różowym obrzasku, który pada na nie z coraz innej strony; od stworzenia świata te góry nie miały nocy. Ale za to zielone doliny u ich stóp nigdy nie widziały słońca. Znajdują się one wiecznie w cieniu wzgórz; panuje tu wieczysty zmierzch lub świt wieczysty. Na świeżą, ciemną ich zieloność padają tylko odbłaski nagich, słońcem zarumienionych szczytów, podobnych do olbrzymiego wieńca bladych róż, rzuconych na murawę. Jeno czasem, raz na parę ziemskich miesięcy, słońce, wzniesione wskutek libracji Księżyca parę linii nad horyzont, błysnie w jakiej głębokiej szczyrbie między skałami płomienną, zarumienioną twarzą i stanie tak na chwilę w bramie z gór, jak cherub złocisty. Wtedy płynie wąwozem ogromna rzeka światła, spada ze skał kaskadami i znaczy się na mrocznej łące szeroką, złotoczerwoną smugą. Parę godzin przemija, słońce chowa się za góry, znowu łagodny półmrok zalewa cichą dolinę.

Czasami tylko przez ten mrok idzie od strony przeciwnej dziwny, słaby, do szerokiej, bladej, ruchliwej tęczy podobny obrzask nad górskie czoła – to księżycowa zorza biegunowa, podobna do ziemskiej jak sen do rzeczywistości, ale jak sen piękna, czysta i smutna.

Jest coś zadziwiająco tajemniczego w tym słabym świetle biegunowych krain Księżyca. Pamiętam, że patrząc na nie, doznawałem wrażenia, jak gdybym znalazł się we śnie na jakichś zaczarowanych Polach Elizejskich. Lekkie opary mgieł błądzą tam po nieskalanej zieleni jak duchy; ogromnej, upajającej ciszy żaden głos nie przerywa. Nadto panuje tutaj ciągle chłodna a pogodna wiosna. Mieszkaliśmy w tym kraju więcej niż pół roku, a przez ten czas raz tylko zaciągnęło się chmurami bladobłękitne niebo. Deszcz nie pada tam prawie nigdy i dlatego też nie ma wód, źródeł ani potoków. Powietrze jednakże tak jest nasycone parą wodną, że wilgoć ta wystarcza zupełnie dla rozwoju roślinności. Nasze trawy, drzewa i kwiaty poschnęłyby tam niezawodnie, ale też kraje przy księżycowym biegunie posiadają odrębną, sobie właściwą, a do warunków zastosowaną florę.

Łąki tutejsze utworzone są z dziwnie soczystych roślin, podobnych do ziemskich mchów i tak samo jak one obdarzonych zdolnością wysy-

sania wilgoci wprost z powietrza, tylko w daleko jeszcze wyższym stopniu. Gromadzą one w sobie tyle wody, że wyciskając naręczę tych porostów, otrzymywaliśmy po parę litrów tego tak cennego dla życia płynu. Napój zyskiwaliśmy zatem z łatwością, nieco gorzej było z pożywieniem. Znaleźliśmy parę gatunków soczystych roślin dających się jeść i wielką ilość ciekawych żyjątek, podobnych do dużych ślimaków bez skorupy, ale nie mieliśmy przy czym przyrządzić tej stawy. Nasze ze Ziemi zabrane zapasy paliwa wyczerpały się wkrótce, a w całej szerokiej okolicy nie mogliśmy znaleźć niczego, co by je mogło zastąpić. Nawet grubsze zdrzewiałe gałązki mchów były tak wilgocią nasiąkłe, że niepodobna z nich było rozniecić ognia, a o wysuszeniu ich w tym, jak łąźnia, parą przesyconym powietrzu nie mogło być mowy. Torf, któryśmy tam w wielkiej obfitości znaleźli, również wodą ociekał, gdy go się tylko w dłoni ścisnęło.

Właśnie byłem już zdrowszy i wychodziłem z naprędce skleconego namiotu na przechadzki po równinie, kiedyśmy zostali zagrożeni brakiem paliwa. Wiedliśmy na ten temat długie narady i robiliśmy różne próby, które zawsze spełzały na niczym, piotr podał myśl, aby wnosić grubsze, połupane gałązki i wyciśnięty torf na góry, gdzie słońce świeciło, w tej nadziei, że tam może łatwiej wyschną niż w mrocznej dolinie. Atoli i tam ciepło słonecznych promieni było za słabe. Po kilkadziesiąt godzin torf, poprzednio z wody wyciśnięty, nabierał znowu tyle wilgoci z powietrza, że cała praca okazywała się daremną.

Więc poświęciwszy wszystkie sprzęty drewniane, bez których tylko mogliśmy się obyć, rozpaliliśmy wielkie, ostatnie ognisko, próbując nad nim zebrany w okolicy palny materiał wysuszyć. Gdyby nam się to było udało, moglibyśmy utrzymywać wieczny ogień, podsycany wciąż nowym, przez siebie wysuszonym paliwem. Ale niestety i ta nadzieja nas zawiodła. Spaliliśmy wszystko, co się tylko spalić dało, a otrzymaliśmy zaledwie małą garstkę suchych gałązek i torfu. Pokazało się, że do wysuszenia pewnej ilości materiału trzeba go w trójnasób tyle spalić. Nasz „wieczny ogień” zagaśł po kilkunastu godzinach. Skorzystaliśmy tylko tyle, że puściliśmy przy nim w ruch maszynę nabijającą akumulatory wozu.

Musieliśmy się zatem obywać bez ognia. Powietrze nasycone wielką ilością pary wodnej, zawsze równomiernie ogrzane, znakomicie przechowywało skape ciepło słoneczne, tak że chłód nie dawał się nam we znaki. Bardzo nam trudno było jednak przyzwyczaić się do surowej stawy. Resztki zapasów sztucznego, bardzo odpowiednio dla organów

trawienia przyrządzonego białka i cukru schowaliśmy starannie na wypadek, gdybyśmy się kiedyś w dalszej podróży znaleźli w okolicy nie dostarczającej nam pożywienia. Nie odstępowaliśmy bowiem ani na chwilę od zamiaru posunięcia się dalej ku środkowi odwróconej od Ziemi półkuli Księżyca. Ale na razie od tej wyprawy powstrzymywały nas trzy okoliczności. Przede wszystkim ja byłem po przebytej chorobie zbyt jeszcze osłabiony, aby znieść trudy podróży, a następnie i Marta, która spodziewała się już wkrótce przyjścia na świat Tomaszowego dziecięcia, nie mogłaby się teraz narażać... Do tego dołączała się wobec braku paliwa obawa przed długimi, mroźnymi nocami, które miały na nas spaść, jak tylko, oddalając się od bieguna, opuścimy krainę wieczystego półświatła.

Mimo wszystkie niedostatki i obawy miesiące spędzone na biegunie należą do najprzyjemniejszych wspomnień mojego życia na Księżycu. Namiot płócienny, z Ziemi przywieziony, ustawiliśmy dokładnie na samym punkcie biegunowym, tak że wprost nad głowami mieliśmy konstelację Smoka, gdzie świeci polarna gwiazda Księżyca. Co prawda, widzieliśmy tę gwiazdę, która nam długo była drogowskazem, raz tylko u zenitu podczas zaćmienia słońca, gdyśmy się już w dalszą puścić mieli drogę. Gwiazdy bowiem, na bezpowietrznej pustyni dzień i noc widoczne, tu nie okazują się nigdy, krom gdy słońce zajdzie poza tarczę Ziemi i krótka noc ogarnie te kraje wieczystego świtu.

W namiocie spaliśmy tylko, zaś większą część czasu spędzaliśmy pod gołym niebem, rozkoszując się krajobrazem, który, mimo żeśmy się z nim oswoili, nie stracił dla nas łagodnego a przejmującego uroku. Wszystko tam jest dziwnie harmonijne i dostrojone do ogólnego, niesłychanie spokojnego tonu: zieloność i góry różowe, i blade niebo nad nimi, i świeże, chłodne, balsamiczną wonią tamecznych ziół przesiąknięte powietrze. I nam w dusze wchodził spokój... Ciepła serdeczność panowała w naszym szczupłym gronie. Wszystkie urazy, namiętności i nieporozumienia były od nas tak dalekie, jak owe straszne, przebyte pustynie, których wspomnienie wciąż jeszcze przejmowało nas dreszczem.

Czas mijał niepostrzeżenie, podczas gdyśmy godzinami całymi rozmawiali to o Ziemi, której rąbek ukazywał się jeszcze niekiedy w czasie pełni w postaci szarobiałej chmurki nad widnokretem, to o drogich towarzyszach, śpiących pod cichymi wśród pustyń mogiłami, to o przyszłości nieznannej, która nas czekała. Mówiliśmy o dziecku mającym przyjść na świat, o krajach, które zobaczymy, o wszystkim, z wy-

jątkiem jednej tylko rzeczy... Nigdy nie poruszaliśmy sprawy, która już raz o mało nie doprowadziła do wybuchu między mną a Piotrem, a mianowicie: do kogo z nas Marta ma w przyszłości należeć. Dziwna, ale zdaje mi się, że w owym czasie istotnie nawet nie myśleliśmy o tym. Przynajmniej ja nie myślałem. Wszak dzisiaj, po latach, gdy wszystko od dawna jest już rozstrzygnięte i dokonane, mogę się przyznać sam przed sobą... Kochałem tę kobietę, kochałem ją nawet więcej, niżli to zdolny jestem dziś wyrazić, ale miłość to była jakaś dziwna...

Kiedym patrzył na nią, na twarz jej delikatną i zeszczipłą, z której nie schodził nigdy pół smutny, pół marzący uśmiech, na dłonie jej drobne i blade, ciągle robotą jakąś zajęte, wydawała mi się tak niepodobną do tej Marty, znanej kiedyś, pięknej, namiętnej, pewnej siebie, a czasem wzdurliwej, i czułem równocześnie, jak mi wzbierało w piersi jakieś morze bezbrzeżnej czułości dla tej tak dobrej, a tak biednej istoty. Miałem ochotę przesunąć z wolna a lekko rękę po jej włosach i mówić jej, że gotów jestem zrobić wszystko, co leży w mej mocy, wyrzec się wszystkiego, czego bym mógł żądać, aby tylko ona choć trochę była przez to szczęśliwsza – z wdzięczności jedynie za to, że ją mogę widzieć.

Na Ziemi śmiano by się z takiej miłości; ja, gdy dzisiaj o tym myślę, jestem tylko smutny, bo widzę, że nic dla niej nie zdołał uczynić, choć zrobiłem największe, na jakie mnie stać było, poświęcenie.

A wszakże, jeśli żyję, jej to jedynie mam do zawdzięczenia. Gdym wówczas na przełęczy pod *Barrowem* zapadł w gorączkę, jej tylko starania przywróciły mi zdrowie i dzisiaj myśl o niej utrzymuje mnie przy życiu. Myśl to bolesna, ale tam na biegunie była jeszcze ode mnie daleka, nie przeczuwałem nawet jeszcze, jak się wszystko ułoży, i dlatego mówię, był to najszczęśliwszy okres mego życia na Księżycu. Martę miałem wciąż przy sobie. Póki byłem chory, czuwała nade mną; gdym już wyzdrowiał, odbywaliśmy razem wycieczki po dolinie, szukając ślimaków na obiad albo zbierając wonne zioła, którymi ona potem stroiła wnętrze namiotu.

Kiedy siły odzyskałem już w zupełności, wspinałem się z Piotrem na góry, aby zobaczyć słońce i ogromny, błydy krąg Ziemi na nieboskłonie, aby spojrzeć ciekawym okiem na kraje nieznanne i tajemnicze, nigdy wzrokiem ludzkim nie dosiężone, w które mieliśmy się zapuścić. Marta pozostawała wtedy w namiocie; był to czas, kiedy trud mógł jej już zaszkodzić.

Podczas jednej z takich wycieczek Piotr pokazał mi z góry drogę, którądy przybyliśmy na tę dolinę, i opowiadał o niesłychanych trudach, z jakimi musiał walczyć w górzystym kraju wśród nieprzeniknionej nocy, mając mnie chorego i Martę, wciąż jeszcze obezwładnioną bólem po stracie Tomasza.

– Wszystko musiałem sam jeden robić – mówił do mnie – i były chwile, kiedy mnie już rozpacz ogarniała. Parę razy straciłem drogę w skałach, kiedy indziej znowu musiałem wóz cofać, zapuściwszy się w wąwozy bez wyjścia. Myślałem, że już nie wydostaniemy się z życiem. W tych chwilach zwątpienia otuchą napępiał mnie widok barometru, który wznosił się ciągle. Ale pewna nadzieja zaświtała we mnie dopiero, gdyśmy się dostali na równinę za *Gioją*. Astronomowie ziemscy, chrzcząc ową górę tym mianem, nie przeczuwali nawet, że będzie ono miało dla nas znaczenie dosłowne – że po trudach i cierpieniach niewypowiedzianych tutaj zaświta nam wreszcie radość.

Noc się już rozjaśniła. Byliśmy tak blisko bieguna, że rozprószone w dość gęstej atmosferze światło słońca, niegłęboko pod horyzontem schowanego, tworzyło rodzaj szarego zmierzchu, pozwalającego rozróżniać przedmioty. Tam też odważyłem się po raz pierwszy wyjść z wozu bez powietrzochronu. W pierwszej chwili doznałem zawrotu głowy; atmosfera była jeszcze rzadka i trzeba było silnie robić pierśmi, ale można było oddychać. Nigdy nie zapomnę radosnego uczucia, jakie mnie przejęło, gdym zaczerpnął nareszcie księżycowego powietrza.

Potem opowiadał mi, jakie olbrzymie trudy ponosił przy przebyciu ostatniego pasma gór, dzielącego równinę pod *Gioją* od *Kraju Biegunowego*. Na pomoc Marty nie mógł liczyć, zwłaszcza że ja, zawieszony wciąż między życiem a śmiercią, wymagałem jej nieustannej opieki, musiał zatem sam w słabym obrzasku prowadzić wóz po bystrym zboczcu, zasypanym zwietrzałymi kamieniami.

W ośmdziesiąt parę godzin po północy stanął na przełęczy. Stamtąd rozpościerał się już widok na *Kraj Biegunowy*.

– Zdawało mi się – mówił – że zobaczyłem ziemię obiecaną; przed wzrokiem moim, przywykłym już do widoku dzikich skał i pustyń, leżała ta ogromna, zielona równina. Radość zapała mi oddech w piersi, w oczach uczułem łzy. Więc przez łzy patrzyłem na mroczne łąki i na słońce czerwone, widoczne z góry nad nami, choć daleko jeszcze było do pory, o której wzejść by powinno na tym południku.

Gdy to mówił, mimo woli obejrzelśmy się obaj za słońcem. Leżało na widnokręgu w stronie świata, która dotąd była dla nas północą, a odtąd stać się miała południem. Na półkuli Księżyca odwróconej od Ziemi był dzień.

Wtenczas po raz pierwszy ogarnęła mną nieprzemierzona żądza poznania tych krajów tajemniczych, nad którymi właśnie słońce stało. Schodząc z góry, już tylko o tym myślałem, a po powrocie do namiotu zacząłem układać plany dalszej podróży.

Piotr również był zdania, iż należy się zapuścić na południe, ku środkowi nieznannej półkuli.

– Tu nam jest dobrze – mówił – i moglibyśmy ostatecznie spędzić tu już całe życie, ale żyć moglibyśmy jeszcze spokojniej na Ziemi. Przybyliśmy na Księżyc, aby zbadać jego tajemnice, należy to zatem zrobić.

Tak więc nowa wyprawa została w zasadzie postanowiona, wstrzymał nas na razie tylko wzgląd na Martę. Czekając więc chwili, kiedy będzie sposobna do dalszej drogi, robiliśmy przygotowania i gromadzili zapasy.

Przede wszystkim przerobiliśmy wóz. Nie było celu brać ze sobą tak ciężkiej maszyny. Mieliśmy początkowo zamiar odjąć jego górną połowę, przez co byłby się stał podobny do głębokiej łodzi na kołach, ale powstrzymała nas od tego myśl, że możemy się znaleźć w okolicach mroźnych nocy, gdzie wóz szczelnie zamknięty i opalony będzie dla nas stanowił nieocenione schronienie. Odjęliśmy zatem tylko całą tylną część, dającą się odśrubować, gdzie poprzednio mieściły się nasze magazyny. Do zamykania powstałego przez to otworu mieliśmy płytę aluminiową, stanowiącą przedtem zamknięcie magazynów od zewnątrz. Oprócz tego usunęliśmy wszystkie części metalowe, służące do wzmocnienia ścian, a teraz niepotrzebne. Motor, zabrany niegdyś nieszczęśliwym Remognerom, naprawiliśmy, o ile się dało, i umieściliśmy w wozie na wypadek, gdyby się nasz zepsuł.

Te wszystkie przygotowania oraz sporządzenie zapasu żywności i wody, którą trzeba było mozolnie z mchów wycisnąć, zabrały nam więcej niż trzy miesiące czasu. Wreszcie wszystko było gotowe.

Piąty już raz stała Ziemia w pełni od czasu naszego przybycia na biegunową równinę, kiedy, powracając z dalszej, samotnej wycieczki, usłyszałem w namiocie kwilenie dziecka. Żaden głos w życiu nie przejął mnie tak do głębi duszy, jak ten słaby płacz istoty, która przychodziła powiększyć nasze grono i rozweselić naszą samotność. Usłyszawszy

go, rzuciłem naręczce uzbieranych jadalnych mchów i pędem już wpadłem do namiotu. Na posłaniu leżała Marta, blada i wysilona, ale promieniejąca radością. Zdawała się nawet nie spostrzegać mego przybycia. Całą jej uwagę pochłaniała maleńka istotka, owinięta w białe chusty i krzycząca wniebogłosy, którą namiętym jakimś ruchem przytuliła do wezbranej piersi.

– Mój Tom, mój Tom, mój śliczny, ukochany synek! – szeptała słabym głosem i śmiała się przez łzy.

Przy posłaniu kręciły się oba psy i wyciągając ciekawe mordy, obwąchiwały to nie znane im krzykliwe stworzonko.

Obejrzałem się za Piotrem i zadziwiła mnie jego postawa. Siedział w kącie namiotu zadumany i ponury. Ale na razie nie zastanawiałem się nad tym dłużej. Podbiegłem do Marty, chcąc jej powiedzieć, że cieśzę się jej dziecięciem, że ją błogosławię za ten dar życia, ale nie mogłem głosu wydobyć.

Chwyciłem tylko jej drobną, wychudłą rękę i wybąkałem coś niezrozumiałego. Spojrzała na mnie, jakby mnie dopiero teraz spostrzegła. Doznałem przykrego ukłucia w sercu, bo wzrok jej mówił mi, że jestem jej tak obojętny, jak tylko człowiek może być obojętnym dla drugiego człowieka. Nagły smutek mnie ogarnął, a ona zauważyła to widocznie, bo uśmiechnęła się do mnie, jak gdyby chcąc naprawić mimo woli wyrządzoną mi przykrość, i rzekła wskazując na dziecko:

– Patrz, Tomasz powrócił, mój, mój Tomasz... Zrozumiałem wtenczas, że żaden z nas nie zajmie nigdy miejsca w sercu tej kobiety, bo oddane będzie zawsze temu dziecięciu, w którym ona kocha nie tylko własną krew i własne ciało, ale także duszę zmarłego kochanka.

W milczeniu zabrałem się do przygotowania pożywienia i napoju dla Marty. Piotr wyszedł za mną z namiotu.

– Cóż ty myślisz o tym wszystkim? – zagadnął mnie, gdyśmy byli na dworze.

Nie wiedziałem na razie, co odpowiedzieć.

– A cóż, syn Tomasza przyszedł na świat... – wybąknąłem po chwili.

– Tak, syn Tomasza – powtórzył Piotr i zadumał się.

Nie chciałem go więcej o nic dopytywać, wiedziałem, o czym myślał.

Jak gdyby z obawy przed poruszeniem drażliwego tematu, mówiliśmy odtąd ze sobą prawie wyłącznie o wkrótce mającej się rozpocząć podróży. Marta szybko nabierała sił, zdrowie małego Toma zgoła nie

budziło obaw, postanowiliśmy więc przed nadejściem najbliższej pierwszej kwadry Ziemi puścić się w drogę. Była to najodpowiedniejsza pora, gdyż na środkowym południku odwrotnej półkuli księżycowej, wzdłuż którego mieliśmy się posuwać ku równikowi, właśnie z pierwszą kwadrą dzień się rozpoczyna. Wyruszywszy więc o tym czasie, mielibyśmy dwa ziemskie tygodnie światła przed sobą i w razie nieznalesienia pomyslnych warunków do życia moglibyśmy przed zapadnięciem nocy powrócić do *Kraju Biegunowego*.

Tymczasem w dwa tygodnie po narodzeniu Toma wypadł nów, a podczas niego zaćmienie słońca, drugie już, jakieśmy mieli na Księżycu oglądać. Pierwszego, tam nad pustynią, przytłoczeni obawą wiszącej nad nami śmierci, nie badaliśmy wcale, teraz za to chcieliśmy lepiej skorzystać ze sposobności. Wziąwszy tedy ze sobą narzędzia astronomiczne, upakowane w małym wózku, który ciągnęły psy, wyszliśmy na wzgórze najbliższej bieguny położone, skąd było widać Ziemię i słońce.

Widowisko było wspaniałe, ale badania nieświetnie się powiodły. Niski stan Ziemi na widnokregu przy atmosferze parą wodną przesyconej nie dopuszczał ścisłych pomiarów i przeszkadzał obserwacjom, tak że w kilka minut po zajściu słońca za tarczę Ziemi rzuciliśmy narzędzia astronomiczne, aby gołym okiem podziwiać tylko czarodziejską grę światła na nieboskłonie. Ziemia widniała przed nami na tle krwawozłotej zorzy w postaci ogromnego czarnego półkregu. Szeroko naokół niej zażegniete niebo pociemniało dalej i zasiało się gwiazdami. Wyglądało to, jakby stała na nocnym firmamencie luna jakiegoś wielkiego pożaru albo jakby to migotliwe światło polarne, które się żarzy na Ziemi w pobliżu biegunów, nagle tu przeniesione, skostniało i zastygło przed nami w niesłychanym jakimś wzmożeniu.

Do tego czasu mam niezatarte wspomnienie tego widoku na oczach. Zdawało mi się wówczas, że mi się pokazał w ogniu szerniały trup Ziemi. Było w tym coś strasznego i dziwnie przejmującego. Dzisiaj jeszcze, gdy myślę o Ziemi, staje mi przed oczyma w takiej okropnej, czarnej postaci, jak ją widziałem wtenczas, i muszę wysilać całą moc wyobraźni, aby ją sobie przedstawić jako srebrną, świecąca tarczę.

Nie mogłem znieść długo tego nad wyraz wspaniałego, ale jakiegoś bolesnego widoku i zwróciłem wzrok na gwiazdy, od paru miesięcy nie widziane. Błyszczały wszystkie nad moją głową, wyiskrzzone jak czasem u nas, na Ziemi, w zimowe noce. Patrzyłem na nie z lubością, jak na dawnych, dobrych znajomych, wyszukiwałem znane od dziecińczych

lat konstelacje i pytałem się ich w myśli, co tam słychać na tym rodzinnym moim globie, leżącym teraz przede mną jak żużel na płomiennej łunie.

Naraz spostrzegłem, że gwiazdy ćmią mi się w oczach. Przetarłem powieki sądząc, że łzy dawnym wywołane wspomnieniem wzrok mi zasłoniły, ale to nie pomogło: gwiazdy coraz słabiej były widoczne. I Piotr to zauważył. Byliśmy zaniepokojeni, nie umiając sobie zdać sprawy z tego zjawiska. Tymczasem gwiazdy przygasały ciągle, a nawet zorza w stronie, gdzie słońce zaszło na Ziemię, stawała się coraz mniej wyraźną i jakby zamazaną. W kilkanaście minut ogarnęła nas noc absolutna, bezgwiezdna, tylko w południowej stronie nieba znać było jeszcze lekki obrzask czerwonawy. Równocześnie uczuliśmy silny ciąg wiatru, rzecz w tej okolicy dla nas nową. Przejęci zdumieniem i trwogą nie śmieliśmy się ruszyć z miejsca.

Nareszcie zaćmienie się skończyło i słońce wyrzało zza kręgu Ziemi. Domyśleliśmy się tego raczej po powracającym dniu, gdyż mimo jasności ani słońca, ani okolicy nie mogliśmy dojrzeć. Wszystko tonęło w gęstym, mlecznobiałym tumanie mgły.

Teraz dopiero zrozumieliśmy wszystko. W *Kraju Biegunowym* nie tworzą się chmury i deszcz nie pada tylko dlatego, że powietrze wciąż jest równomiernie ogrzane, brak więc pobudki, aby się z niego para wodna wydzielala.

Tak bywa w zwykłych warunkach, podczas zaćmienia jednakże nastąpiło nagłe oziębienie, wskutek czego powstał wiatr, a para wodna w chłodniejszym powietrzu w mgłę się skropliła.

To naturalne wyjaśnienie nieoczekiwanego zjawiska uspokoiło nas znacznie, ale położenie nasze było tymczasem bardzo przykre. Dotkliwy chłód nas przejmował, a w tej ćmie niepodobna było odnaleźć drogi na dolinę, gdzie stał namiot. Nadto trapiła mnie myśl o Marcie. Nie było jednak rady, trzeba było sięść i czekać, aż się rozjaśni.

Jakoż, istotnie, wkrótce mgła się zaczęła podnosić. W niespełna pół godziny odkrył się widok na dolinę; już tylko szczyty wyższych gór tonęły w chmurze, gęstniejącej z każdą chwilą. Było widoczne, że spadnie deszcz, nie tracąc więc czasu, zaczęliśmy się spuszczać z pagórka. Nimesmy jednak zeszli z niego do połowy, błysło nad nami – a prawie równocześnie z głuchym echem grzmotu lunął na nas istny potop. W parę sekund byliśmy przemoczeni do nitki. Przez strugi leżącej się z niebios wody nic nie można było widzieć; błyskawice i grzmoty nie ustawały ani na chwilę.

Trwało to ze dwie godziny, przez które, przeziębli i zmokli, tuliliśmy się wraz z psami pod jakimś wystającym cyplem skalnym, który nam zresztą słabą tylko był ochroną. Gdy tylko deszcz ustal, powstaliśmy natychmiast, aby się puścić w dalszą drogę z powrotem, ale zaledwie wyrzeliśmy zza owego cypla, stanęliśmy, przerażeni widokiem, jaki się przed nami roztaczał.

Na miejscu zielonej kotliny leżało u naszych stóp szeroko rozlane jezioro.

Pierwszą myślą moją było: co się dzieje z Martą i dzieckiem? Miejsce, gdzie stał namiot, musiało być teraz zatopione. Puściłem się pędem ku jezioru, nie zważając na krzyki Piotra, który mnie chciał zatrzymać. Dopadłszy do wody poszedłem dalej w bród. Zrazu nie było głęboko, ale wkrótce miałem już wodę po pas. Zawahałem się chwilę, niepewny, czy brnąć dalej, czy się wrócić, a tymczasem Piotr, skoczywszy za mną do wody, chwycił mnie za rękę i zmusił do powrotu na brzeg.

Położenie moje było okropne. Straszliwy niepokój o los Marty aż potem kroplistym pokrył mi czoło, a musiałem przyznać słuszność Piotrowi, że brodząc przez zalew, narażam tylko życie, a jej w niczym pomóc nie mogę.

– Jeśli Marta zawczasu powódź spostrzegła – mówił – i schroniła się na pagórek, pomoc nasza jest jej na razie niepotrzebna, dość będzie czasu odszukać ją, gdy woda opadnie. A jeśli nie zdążyła uciec, także nic jej nie pomożemy.

Mówił to spokojnie, nawet z jakimś okrucieństwem, które mnie dreszczem przejmowało. Popatrzyłem mu w oczy i zdawało mi się, że w nich wyczytał okropną, zawistną myśl:

„Raczej niech zginie, niżby kiedykolwiek miała być twoją...”

– Pójdę im na pomoc mimo wszystko! – zawołałem.

– Idź – odpowiedział i usiadł spokojnie na brzegu. Chciałem iść rzeczywiście, ale łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać. A zresztą – dokąd miałem iść? – na środek tego jeziora? szukać ich pod wodą?

Usiadłem na brzegu obok Piotra, zły i zrozpaczony, i począłem uporczywie wpatrywać się w wodę. Po powierzchni jej pływały tu i ówdzie oderwane gałązki mchów, zresztą równa była i gładka; żaden powiew wiatru jej nie marszczył. Myślałem był właśnie, jak w tak krótkim czasie tyle wody mogło się zlać z atmosfery i ile godzin upłynie, nim to morze zdąży wyschnąć i my będziemy mogli odnaleźć trupy naszej towarzyszki i dziecięcia (jużem był bowiem nie wątpił, że poginęli), gdy naraz spostrzegłem, że gałązki mchów płyną wszystkie dość

szybko w jedną stronę. Widocznie niósł je prąd, co było znakiem, że woda znalazła sobie gdzieś ujście z kotliny. To spostrzeżenie ucieszyło mnie niezmiernie, gdyż pozwalało się spodziewać, że na opadnięcie wody nie przyjdzie nam czekać zbyt długo. Aby się więc upewnić, czy się nie mylę w przypuszczeniu, puściłem się brzegiem w tę stronę, w którą woda zdawała się płynąć.

Uszedłszy parę kilometrów natrafiłem na rodzaj zatoki, którą przebyłem w bród. Za nią byłem już pewny istnienia odpływu: na powierzchni znać było wynioślejsze miejsca, wyłaniające się z toni na kształt płaskich zielonych wysepek.

Wszystko to razem stanowiło widok niesłychanie piękny i ciekawy, zwłaszcza że w gładkiej szybie wody wśród zielonych wysp odbijały się czoła nadbrzeżnych łysych gór, już znowu słońcem różowo oświetlonych. Wówczas jednak niewiele zważałem na krajobraz, zajęty jedną tylko myślą: o Marcie. Bodaj czy nie po raz pierwszy wtedy uczułem jasno, jak mi ta kobieta jest droga i jakim straszliwym ciosem byłaby jej śmierć dla mnie... Z tą potworną myślą nie mogłem się pogodzić. Nie umiałem sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby się uratować, a mimo to czułem gdzieś w głębi duszy resztkę jakiejś rozpaczliwej nadziei, że ona żyje, i biegłem coraz szybciej naprzód, jak gdyby od tego, czy dotrę w krótkim czasie do miejsca odpływu nagromadzonej wody, mogło zależeć jej ocalenie!

Ale byłem zbyt wzburzony, aby móc myśleć logicznie – miałem tylko jasną świadomość tego, że życie moje bez tej niemojej kobiety i tego nie mojego dziecka nic nie jest warte i że gotów jestem nie zażądać jej nigdy dla siebie, gdybym ją przez to mógł ocalić... Kto wie czy los nie podsłuchuje czasem cichych ślubów człowieka...

Upłynęło już dwanaście godzin od chwili rozstania się z Piotrem, kiedy powstrzymała mnie w pochodzie szumiąca rzeka, utworzona z wody odpływającej szerokim wąwozem, który, dotąd przez nas nie dostrzeżony, stanowił bramę biegunowej kotliny ku nieznannej stronie kuli Księżyca. Znużony i zgłodniały usiadłem nad brzegiem, nie wiedząc, co począć.

Bezczelowość mojej gonitwy teraz dopiero okazała mi się w całej pełni. Zniechęcony do najwyższego stopnia, rozciągnąłem się bez myśli i woli na mchu ociekającym jeszcze świeżo opadłą wodą i patrzyłem w niebo znowu tak samo spokojne i blade, jak przed owym złowrogim zaćmieniem słońca.

Wtem zdawało mi się, że mnie ktoś woła po imieniu. Zerwałem się na równe nogi, nadsluchując pilnie. Po chwili znowu głos mnie doleciał, tym razem już wyraźniej. Jakoż, rozglądając się bacznie, dostrzegłem po drugiej stronie w rzekę zamienionego wawozu – Martę z dzieckiem na ręku, dającą mi z dala znaki. Ogarnął mnie istny szal radości. Nie zważając na niebezpieczeństwo, rzuciłem się w bród i wkrótce stałem tuż przy niej. Radość głos mi zatamowała, począłem więc tylko okrywać pocałunkami jej ręce, których mi ona, sama mocno wzruszona, nie broniała.

– Mój przyjacielu, mój dobry, drogi przyjacielu – powtarzała jeno zbladłymi jeszcze, a już uśmiechającymi się wargami.

Gdyśmy się oboje nieco uspokoili, zaczęła mi opowiadać, jak podczas katastrofy, spostrzegłszy powódź podmywającą namiot, zdążyła się jeszcze z dzieckiem i najcenniejszymi dla nas sprzętami schronić do wozu, który stał nie opodal. To ją ocaliło. Wóz, szczelnie zamknięty, po usunięciu wielu części przedtem go obciążających dość był lekki, aby się utrzymać na powierzchni wzrastającej wciąż wody, podsycanej strugami okropnej ulewy i w kaskadach walącymi się z gór potokami. W grzmocie piorunów i przy migotaniu nieustannych błyskawic unosił się wóz na falach jak ongi arka Noego, tym podobniejszy do niej, że tak samo uratował ród ludzki na tym globie od zatury.

Położenie Marty nie było bynajmniej godne zazdrości. Pozbawiona możliwości sterowania swym zaimprovizowanym statkiem, była zdana na wolę fali i wichrów, które miotaly nim jak łupiną. Do przestachu, wywołanego nagłą katastrofą, dołączał się jeszcze niepokój o nasz los i absolutna nieświadomość, jak się to wszystko skończy. Po ustaniu ulewy, gdy woda przestała wreszcie wzrastać, zauważyła Marta, że wóz płynie w pewnym oznaczonym kierunku. Domyśliła się, że go unosi prąd odpływającej gdzieś wody, ale to wzmogło tylko jej obawy. Wóz mógł z odpływem wpaść w jaką szczelinę albo w najlepszym wypadku zostać zapędzonym w odległą okolicę, gdzie by nam potem trudno go było znaleźć.

Odetchnęła dopiero nieco, gdy po kilkunastu godzinach spostrzegła, że z opadającego zalewu wyłaniają się łysiny pagórków. Wszystkie jej usiłowania jednakże, aby statek ku jednej z takich łysin skierować, spełzały na niczym. Słyszała już szum wody, uchodzącej owym wawozem, nad którym ją spotkałem, i była przygotowana, że wóz z nią gdzieś w nieznany kraj popłynie, gdy szczęśliwym trafem zatrzymał się u przyłodka, utworzonego z wystającej skały nad gardzielią parowu.

Przytomna kobieta skorzystała z chwili i zarzuciła linę przez otwarte okno na sterczący głaz, zabezpieczając się w ten sposób przed prądem, mogącym wóz każdej chwili unieść na nowo. W czasie gdy ja przyszedłem, niebezpieczeństwo już minęło, gdyż woda opadła do tego stopnia, że wóz osiadł na suchym miejscu.

W kilkanaście godzin później pozostały już tylko w kotlinie niewielkie kałuże, wyglądające jak szklane szyby wśród zielonych porostów.

Na Piotra czekaliśmy jeszcze spory kęs czasu. Doprowadziły go do nas psy biegnące za moim śladem. Przyszedłszy zmierzył nas podejrzliwym wzrokiem i nie mówiąc ani słowa, zabrał się do przeglądu ocalonych w wozie zapasów i narzędzi. Dziwny to człowiek! – żyję tu już z nim ziemskich lat jedenaście, a przecież zdarzają się ciągle okoliczności, w których nie umiem sobie zdać sprawy z jego charakteru, będącego szczególną mieszaniną odwagi, poświęcenia i stanowczości – z namiętnością oraz skłonnością do samolubstwa, zawiści, skrytości i zniechęcenia. Wiem o nim to jedno tylko, że jest zgoła nieobliczalny.

Katastrofa wyrządziła nam dość znaczne szkody. Straciliśmy w powodzi wiele potrzebnych przedmiotów bezpowrotnie, wielu innych musieliśmy z mozołem szukać po rozległej kotlinie. Namiotu uniesionego przez wodę na razie nie mogliśmy odnaleźć. Całe szczęście, że wobec robionych od dawna przygotowań do dalszej podróży większa część naszego dobytku w czasie ulewy znajdowała się już była we wozie. Odnieśliśmy jednak z tej powodzi także ważną korzyść, mianowicie: odpływająca woda wskazała nam drogę, którą się mamy puścić na południe.

Rozumowanie nasze było bardzo proste: jeżeli woda tak prędko odpłynęła, widocznie wąwóz musi prowadzić ku miejscom niżej położonym, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znajdziemy jakiś znaczniejszy zbiornik wody, wielkie jezioro lub morze, a co za tym idzie, i wybrzeża skraplane deszczem, a więc zapewne nie pozbawione życia.

Nim nadeszła pora odjazdu, byliśmy już od dawna ze wszystkim gotowi. Wóz stał opatrzony u samego ujścia wąwozu, otwierającego się przed nami jak brama do nowego świata; należało tylko motor elektryczny puścić w ruch za pomocą akumulatorów, nabitych jeszcze w czasie, kiedyśmy mieli ogień. Nawet duży kawał drogi zbadaliśmy na przód, zapuszczając się w wąwóz piechotą. Nie był to bity gościniec, zwłaszcza że ostatnie wody miejscami głęboko grunt porwały, ale w

każdym razie można się było tędy puścić nie narażając się na nadzwyczajne trudności. Czekaliśmy więc już tylko sposobnej pory, aby wyruszyć w ślad za tymi wodami, co spłynęły ku południu, w nieznany kraj przedziwnych cudów przyrody, którego długich nocy nie rozświetla nigdy srebrny krąg Ziemi, błyszczący nad pustyniami.

[Rozdział] II

Czterdzieści godzin przed nastaniem pierwszej kwadry Ziemi wyruszyliśmy w drogę. Na nieznaną półkuli Księżyca, dokąd zdążaliśmy, była jeszcze noc, ale niebawem miało już słońce oświecić te kraje.

Nie bez przykrego uczucia żalu, a nawet i niepokoju, opuszczaliśmy krainę biegunową. Zналиśmy ją już i wiedzieli, co nam dać może, podczas gdy wszystko, co nas czekało, było tajemnicą i przypuszczeniem. Mieliśmy się znowu narażać na palące słońce długich dni i mrozy nocy, zdających się nie kończyć nigdy, mieliśmy przebywać znowu wąwozy, góry, a może i pustynie w podróży do kraju, o którym nie wiedzieliśmy zgoła, czy nas przygarnie i wyżywi. Nadto brak paliwa niepokoił nas mocno. Co się stanie, myśleliśmy, jeśli się nabój naszych akumulatorów skończy nadspodziewanie prędko, prędzej, niż znajdziemy materiał do rozpalenia ognia i puszczenia w ruch maszyny, aby je nabić na nowo! Czy zdążymy wtedy powrócić piechotą przed nocą do *Kraju Biegunowego*, aby się zabezpieczyć przed nadchodzącym zimmem, tym groźniejszym dla nas, że nie będziemy mieli ognia? Była chwila wkrótce po wyruszeniu w drogę, kiedy chcieliśmy już wobec tych obaw zawrócić na mchami porośłą łąkę biegunową, aby przepędzić na niej całe życie, grzejąc się przy słabym ciepłe rozprószonych w atmosferze skośnych promieni słońca i żywiąc się jak ziemskie zwierzęta surowymi ślimakami i porostem. Ale wahanie trwało niedługo; ciekawość i nadzieja przemogły. Zapas żywności mógł nam wystarczyć na dość długi czas, wzięliśmy też ze sobą trochę wyciśniętego z wody torfu, spodziewając się, że w słonecznych okolicach uda się go nam o tyle wysuszyć, aby móc ogień rozpałić. Zresztą postanowiliśmy w razie najgorszym po wyczerpaniu naboju połowy akumulatorów zawrócić do Kraju Biegunowego.

W pierwszych kilkudziesięciu godzinach drogi nie zdarzyło nam się nic godnego uwagi. Wąwóz się skończył i wydostaliśmy się na

równinę podobną do biegunowej, tylko znacznie obszerniejszą. Znać na niej było również niedawną powódź; w promieniach wschodzącego właśnie słońca błyszcząły jeszcze tu i ówdzie rozległe, płytkie kałuże. Tutaj zastanowiła nas już odmienna flora, choć od bieguna byliśmy zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów oddaleni. Wśród znanych nam już porostów, ale znacznie nikszych niż na biegunie i rdzawą barwą zachodzących, sterczały z ziemi jakieś suche badyle, z rzadka rozsiane, a tak spiralnie zwinięte, jak u nas młode listki paproci. Chłód dawał się czuć silnie po nocy, którą te okolice już mają, choć z powodu, że słońce kryje się zaledwie parę stopni pod horyzont, podobna być musi raczej do zmiernicy. Rozgrzewaliśmy się zabijając ręce, jak czynią na Ziemi dorożkarze, kiedy Marcie przyszło na myśl, aby nałamać owych badyli i spróbować rozniecić z nich ognisko.

Wzięliśmy się zaraz do roboty, jakież było jednakże moje zdziwienie, kiedy pierwszy badyl, ujęty ręką, począł się rozwijać, to znów kurczyć, zupełnie jak żywa istota. Puściłem go z mimowolnym okrzykiem trwogi. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zacząłem badać te szczególne rośliny. Uciąłem jedną z nich nożem i przekonałem się, że są to wielkie, podłużne i mięsiste liście zwinięte podwójnie, naprzód w trąbkę, a potem w ślimak, podobnie jak rulony angielskiego tytoniu, o brunatnej, z drobnych zdrzewiałych łusek utworzonej zewnętrznej powłoczce. Na stronie wewnętrznej, jasnozielonej, rozsiane były liczne różowe żyłki. Cała roślina, póki żywa, obdarzona była zdolnością ruchu, podobnie jak nasze mimozy. Najwięcej zaciekało mnie jednak to, że wszystkie te zwinięte liście były znacznie cieplejsze od otoczenia – widocznie organizm ich przez jakieś procesy chemo-biologiczne sam sobie w wielkiej ilości wytwarza ciepło, którego mu brak podczas długich nocy.

Wszystko to było bardzo ciekawe, ale ostatecznie nadzieja rozpalenia ognia spełzła znowu na niczym. Zwracaliśmy więc z utęsknieniem oczy ku czerwonemu słońcu, czekając, rychło skape jego promienie ogrzeją okolice.

Do chłodu dołączył się i inny kłopot – nie wiedzieliśmy mianowicie, jaką obrać drogę. Mieliśmy jechać w stronę, w którą wody spływały, ale trudno to było rozeznaczyć na równinie, całkiem podczas powodzi zalanej. Gdyśmy się jeszcze namyślali rozglądając się po okolicy, Piotr zauważył w odległości paruset metrów jakiś duży, biały przedmiot. Ruszyliśmy zaciekawieni w tę stronę i znaleźliśmy nasz namiot, który uniesiony przez powódź, zatrzymał się dopiero tutaj na niewielkim pa-

górkę. Ucieszyliśmy się z odzyskania zguby podwójnie, raz, że namiot, jedyny, jakiśmy posiadali, był nam istotnie potrzebny, po wtóre zaś, że mogliśmy teraz wywnioskować, w jakim kierunku wody spływały. Namiot dostał się na tę równinę przez wąwóz, któryśmy właśnie przebyli, a zatem linia pociągnięta od ujścia wąwozu do miejsca, gdzieśmy go znaleźli, wytyczała mniej więcej kierunek prądu odpływającej ‘wody. Linia ta biegła przez płaszczyznę ku południu z małym zboczeniem na zachód.

Posuwając się w tę stronę, natrafiliśmy na wąski, kręty wąwóz górski, a następnie po przebyciu jeszcze jednej niewielkiej kotlinki dostaliśmy się na szeroką, zieloną dolinę, ciągnącą się wprost ku południu.

Po obu jej stronach wznosiły się wysokie pasma gór z licznymi, tkwiącymi w ich trzonie kraterami, podobnymi do tych, które zasiewają bezpowietrzną półkulę Księżyca. Szczyty gór pokryte były śniegiem; śnieg, spadły widocznie w nocy, leżał także jeszcze miejscami w dolinie, tając dopiero w promieniach niewiele nad horyzont wzniesionego słońca.

Ściekające zeń wody tworzyły spory potoczek, płynący bystro w licznych zakrętach.

W tej dolinie postanowiliśmy zatrzymać się pewien czas, przekonaliśmy się bowiem, że dalsza droga na południe o tak wczesnej porze dnia narażałaby nas na dotkliwie zimno w okolicach, gdzie jest coraz większa różnica między średnią ciepłotą dnia a nocy.

Gdyśmy wyruszyli znowu, słońce ubiegło już blisko trzecią część swojej dziennej drogi. Było ciepło i jasno. Śniegi w dolinie zniknęły całkowicie, a owe zwinięte badyle, przeważające już tutaj nad nikłymi porostami, zaczęły pod wpływem słonecznego ciepła rozwijać się szybko w ogromne, różnymi odcieniami zieloności malowane liście. Kształt ich był nader rozmaity; jedne podobne były do olbrzymich wachlarzy obwieszonych delikatną, ruchliwą frędzlą, inne znowu, nakrapiane różnymi barwami, wśród których przeważała czerwona i ciemnobłękitna, przypominały jakieś bajeczne pawie pióra. Były tam i takie, co miały brzegi wycięte w formę akantusowego liścia i najeżone kolcami, i takie, co zwinięte u dołu, tworzyły lejki, i jeszcze inne, gładkie i lśniące albo pokryte długim, żółtozielonym włosem, spadającym po obu stronach aż do ziemi – słowem, największa różnorodność barw i kształtów, a wszystko żyjące, ruchliwe, wijące się za najlżejszym dotknięciem. Nad brzegiem strumyka, wpółzanurzone w jego kryształowej fali, ciągnęły się znowu długie wodorosty, jak rdzawozielone węże

i liny, obwieszane, niby kwiatami, kręgami śnieżnej białości o silnym, upajającym zapachu. Gdzie indziej znowu, gdzie woda rozlewała się szerzej i prąd ustawał, rozwijała się delikatna rześa z kuł, w których postaci przetrwała mróz nocy, pokrywając nurt leciuchną i drżącą siatką, podobną do najprzedniejszych koronek z fioletowego i zielonego jedwabiu.

Byliśmy oczarowani tym zdumiewającym przepychem roślinności; za każdym krokiem spostrzegaliśmy coś nowego i godnego uwagi. Z zarośli poczęły wychodzić na słońce przedziwne stworzenia, podobne do długich jaszczurek, o jednym oku i kilku parach nóg. Przyglądały nam się ciekawie i pierzchały szybko za zbliżaniem się wozu. Psy puściły się za jednym z tych zwierząt i złowiły je. Odebraliśmy im tę zdobycz, ale zwierzę było już nieżywe, mogliśmy więc tylko na zwłokach podziwiać niezmiernie ciekawą jego budowę, zasadniczo odmienną od organicznych ustrojów na Ziemi. Kościec ograniczał się do podłużnego pierścienia, złożonego z ruchomych kręgów umieszczonych po obu bokach tuż pod skórą. Całą czaszkę tworzyły tylko silne szczęki, mózg mieścił się pod grzbietem, wewnątrz pierścienia. To, co uważaliśmy za nogi, było dwoma szeregami sprężystych, bezkostnych maciek, za pomocą których zwierzę czołgało się po ziemi z nadzwyczajną szybkością.

Znacznie później znaleźliśmy na Księżycu jeszcze wiele innych zadziwiających stworzeń, ale żadne nie zaciekawilo nas tak, jak to pierwsze, nader typowe dla tutejszej fauny.

W ogóle cała podróż nasza przez ową dolinę była jakby snem czarodziejskim, pełnym niespodziewanych a fantastycznych obrazów. Godziny mijały za godzinami, a widoki przed naszymi oczyma zmieniały się ciągle. Miejscami dolina zwężała się tworząc skaliste przesmyki, przez które przedzieraliśmy się z trudem tuż nad brzegiem potoka, urosłego już w sporą szumiącą rzeczkę, to znowu wjeżdżaliśmy na rozległe, koliste równiny, gdzie woda rozlewała się w szerokie jeziora o brzegach zarosłych albo piaszczystych. Zwierząt spotykaliśmy coraz więcej. Głębie wód roiły się od szczególnych potworków, w powietrzu unosiły się jakieś latające jaszczurki, podobne z daleka do ptaków o grubej szyi i długim ogonie. Ale co szczególna – wszystkie zwierzęta na Księżycu są nieme. Brak tutaj tych niezliczonych głosów życia, które brzmią wśród ziemskich łąk i lasów; jedynie gdy wiatr powieje, szleszczą ogromne liście tutejszych roślin, przerywając wraz ze szmerem strumienia wieczystą głuszę.

Bujna wegetacja ogromnie utrudniała nam posuwanie się naprzód. Co chwila trzeba było stawać i odwijać oplatane koło osi badyle tamujące ruch kół; czasem znowu przebijaliśmy się przez zarośla tak gęste, że wóz w nich prawie ustawał. Nieradzi byliśmy tym opóźnieniom, zwłaszcza że podróż i tak odbywała się bardzo powoli, gdyż musieliśmy się często zatrzymywać, już to dla zbadania okolicy lub poszukiwań żywności i paliwa. Pożywienia znajdowaliśmy pod dostatkiem. Nieocenioną usługę oddawały nam w tym względzie psy przez swój instykt zwierzęcy; krążąc wciąż po zaroślach, wynajdywały jadalne, mięsiste rośliny lub smaczne mięczaki. Znacznie gorzej było jednak z paliwem. Torf, zabrany z *Kraju Biegunowego*, wysechł wprawdzie i palił się wcale dobrze, ale musieliśmy go oszczędzać, bo zapas był niewielki, a w całej okolicy nie mogliśmy nic znaleźć, czym by się po jego wyczerpaniu ogień dało podsyć. Drzew takich, jak na Ziemi, nie ma tutaj wcale, zaś owe szerokie liście są tak soczyste, że gotują się raczej na ogniu, niż płonąć. Ten brak niepokoił nas bardzo, zwłaszcza że torfowiska, pokrywające niemal całą przestrzeń *Kraju Biegunowego*, pozostawiliśmy już daleko za sobą.

Tymczasem nadchodziło południe księżycowe i trzeba się było ostatecznie zdecydować, czy mamy jechać dalej, czy też z braku ognia wracać przed nocą do *Kraju Biegunowego*? Początkowo mieliśmy zamiar pójść za tą myślą; Marta zwłaszcza, bojąc się nocnego mrozu ze względu na Toma, namawiała nas do powrotu. Ja skłaniałem się również ku temu, ale Piotr oparł się stanowczo.

– Wracać teraz – mówił – znaczy skazać się na dozgonne pozostanie w biegunowej krainie. Zważcie, że obecnie mamy jeszcze akumulatory nabite, nabój ten wystarczy, aby przebyć jeszcze raz tę drogę z powrotem, ale co dalej? Jeślibyśmy kiedy chcieli znów wyruszyć w inne okolice Księżyca, jak nabijemy wyczerpane akumulatory wobec niemożliwości rozpalenia tam ognia?

– Ale podróż ku południu również do niczego nie prowadzi – zauważyłem – a narazamy się na mróz nocny, którego bez ognia nie będziemy mogli przetrzymać...

– Przed nocą możemy znaleźć jeszcze opał...

– Możemy go również nie znaleźć.

– Tak, ale to jest tylko przypuszczenie, podczas gdy wiemy z pewnością, że na biegunie go nie znajdziemy nigdy. Zresztą mamy jeszcze trochę torfu. Przy tym zapasie w ostateczności zdołamy jakoś przetrzymać, a następnego dnia poświęcimy cały na poszukiwania.

Nie mogliśmy Piotrowi odmówić słuszności, więc też ruszyliśmy dalej w stronę równika.

W kilkanaście godzin po południu niebo zaciągnęło się chmurami i spadł obfity deszcz. Był on dla nas bardzo pożądanym gościem, gdyż odświeżył upalne i duszne powietrze. Zaledwie strugi wody spłynęły i słońce zza obłoków wyjrzało, uderzył nas niezwykle silny szum.

Sądziliśmy początkowo, że to potok wezbrany tak szumi, ale wkrótce przekonaliśmy się, co było właściwą przyczyną tego zjawiska. Byliśmy właśnie w miejscu, gdzie dolina, załamując się ku zachodowi, tworzyła kolano, tak że dalsza jej część usuwała się sprzed wzroku. Gdyśmy się jednak znaleźli na zakręcie, otworzył się nam rozległy i wspaniały widok.

Paręset metrów przed nami dolina urywała się nagle, spadając szerokimi upłazami ku nieprzejrzaną równinie, ciągnącej się aż po krańce widnokregu. Potok staczał się w spienionych kaskadach po tych terasach, tworząc na nich szereg coraz niżej położonych stawów, aż wreszcie, dosięgłszy poziomu płaszczyzny, płynął przez nią krętą, srebrną wstęgą, ginącą gdzieś w niezmiernej oddali. Jak okiem zasięgnąć, kraj był równy i płaski, jedynie w pobliżu granicznych gór wznosiły się z rzadka rozsiane, obrączkowe wzgórza, nalane wodą jak czary. Takie małe i koliste jeziora, tylko o brzegach mniej wyniosłych, widno też było po całej płaszczyźnie. Bliższe wyglądały jak duże pawie oka, dalsze podobne były do pereł, naszytych gęsto na sinozielonym pluszu. Między nimi, jak srebrne nici różnej grubości, wiły się potoki, może nawet wielkie rzeki.

Wyszliśmy z wozu i stojąc na krawędzi terasu, patrzyliśmy długo w głębokim milczeniu na ten dziwny kraj przed sobą. Pierwsza odezwała się Marta.

– Zjedźmy tam – rzekła – tam jest tak ładnie...

Istotnie było tam pięknie, ale czy będzie tam i dobrze? – Mimo woli zadawaliśmy sobie to pytanie, przygotowując się do zjazdu po stromych upłazach na równinę.

Znalazłszy się po wielu trudach na dole, zostawiliśmy wóz nad brzegiem strumienia i zabraliśmy się zaraz do poszukiwań jakiegoś palnego materiału. Zeszliśmy całą okolicę wszerz i wzdłuż w kilkukilometrowym promieniu, kopaliśmy głębokie doły w nadziei natrafienia na torf lub na jaką żyłę węgla kamiennego, zrywaliśmy różne rośliny, próbując, czy się nie dadzą na opał, ale wszystko na próżno. Za kilka-

naście godzin miało już zająć słońce, kiedy wyczerpani i zniechęceni, zaprzestaliśmy wreszcie bezowocnych prób i poszukiwań.

Położenie nasze było nader przykre i zaczęliśmy już żałować, żeśmy opuścili zbyt lekkomyślnie *Kraj Biegunowy*. Strach nas przejmował na samą myśl, co się z nami stanie w nocy. Torfu mieliśmy niewiele, trzeba go było nadzwyczajnie oszczędzać, aby na całą noc wystarczył. Gdyśmy zrobili przegląd zapasu, pokazało się, że na dwadzieścia cztery godzin wypadała niewielka garstka zaledwie wypełniająca mały, przenośny piecyk.

– Ależ my pomarzniemy pałac tak oszczędnie! – zawołała Marta, gdyśmy jej pokazali przygotowane porcje. Piotr ruszył ramionami:

– Pałac więcej, pomarzniemy jeszcze pewniej – gdyż torfu braknie! Musimy się dobrze okrywać.

– Po cośmy wyjechali z *Kraju Biegunowego!* – zawodziła Marta. – Tom zimna nie zniesie – on taki maleńki i biedny.

– Ach! Tom! – szepnął Piotr lekceważąco przez zęby. Już wtedy spostrzegłem, że każda wzmianka o dziecku drażniła go niewymownie. Dotykało mnie to podwójnie; przede wszystkim, sam pokochałem ogromnie rozkosznego dzieciaka, po wtóre zaś, chodziło mi o Martę. Namiętnie do syna przywiązana, odczuwała boleśnie niechęć Piotra i nieraz widziałem, jak zwracała nań spojrzenie, w którym wyrzut łączył się z instynktowną obawą. Zauważyłem także, że dziecka nie zostawiała nigdy przy Piotrze, choć mnie powierzała je często, gdy sama musiała się czymś zająć.

– Tom nie jest najważniejszą osobą – mruczał Piotr dalej – i choćby umarł...

Marta zносиła zwykle milcząco podobne uwagi, ale teraz zerwała się nagle i przyskoczyła do Piotra z roziskrzonymi oczyma.

– Słuchaj, ty – wołała stłumionym głosem – Tom jest najważniejszą osobą i nie umarznie, bo pierwej ja zabiję ciebie i twymi kośćmi w tym piecu napalę!

Mówiąc to błysnęła mu przed oczyma małym indyjskim sztyletem, jakich ostrza tam zwykle zatruwają. Nie wiedzieliśmy nawet do tego czasu, że ma tę straszną broń przy sobie.

Piotr cofnął się mimo woli. Usiłował się naprzód uśmiechnąć, ale w głosie i wzroku Malabarki była taka straszna, nieubłagana groźba, że zbladł i na darmo starał się ukryć pomieszenie.

Roześmiałem się głośno, choć nieco wymuszenie, aby załagodzić sprawę.

– Marta dba o syneczka, ani słowa! – zawołałem. –Pójdź, Piotr, pomyślimy, jak się od nocnego mrozu zabezpieczyć, nie ofiarując własnych kości na opał!

Plan mój był dosyć prosty. Wykopaliśmy wspólnymi siłami obszerny dół, w którym wóz mógł się z łatwością zmieścić, a wtoczywszy go tam, przykryliśmy go jeszcze na wierzch ziemią i narzniętymi liśćmi. W ten sposób mogliśmy się spodziewać, że wóz nie będzie tracił dużo ciepła i da się łatwiej ogrzać.

Słońce już było zaszło, gdyśmy wreszcie ukończyli robotę. Jednak nie wchodziliśmy jeszcze do wozu – po długim dniu powietrze było ciepłe i miłe; szeroka, czerwona zorza wieczorna oświecała jeszcze z wolna w zmierzchu tonącą równinę, na której lśniły się tylko bliższe jeziora jak czary żywym srebrem albo, gdy pod zorzę było na nie spojrzeć, krwią nalane.

Usiedliśmy razem na wzgórku nie opodal wozu, ale rozmowa jakoś się nam nie kleiła. Ostatnie zajście silne na nas wszystkich wywarło wrażenie. Toteż po paru luźnie rzuconych uwagach zamilkliśmy i ciszę przerywał już tylko szum niedalekich kaskad i zlewający się z nim głos Marty, która śpiewała dziecięciu do snu jakieś rzewne i przeciągłe pieśni indyjskie.

Słuchałem tego śpiewu w zadumie, patrząc na gasnącą w mroku szybę jeziora, gdy wtem lekki okrzyk Piotra wyrwał mnie z zamyślenia. Spojrzałem nań pytająco, a on wyciągnął rękę w stronę równiny:

– Patrz, patrz!

Na równinie działo się coś dziwnego. W miarę jak niebo ciemniało, ziemia stawała się coraz jaśniejsza. Zrazu jakby garść drobnych, błękitnych iskier rozsypanych nad brzegiem potoka. Później tych iskier pojawiło się coraz więcej; błyskały na prawo, na lewo, przed nami, wszędzie. W pół godziny już cała równina lśniła, jakby tumanem niebieskawej, gwiazdzistej mgły zasnuta. Jeziora wyglądały na niej jak czarne plamy.

Marta zaprzestała śpiewu i patrzyła wraz z nami na to czarodziej-skie zjawisko.

Po pewnym czasie dopiero przekonałem się, że to była fosforescencja owych dziwnych, liściastych roślin pokrywających tu obszar ogromny. Wewnętrzna ich powierzchnia błyszczała tak jak próchno w głębi naszych lasów.

Nie trwało to długo. Zaledwie mieliśmy czas nasycić się niezwykłym widokiem, gdy światełka zaczęły gasnąć jedno po drugim. Liście zamykały się i zwijały pod wpływem chłodu na sen dwutygodniowy.

Obfita rosa zaczęła padać – i nam czas już był ukryć się w dobrze zabezpieczonym wozie.

Noc była mroźna, ale przetrwaliśmy ją nie najgorzej z naszym zapasem torfu dzięki przedsięwziętym ostrożnościom. Z wozu nie wychylaliśmy się ani na chwilę, aby nie tracić ciepła. Przez szyby nie mogliśmy także widzieć, co się dzieje na zewnątrz, gdyż jak wspomniałem, wóz cały był szczelnie okryty ziemią i chwastami. Przez te dwa tygodnie nocy byliśmy całkowicie odcięci od świata.

Dopiero gdy nasze kalendarzowe zegary wskazywały porę wschodu słońca, odważyłem się wyjrzeć na świat. Dla zabezpieczenia się przed zimnem ubrałem się w powietrzochron, którego grube i odpowiednio zrobione ściany stanowiły znakomitą ochronę. Wyszedłszy z wozu przekonałem się, że ostrożność moja nie była zbyteczna.

Spojrząwszy na równinę w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, nie mogłem jej zrazu poznać. Cały świat pokrywała gruba warstwa wyiskrzonego od mrozu śniegu. Tafle jezior po części zginęły pod śniegiem, po części zaś lśniły matowymi szybami lodu. Zdawało mi się, że zostałem nagle przeniesiony w jakieś arktyczne kraje.

Powróciłem co prędzej do wozu z wieścią, że teraz jeszcze wychodzić nie można. Ta zima wprawiła nas w niewesołe usposobienie, gdyż zapas torfu był już na schyłku. Istotnie przez całą noc nie cierpieliśmy tyle od chłodu, co z początkiem dnia, nim nastąpiła „wiosna”. Trzy ziemskie doby musieliśmy jeszcze na nią czekać, obywając się, co gorsza, w ostatku bez ognia. Ale po siedmdziesięciu godzinach walki z mrozem słońce wreszcie zwyciężyło. Śnieg roztopiony spływał strugami, jeziora wystąpiły z brzegów, potoki wszystkie wezbrały i gdyśmy po tym czasie wyszli na świat, na ociekającej wodą równinie rozwijały się już do słońca ogromne, wielokształtne liście i tylko szczyty gór okrywał jeszcze biały całun.

Z wyruszeniem w dalszą podróż, o której ciągle myśleliśmy, trzeba się było wstrzymać, aż okolica trochę podeschnie. Tymczasem zabraliśmy się na nowo do poszukiwań paliwa.

Podczas jednej z wycieczek, któreśmy w tym celu robili we wszystkich kierunkach, natrafiliśmy przypadkiem na głęboki dół, poprzedniego dnia księżycowego wykopany w nadziei znalezienia torfu lub węgla. Dół był po brzegi wypełniony wodą. Minąłem go obojętnie,

ale Piotr, snadź czymś niezwykłym uderzony, stanął i jał się pilnie weń wpatrywać. Uszedłem już był kawałek drogi, kiedy mnie głos jego doleciał:

– Janie! – wołał przyzywając mnie ręką – pójdźże, pójdź co prędzej i patrz!

Zastałem go na klęczkach; jedną ręką wspierał się na krawędzi dołu, drugą dawał mi znaki. Twarz, pochylona nad dołem, płonęła mu od wzruszenia.

– Co się stało? – zawołałem.

Zamiast odpowiedzieć, zaczerpnął dłonią wody o szczególnej, brudnożółtej barwie i podsunął mi ją pod sam nos.

– Nafta! – krzyknąłem radośnie, poczuwszy znany, ostry zapach.

Piotr skinął głową z tryumfalnym uśmiechem. Aby się przekonać, czy nas pozory nie łudzą, umoczyłem w cieczy chustkę od nosa i zapaliłem. Buchnęła jasnym, czerwonym płomieniem, w który patrzyliśmy obaj jak w tęczę, zwiastującą nam nowe życie.

Pospiesziliśmy niezwłocznie podzielić się z Martą tą dobrą nowiną.

Znalezienie źródła nafty miało dla nas olbrzymie znaczenie. Teraz mogliśmy już puścić się dalej ku południu lub pozostać na miejscu, nie obawiając się mroźnych nocy ani niedostatku gotowanego pożywienia. Kilkadziesiąt godzin poświęciliśmy zebraniu jak największego zapasu tego błogosławionego płynu. Wykopaliśmy w tym celu jeszcze parę głębokich dołów i zbieraliśmy gromadzącą się w nich ropę do czego się dało. Przed nadejściem południa mieliśmy już wszystkie rezerwoary pełne. Teraz odbyliśmy walną radę, co dalej czynić. Najprzezorniej byłoby pozostać na miejscu, w pobliżu źródeł nafcianych, ale nie mogliśmy się oprzeć pokusie posunięcia się dalej, ku morzu, które, sądząc ze wszystkiego, me powinno było zbyt być odległym. Oprócz ciekawości przemawiała za podróżą i ta okoliczność, że na wybrzeżu znajdziemy klimat znacznie złagodzony wpływem wielkiego zbiornika wody i mniej podległy dziennym wahaniom, mimo że przybliżymy się do równika. Mieliśmy zresztą tak znaczny zapas paliwa, że mogliśmy się z nim odważyć nawet na próbną tylko podróż, byliśmy bowiem pewni, że zdołamy w razie niepomyślnych okoliczności powrócić do źródeł nafcianych, do których, posuwając się nazad w górę za biegiem strumienia, nietrudno nam będzie trafić.

Ten dzień i najbliższą noc spędziliśmy jeszcze w tym samym miejscu na kraju *Równiny Jezior*, jak nazwaliśmy ową wielką płaszczyznę,

odkładając rozpoczęcie podróży do dnia następnego w tym mniemaniu, że będzie nam znacznie dogodniej mieć przed sobą trzysta kilkadziesiąt godzin słonecznych, podczas których nie będzie trzeba przerywać drogi z powodu nocy i mrozu. Ale za to, rychło tylko pierwszy świt zaróżowił śniegi, ruszyliśmy, nie czekając nawet wschodu słońca, choć mróz dobrze dawał się we znaki.

Ranne lub jakby tutaj powiedzieć należało: wiosenne powodzie zastały nas blisko sto kilometrów od miejsca, gdzieśmy stali> licząc po ziemsku, sześć przeszło tygodni. Zrazu nastanie roztopów zakłopotало nas bardzo; grunt rozmiękł do tego stopnia, że jazda stawała się wręcz niemożliwą. Dość wcześnie jednak przypomnieliśmy sobie, że wóz po założeniu odpowiedniego steru i zastąpieniu kół wachlarzami da się z łatwością zamienić na pływający statek, wobec czego nie tylko nie potrzebowaliśmy się obawiać powodzi, lecz owszem mogliśmy z niej skorzystać, puszczając się na fale wezbranego strumienia. Pomysł to był nadzwyczaj szczęśliwy, zwłaszcza że ten strumień i tak był dla nas nicią mającą nas zaprowadzić do morza. Oszczędzaliśmy przy tym mnóstwo paliwa, gdyż silny prąd unosił nas sam tak szybko, że nie potrzebowaliśmy się uciekać do pomocy wachlarzy dla przyspieszenia biegu.

Cały długi dzień księżycowy spędziliśmy tak na falach, z rzadka tylko przybijając do brzegu już to dla wypoczynku, już to dla zwiedzenia jakiej ciekawej okolicy nabrzeżnej.

Nim powódź opadła, posunęliśmy się tak daleko za biegiem wody, że strumień zamienił się w dużą rzekę, której koryto aż nadto było głębokie dla naszego drobnego statku.

Widoki i charakter krajobrazu po drodze zmieniały się ciągle. Przez pewien czas płynęliśmy wśród rozległego i jak się zdaje, dość suchego stepu, pokrytego roślinnością drobną i wątłą, zgoła niepodobną do wspaniałych liściastych krzewów, rosnących wyżej nad strumieniem. Było coś niezmiernie smutnego w jednostajnym widoku tej okolicy.

Wzgórza obrączkowe, nalane wodą po brzegi, i okrągłe jeziora, o skalistych, mało nad poziom wzniesionych krawędziach, wśród kopistych pagórków – pozostawiliśmy już daleko za sobą; teraz na prawo i lewo rozciągała się płaszczyna rdzawozielona, od której odbijały tylko miejscami fioletowe łączki jakiegoś drobnego niby-kwiecia lub ławy żółtego piasku, zalegające nieznaczne wzniesienia. Rzeka rozlewała się tu szeroko i płynęła tak leniwie, że puściliśmy motor poruszający wachlarze, aby bieg statku przyspieszyć.

Było już nieco po południu, kiedyśmy się zbliżyli do łańcucha skalistych wzgórz, zamykających ów step od południa. Rzeka była tu na przestrzeni paru kilometrów ścięsniona z obu stron skałami tak, że żegluga stawała się wysoce niebezpieczną. Prąd porywał nas co chwila i uderzał statkiem o rafy. Jedynie silnej budowie pocisku, teraz na łódź zamienionego, mamy do zawdzięczenia, żeśmy wyszli cało.

Tuż za ową bramą rzeka rozlewała się w duże jezioro, którego brzegi, utworzone z małych pagórków pokrytych nad wyraz bujną roślinnością i poprzerywane licznymi zatokami, tworzyły jeden z najpiękniejszych widoków, jakie spotkaliśmy na Księżycu.

Jeszcześmy byli nie przepłynęli jeziora, kiedy niebo, dotąd prawie ciągle pogodne, zaciągnęło się z nagłą ciemnymi chmurami. Zrazu radzi byliśmy temu, gdyż upał nieznośny srodze nam już dokuczał, ale wkrótce zaczęliśmy się niepokoić, przeczuwając nadejście burzy. Słychać już było dalekie, potężne grzmoty, a niebo od południa rozjaśniało się raz wraz krwawymi błyskawicami. Zaledwie mieliśmy tyle czasu, aby skręciwszy w bok, ukryć się w małej, wzgórzami zasłoniętej zatoce, gdy burza rozszalała się na dobre.

Znałem na Ziemi straszliwe burze tropikalnych krajów, ale przecież czegoś tak potwornego nie umiałbym sobie wyobrazić. Ogłuszające grzmoty zlewały się w jeden, nieustanny huk, przed oczyma wciąż nam stały pioruny, jak struny jakiejś ognistej harfy, gęsto między niebem a ziemią nawiązane. Deszcz... nie! to nie był już deszcz! potop lejącej się z chmur wody zamienił całą atmosferę w wiszące, wściekłymi wichrami targane jezioro. Powietrze, zmieszane z deszczem i pryskającymi pod wichrem w górę falami, było tak przesiąknięte elektrycznością, że rozbłyskiwało się czasem samo ze siebie, a wtedy mieliśmy przed oczyma dziwne, piekielne widowisko: pod krwawo z dołu zaczerwienionymi chmurami – atmosfera z przeźrocystego ognia, pełna kropel wielkich jak pięść, podobnych do kapiącego, roztopionego metalu.

Czasem burza uciszała się nagle; chmury, jak rozstępująca się na dwie strony zasłona, otwierały widok na błękitne niebo i słońce, ale zaledwie mieliśmy czas odetchnąć, niebo czerniało znowu i znów z natarciem straszliwego orkanu, pędzącego od południa, zaczynały ryć gromy i pluskać strugi tryskającej z chmur wody.

Trwało to wszystko z przerwami blisko czterdzieści godzin. Znużeni, zalekli i oszołomieni patrzyliśmy na te potworne zapasy ognia, wody i powietrza, przywiązawszy statek linami do jakichś sterczących z brzegu korzeni w obawie, aby zatoka, skacząca czasem pod nami jak

dziki zwierz w agonii, ostatnimi zrywany dreszczami, nie odrzuciła nas na pełne jezioro, na pastwę wichrom i falom.

Wreszcie uciszyło się wszystko i rozjaśniło na niebie – i już tylko wezbrane potoki szumiały wśród pagórków, wzdymając rozkołysaną jeszcze powierzchnię jeziora.

Wody wezbrały ogromnie. Musieliśmy jeszcze przeszło dwadzieścia godzin czekać, nim opadły do tego stopnia przynajmniej, że można się było odważyć na dalszą podróż. Płynęliśmy teraz znacznie szybciej, gdyż prąd wezbranej rzeki wzmógł się bardzo. Po drodze spotykaliśmy wszędzie ślady strasznego spustoszenia: całe obszary ziemi splukane, ogromne, dziwne rośliny, tworzące tu już gęste lasy szczególnie poplątanych liści i długich, grubych a mięsistych łodyg, leżały miejscami potargane wichrem na strzępy. Z każdej szczeliny buchały kaskady mętnej wody; na równinach stały płytkie kałuże, nad którymi gromadziło się mnóstwo najróżniejszych a przeważnie potwornych, do gadów podobnych zwierząt.

Dzisiaj, gdyśmy się już na Księżycu zaaklimatyzowali, wiemy, że te burze straszliwe są tu codziennym zjawiskiem w dosłownym tego wyrazu znaczeniu. Powstają one z powodu niesłychanego upału w porze popołudniowej, a są dla tego świata mimo swą okropność dobrodziejstwem, gdyż odświeżają atmosferę i wysychający grunt. Gdyby nie one, życie byłoby tu niemożliwe.

Nie będę opisywał naszej popołudniowej podróży – przeszła bez wypadków. Krajobraz tylko zmieniał się przed nami ciągle, a z nim i roślinność, choć zaznaczyć wypada, że flora na tym globie, nie mającym wyraźnych stref, jest znacznie jednostajniejsza niż na Ziemi.

Zbliżał się już wieczór, kiedy dostaliśmy się w miejsce, gdzie rzeka, zwolniwszy biegu, poczęła się rozlewać szeroko i tworzyć liczne mielizny, utrudniające nadzwyczaj żeglugę. Przyszło nam na myśl, że ma to być zapowiedzią niedalekiego ujścia.

– Zobaczymy morze – mówiliśmy sobie obracając oczy ku słońcu, jakby chcąc się upewnić, że jeszcze wystarczy dnia, aby dotrzeć do tego upragnionego celu podróży.

Ale tymczasem żegluga stawała się coraz trudniejszą. Uwięźnęliśmy parę razy na mieliznach, tak że wreszcie postanowiliśmy zamienić znów statek na wóz i puścić się dalej drogą lądową.

Zachód słońca zastał nas u podnóża niewysokich, z rzadka jakąś niby-trawą porośłych wydm piaszczystych. Przeczuliśmy, że za nimi znajduje się już morze; zdawało nam się nawet, że słyszymy wielki,

stłumiony łoskot fal i czujemy rozchodzącą się w powietrzu ostrą woń morskiej wody. Dlatego też, gnani niecierpliwością, mimo zapadający zmrok nie przerywaliśmy podróży.

Mrok zgęstniał już znacznie, kiedy dostaliśmy się nareszcie na szczyt owych wydm piaszczystych. Wyteżaliśmy wzrok, aby zobaczyć morze, ale niepodobna było nic rozeznaczyć. Przed nami lśniła się tylko upiornie fosforyzującymi roślinami pokryta płaszczyna; od wschodu, skąd słyhać było jakieś bełkotanie i jakby łoskot tryskającej wody, snuły się gęste, białe mgły czy opary, jak duchy błądzące po świetlistych łąkach. Nie wiedzieliśmy zrazu, co robić: pozostać przez noc na wyżynie czy też spuścić się na dół, gdy wtem wiatr, zerwawszy się nagle, rozwiął snujący się pasmem opar i odkrył potoczek, ściekający o kilkadziesiąt kroków przed nami po kamiennych progach w nieduże naturalne baseny, schodami w szereg ułożone. Widok ten trwał jedną chwilę, gdyż zaraz gęsty opar pokrył wodę na nowo i tylko plusk i bełkotanie wciąż uszu naszych dolatywały. Zastanowiła nas ta niezwykła ilość i gęstość oparu i ruszyliśmy w kierunku basenów. Za chwilę znajdowaliśmy się w gęstej, cieplej mgle. Koła wozu tętniały teraz po kamieniu.

Gdy wiatr znowu mgłę rozegnał, spostrzegliśmy, że znajdujemy się tuż nad brzegiem jednego z basenów. Ciepły, wilgotny powiew musnął nas po twarzy.

– Cieplice! – zawołaliśmy równocześnie obaj z Varadolem.

Istotnie musiały się gdzieś w pobliżu znajdować gorące źródła, gdyż woda, odpływająca strumykiem i rozlewająca się po basenach, miała dwadzieścia kilka stopni Celsjusa. Nie pora była badać po ciemku okolicę, postanowiliśmy tylko skorzystać z nader szczęśliwego przypadku i spędzić mroźną noc nad tą wodą, dostarczającą nam znacznej ilości ciepła.

Noc mieliśmy dość niespokojną. W cztery ziemskie doby po zachodzie słońca spadł gruby śnieg i mroźny wiatr przewiewał tak, że dla zabezpieczenia się od zimna musieliśmy wóz zepchnąć na ciepłą wodę basenu. Ciemności były nieprzeniknione. Niekiedy tylko, gdy wiatr na chwilę rozegnał wciąż podnoszące się z wody opary, widzieliśmy błyszczące w górze gwiazdy. Wtedy ukazywał się nam także na południu szeroki pas błękitnego światła, biegnący wzdłuż krańców widnokregu. Dziwiło nas to zjawisko, gdyż nie zniknęło długo w noc, choć fosforyzujące rośliny, któreśmy uważali początkowo za przyczynę tego światła, zamknęły się były już dawno. Blask ten ciekawie zagasł dopie-

ro dobrze po północy, gdy mróz z dala od cieplic musiał już być nadzwyczaj tęgi.

Nim to jednak nastąpiło, zaniepokoiła nas inna rzecz. Mianowicie około północy dało się odczuć silne wzburzenie wody, któremu towarzyszył głuchy grzmot podziemny. Prawie równocześnie dostrzegliśmy przez mgłę na wschodzie krwawą, słupem w górę idącą pożogę. Po kilku godzinach zgasła, ale wkrótce rozpalila się znowu i trwała tak na niebie z małymi przerwami przez cztery ziemskie doby, podobna do straszego, piekielnego ducha, pojawiającego się we mgle i nocy nad śnieżną pustynią.

Temperatura wody w basenie, kołysanej ciągłymi wstrząśnieniami gruntu, podniosła się wtedy cokolwiek, tak że cierpieliśmy raczej ze zbyt gorąca niż z jego braku.

Już w nocy podczas trwania zjawiska, które nas z początku zaniepokoiło, a nawet przeraziło, domyślaliśmy się, że gdzieś w pobliżu znajduje się wulkan, którego wybuch właśnie widzimy. Przemawiało za tym także samo istnienie silnych cieplic, pojawiających się najczęściej w wulkanicznych okolicach.

Nadchodzący dzień potwierdził nasze domysły. Zrazu mimo jasności nic nie mogliśmy widzieć, gdyż z powodu mrozu nie opuszczaliśmy jeszcze basenu, a mgły widok nam zasłaniały. Dopiero w czterdzieści godzin po wschodzie słońca wyszliśmy z wozu, przybiwszy od południa do kamiennego brzegu. Parę kroków szliśmy jeszcze w gęstej mgle, aż nagle, jakby za podniesieniem czarodziejskiej zasłony, otworzył się szeroki widok przed nami.

Stanęliśmy jak wryci, przejęci podziwem i radością.

O kilkanaście metrów poniżej, w odległości dwóch do trzech kilometrów od miejsca, gdzieśmy stali, było – morze.

Jego to fosforyzujące od drobnych żyłatek fale świeciły nad mdłym obrzaskiem długo w noc przez mgły i cienie.

Teraz widzieliśmy je wyraźnie. Nieprzejrzana, u brzegu lodem jeszcze ścięta, ale dalej już falująca i ruchliwa, słońcem pozłocona wodna płaszczyna ciągnęła się od naszych stóp gdzieś poza kresy widnokregu.

W pierwszej chwili byliśmy tak zachwyceni tym upragnionym widokiem, żeśmy długo nie mogli oczu odeń oderwać. Po pewnym czasie dopiero, nasyciwszy się tym, od czasu opuszczenia Ziemi nie widzianym majestatem, zaczęliśmy się rozglądać po okolicy. Od zachodu, wśród rozległych równin, połyskiwało szeroko rozlane, licznymi la-

wami piasku poprzerywane ujście rzeki, na której falach odbyliśmy większą część podróży dnia ostatniego. Od wschodu krajobraz był niezmiernie dziki i urozmaicony. Przede wszystkim pociągał tu wzrok niebotyczny, u szczytu śniegiem ubielony stożkowy szczyt wulkanu, panującego majestatycznie w odległości kilkudziesięciu kilometrów nad okolicznymi skalistymi wzgórzami. Południowe stoki tych gór, opadające ku morzu, czerniły się gęstymi lasami szczególnych a wielkich, dziwnie poplątanych liściastych krzewów i pnączów, rozwijających się właśnie z nocnego snu do życia, zaś bliżej nas tryskały wśród fantastycznie spiętrzonych głazów i małych dymiących jeziorok liczne perliste, chmurą białej mgły owiane gejzery. Odpływający z nich potok skakał po tarasach, zataczał się w basenach i ściekał szemrząc po głazach znów niżej, aż ginął w końcu wśród gąszcza zarośli, dążąc ku morzu.

Tu się miała zakończyć nasza Odyseja.

[Rozdział] III

Dziesięć lat ziemskich minęło od czasu, jak przybyliśmy nad brzeg morza, gdzie dzisiaj jeszcze mieszkamy. Niewiele się tutaj od tej pory zmieniło. Morze huczy tak samo i tak samo co noc świeci nam długo roziskrzonymi falami; co pewien czas powtarzają się wybuchy wulkanu, któryśmy przez pamięć naszego drogiego przyjaciela nazwali *Otamorem*; tak samo biją gejzery i strumyk szemrze po kamieniach –tylko na jednym z basenów teraz wznosi się na palach domek zimowy, a niżej nad brzegiem morza szałas, służący nam za letnie mieszkanie; tylko na piaszczystym wybrzeżu lub na łąkach bawi się czworo dzieci, zbierając muszle i kwiaty lub igrając z kilkoma psami, zrodzonymi już na Księżycu.

I myśmy już przywykli do tego świata. Nie dziwią nas długie mroźne noce ani dni, podczas których leniwie pełznące słońce ogniem z nieba zionie; popołudniowe, straszliwe burze, przeciągające regularnie co siedmset dziewięć godzin nad naszymi głowami, przestały napełniać nas trwogą; na dziki, fantastyczny krajobraz, na roślinność tak od ziemskiej różną i potworne a niedołęzne księżycowe zwierzęta patrzemy jak na rzeczy dobrze znane i naturalne... Za to Ziemia we wspomnieniach naszych staje się czymś podobnym do snu, który prze-

szedł i pozostawił po sobie jeno nieuchwytny jakiś i tęsknotą rozmarzający ślad w pamięci.

Siadamy czasem nad brzegiem morza i rozmawiamy o mej długo, długo... Opowiadamy sobie o krótkich ziemskich dniach, o lasach, o ptakach, o ludziach i krajach, które oni zamieszkują, o mnóstwie rzeczy znanych i drobnych, jakby o czymś niezmiernie ciekawym i w bajce tylko zasłyszanym. Tom jest już dosyć duży i rozumny i słucha tego wszystkiego rzeczywiście jak bajki. **On** nigdy nie był na Ziemi...

Ostatecznie urządziliśmy sobie tutaj życie dosyć znośnie. U stóp *Otamora* na skruszałym wulkanicznym podłożu odkryliśmy pnące, których grube i tęgie korzenie są dosyć zdatnym materiałem, mogącym zastąpić od biedy ziemskie drzewo. Wysuszone i ze zdrzewiałych łusek oczyszczone wielkie liście, nadzwyczaj silne i trwałe, zastępują nam skórę, a z włókien innych tkamy sobie rodzaj grubego i miękkiego płótna. Na równinie za rzeką znaleźliśmy po długich poszukiwaniach pokład brunatnego węgla, a także odkryliśmy znacznie bliższe od pierwszych źródła nafty. Żelazo, srebro, miedź, siarka i wapno znajdują się tu w dość znacznej obfitości; morze dostarcza nam mnóstwa bardzo przydatnych muszel i bursztynu, różniącego się od ziemskiego tylko barwą płomiennoczerwoną.

Z morza też wylawiamy przeważnie pożywienie. Żyją tu najrozmaitsze, szczególne, a jadalne skorupiaki i jakieś niby ryby, niby jaszczurki, wcale smaczne i pożywne. Oprócz tego zbieramy w piasku lub po zaroślach jaja – żadne z tutejszych stworzeń nie przychodzi na świat żywe, lecz wszystkie znoszą jaja, niesłychanie na mróz odporne, a wylęgające się nadzwyczaj szybko w słonecznym cieple – albo też przyrządzamy smaczne i posilne potrawy z kilku gatunków roślin, obficie tutaj rosnących.

Początkowo przykryło nam się tylko bez mięsnego pożywienia, ale teraz jużemy się przyzwyczaili. Wszystkie zwierzęta tutejsze mają mięso łykowate i smrodliwe tak, że jeść go niepodobna. Psy nim tylko nie gardzą.

Upłynęło kilka dni księżycowych, nimeśmy się tutaj jako tako zagospodarowali. Naprzód wzięliśmy się do wyszukania budulca i paliwa, po czym zaczęliśmy wznosić na palach, zrobionych z mocnych korzeni, domek zimowy na tym samym stawku cieplic, gdzieśmy we wozie pierwszą noc spędzili. Po ukończeniu tej najważniejszej roboty zaczęły się nasze długie wycieczki po okolicy, któreśmy odbywali przeważnie pieszo, mając ze sobą wózek z zapasami i narzędziami,

ciągniony przez psy. Psy są tutaj dla nas jedynymi zwierzętami roboczymi; ze stworzeń księżycowych chowamy tylko pewien rodzaj dużych, skrzydlatych jaszczurek, znoszących wielkie i smaczne jaja.

Czasami puszczaliśmy się na morze, płynąc wzdłuż brzegów. Wybrzeże ku zachodowi jest płaskie i piaszczyste, na wschodzie za to występują liczne, z wulkanicznych gór utworzone przylądki, pooddzielane głębokimi, daleko w głąb kraju wrzynającymi się zatokami. Prawie każda taka wycieczka, wodna czy lądowa, przynosiła jakąś korzyść; znajdowaliśmy coś nowego, co nam się mogło przydać, albo przynajmniej poznawaliśmy właściwości i tajemnice tej okolicy, w której snadź będziemy mieszkać już do śmierci.

Po trzynastu dniach księżycowych, to znaczy po ziemskim roku naszego pobytu nad morzem, znaliśmy już okolicę wcale dobrze, a oprócz domu mieszkalnego mieliśmy warsztaty, małą hutę, składy, stajnie dla psów, słowem, wszystko, co nam tu jest niezbędne do życia. Skończył się okres gorączkowej, wyteżającej czynności i z wolna przychodziła na nas nuda i gorsza od niej tęsknota za opuszczoną Ziemią. Były to dla nas czasy okropne; pamiętam, że nie mogliśmy sobie dać rady. Podczas dnia zwiedzaliśmy jeszcze okolicę, błędząc samopas po górach, albo zajmowaliśmy się dość łatwym gromadzeniem żywności, ale w długich nocach rozpacz nas już ogarniała. Zamknięci w małym domku nad powierzchnią ciepłego stawu, beczynni i rozleniwieni, staraliśmy się tylko spać jak najwięcej.

Ale i to nie zawsze się udawało. Siedzieliśmy wtedy milczący, nudą i tęsknotą obezwładnieni i niechętni sobie wzajemnie. Jest to prawdą, jedną z najniewątплиwszych, że nic tak ludzi nie zniechęca ku sobie, jak cierpienie i nuda. Miałem niestety sposobność stwierdzić to kilkakrotnie.

Można się było wprawdzie zająć i tym, i owym, zaprowadzić jakieś ulepszenia, pomyśleć o przyszłości, ale niezdolnymi do tego czyniła nas myśl, że skazani jesteśmy tutaj na wymarcie. Ludzie na Ziemi nawet nie wiedzą o tym, że większą część swej energii zawdzięczają myśli – czasem nieświadomej – że pracują nie tylko dla siebie, ale i dla tych, co przyjdą po nich. Człowiek chce żyć – otóż to jest wszystko. A tymczasem śmierć nieubłagana stoi mu przed oczyma i gdyby nie znalazł wybiegu, sposobu oszukania jej – a może tylko siebie? – dalibóg, nie wierzę, aby inna myśl oprócz tej strasznej i paraliżującej: ja umrę, mogła powstać w jego głowie! Są różne lekarstwa: jest wiara w nieśmiertelność duszy, jest wiara w nieśmiertelność ludzkości i dzieł człowie-

czych. Człowiek czynami swymi przedłuży własne istnienie, bo jeśli wspomni czasem o tych wiekach, kiedy jego już nie będzie, to wyobraża sobie, że jednak pozostanie wówczas jeszcze jakiś ślad jego pracy, i tak we własnych myślach staje się sam obecnym tej przyszłości, na którą już nie będzie patrzył żywymi oczyma. Ale do tego potrzeba mu wiedzieć, że będą po nim istnieli ludzie, którzy jeśli już nie wspomną jego imienia, to przynajmniej, nie wiedząc o tym, będą z jego pracy korzystać. To jest nieodzowny warunek życia jego czynów. Bo dzieła ludzkie są jak ludzie sami: żyją lub umierają. Dzieło, które żadnej zmiany w niczyjej świadomości nie powoduje, jest martwe.

Są to wszystko uwagi ogromnie proste i naturalne, ale uświadomiłem je w sobie zupełnie i jasno dopiero na Księżycu podczas owych długich, beczynnych i beznadziejnych dni w początkach naszego pobytu nad morzem.

Nieraz myślałem: dobrze by było zbadać granice tej wielkiej wody, przejechać ten kraj wzdłuż i wszerz, poznać jego góry i rzeki, porobić mapy, opisać rośliny, zwierzęta i minerały – ale w tej chwili stawało mi w myśli szydercze pytanie: i co komu z tego przyjdzie? Istotnie, co komu z tego przyjdzie, myślałem, komu opowiem to, co poznam, komu zostawię to, co piszę? Tom?... Ależ mały Tom umrze tak samo, jak ja, nieco później wprawdzie, ale to rzeczy nie zmienia: będzie ostatnim człowiekiem na tym świecie, na którym my jesteśmy pierwszymi. Z nim skończy się wszystko...

Ta świadomość paraliżowała wszystkie moje czyny, czy to gdy zamierzałem badać ten kraj zadziwiający i to morze, którym Księżyc nalany jest jak srebrna czara, suchym dnem zwrócona ku Ziemi, czy to kiedy myślałem o postawieniu trwalszego domu, założeniu nowych i lepszych warsztatów, ogrodu i zwierzyńca, słowem, o podniesieniu dobrobytu naszego małego gospodarstwa.

Wtedy to uczuliśmy obaj z Piotrem konieczność dania początku tutaj nowej ludzkości i oczy nasze zwróciły się znów na Martę. Usprawiedliwiam się dzisiaj sam przed sobą z tego, gdyż wiem, że to było zbrodnią i samolubstwem. I wtedy to wiedziałem, ale... ale... Człowiek chce żyć, za każdą cenę i jakkolwiek bądź, ale żyć – otóż to wszystko!

Było coś strasznego w naszym postanowieniu, zwłaszcza że było powzięte na trzeźwo i chłodno. Przynajmniej co do mnie...

Przywiązałem się był do Marty jakąś wielką miłością, cichą i tkliwą, ale ów czas, kiedy pożądałem jej dla siebie, dla zmysłów swych i szczęścia, minął już dawno i jak mi się zdawało, bezpowrotnie. Nawet

nie wiem, dlaczego minął... Czasem zdaje mi się, że tylko dlatego, iż pokochawszy ją prawdziwie, przekonałem się zarazem, że ona mnie nie kocha i nigdy kochać nie będzie, zajęta wieczyście myślą o tamtym, zmarłym i odrodzonym w jej synu.

Nie o Marcie tedy myślałem w owym czasie przede wszystkim, ale o dzieciach, o małych, wesołych dziewczynkach, z którymi, gdyby już urosły duże, mógłby się Tom ożenić, dając w ten sposób początek nowej ludzkości. Marzyłem o tym, jak o największym szczęściu; wszak wtedy praca nasza nie byłaby próżna, ze wszystkiego, co byśmy odkryli lub zrobili, korzystałoby ci, mający z pokolenia w pokolenie żyć przez długie wieki na księżycowym globie.

Nie powiem, aby te marzenia moje były całkiem nieosobiste. Owszem, myśląc o dzieciach, wyobrażałem sobie mimo woli, że są to moje dzieci, a poza ich wesołymi, uśmiechniętymi twarzyczkami błyskała mi cicha, dobra i pogodna postać Marty, mojej Marty... Nużące to były i aż bolesne marzenia, bo tak mi się zdawały dziwnie niepodobne do urzeczywistnienia...

A potem znowu robiłem sobie wyrzuty, patrząc na bądź co bądź niegościny i nie dla ludzi stworzony świat księżycowy. Jaki będzie – myślałem – los przyszłej ludzkości, lekkomyślnie tu przez nas dla nadania celu własnym czynom i racji własnemu życiu stworzonej? Poznałem już był o tyle warunki tego globu, że wiedziałem, iż ludzkość nie zdoła się na nim nigdy tak rozwinąć, jak na Ziemi. Człowiek będzie tu zawsze przybyszem i natrętem, który przyszedł nieproszony i – za późno. Tak jest, za późno. Księżyc mimo wszystko jest globem obumierającym.

Patrząc na tutejsze życie, zajmujące tak niesłychanie małą część powierzchni całego globu, na rośliny niby wspaniałe i bujne, ale o wiele mniej od ziemskich żywotne, na zwierzęta dziwaczne, ale skarłate i niedołączne, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że patrzę na przepych zachodzącego słońca. Tu życie już się przestało rozwijać, jest dojrzałe, przejrzałe nawet i czekające końca. I oto przyroda, pracując tutaj od wieków bez porównania więcej niż na Ziemi (gdyż Księżyc, jako mniejszy, pierwaj od niej ostygł i pierwaj stał się „światem”), nie zdołała wypracować sobie rozumnej istoty, a jeśli nawet wypracowała, to czas jej minął bezpowrotnie. To najlepszy dowód, że glob ten, zwłaszcza dzisiaj, nie jest dla takich istot.

Człowiekowi będzie tu zawsze ciasno i marnie.

Takie refleksje budziły się we mnie, ale uczucie jest u człowieka zawsze silniejsze od abstrakcyjnej myśli: mimo wszystko pragnąłem całym sercem, aby tu po nas byli ludzie. Czasem oszukiwałem sam siebie i starałem się upozorować to samolubne pragnienie, że chcę ludzkości dla Toma, aby go uchronić od losu najstraszliwszego: być człowiekiem samotnym i ostatnim. Ale to nieprawda: ja chciałem nowego pokolenia dla siebie.

Nie wiem, co Piotr myślał, jak czuł i rozumował, ale to pewna, że to samo pragnienie nie mniej silnie go opanowało. Dość długi czas upłynął, nim zaczęliśmy o tym rozmawiać ze sobą. Pamiętam, było to jakoś o zachodzie słońca: Marta z Tomem na rękę poszła ku cieplicom, a my siedzieliśmy obaj w milczeniu na wybrzeżu morskim.

Piotr patrzył długo za odchodzącą, a potem zaczął z cicha liczyć księżycowe dni, któreśmy już przeżyli.

– Dwudziesty trzeci zachód słońca – odezwał się wreszcie głośno.

– Tak – odparłem bez myśli – dwudziesty trzeci, jeśli policzymy i dni spędzone na biegunie, podczas których, co prawda, nie mieliśmy zachodów.

– I co dalej? – spytał Piotr. Ruszyłem ramionami:

– Nic. Jeszcze kilkanaście zachodów, może kilkadziesiąt lub paręset i będzie koniec. Tom zostanie sam.

– Nie o Toma mi idzie – rzekł. A po chwili dodał: – W każdym razie jest źle.

Milczeliśmy dość długo, potem Piotr znów zaczął:

– Marta...

– A tak, Marta – powtórzyłem.

– Trzeba coś postanowić?

Zdawało mi się, że w głosie jego usłyszałem znowu tę nutę, pamiętną mi z okropnej podróży przez *Mare Frigoris* po śmierci Woodbella. Odezwał się we mnie głuchy bunt. Spojrzałem mu bystro w oczy i odrzekłem z naciskiem:

– Trzeba.

On uśmiechnął się jakoś dziwnie i nic nie odpowiedział.

Tego dnia nie mówiliśmy już więcej o tej sprawie. Długa noc przeszła w milczeniu i nudzie. Tom był trochę niezdrowy i Marta, zaniepokojona, ciągle nim była zajęta. Patrzyliśmy na jej bezbrzeżną czułość macierzyńską i kto wie czy wtedy właśnie zrodził się w nas nieświadomie wstrętny plan wyzyskania jej miłości dla dziecka, aby ją nakłonić do uległości względem naszych życzeń. W każdym razie ta

noc pustki i nudy przekonała nas, iż trzeba ostatecznie „coś postanowić”.

Rankiem następnego dnia wybraliśmy się z Piotrem do lasów u stóp *Otamora*. Podczas tej wycieczki omówiliśmy sprawę ostatecznie: jeden z nas miał pojąć Martę za żonę, a drugi zobowiązać się nigdy mu w drogę nie wchodzić.

– Jeden z nas! – powtarzałem w myśli te słowa z jakimś tęsknym i bolesnym niepokojem.

W ustach Piotra, gdy je wymawiał, brzmiały jak groźba. Nie wiem, mozem się łudzić, ale tak mi się zdawało. Wybór między nami dwoma mieliśmy pozostawić Marcie, a dopiero w razie gdyby go bezwarunkowo nie chciała dokonać, mieliśmy ciągnąć losy. Piotr upierał się wprawdzie, aby rzecz od razu dać losowi do rozstrzygnięcia, twierdząc, że Marta nie zechce wybierać, ale ja sprzeciwiłem się temu stanowczo i wymogłem na nim tyle, że się zgodził wpierw Martę zapytać o zdanie. Przystał na to niechętnie i mówiąc wreszcie: „tak”, miał na ustach zagadkowy uśmiech, a w oczach dziwnie niedobre błyski.

Przyszedłszy do domu, zwlekaliśmy jeszcze długo ze stanowczą rozmową, tak byliśmy pewni niechęci Marty względem tego, z czym mieliśmy się do niej zwrócić. Przez cały czas Piotr chodził zamyślony i ponury, udając, że się czymś zajmuje, a ja błąkałem się nad morzem z sercem pełnym niewytłumaczonej obawy. Tego dnia miały się losy nas wszystkich rozstrzygnąć.

Wreszcie nadchodziło południe, duszne i upalne. Słońce, świecące na niebie od stu kilkudziesięciu godzin, prażyło całą okolicę nieznośnym skwarem, od którego więdły rośliny, czekając odświeżających deszczów. Nad morzem od południowo-wschodniej strony, tam, gdzie słońce już przeszło ponad równikiem, zbierały się gęste i czarne chmury. W niewielkich odstępach, podczas których powietrze wisiało nad nami zastygłe i ciężkie, zrywał się szalony, krótkotrwały wicher, bił o brzeg morskimi falami, wicherzył lasy, łamał perlister fontanny gejzerów i wył między skałami, zapowiadając codzienną porę burz.

Z letniego domku na wybrzeżu przenieśliśmy się do pieczary w okolicy gejzerów, która służyła nam zazwyczaj za schronienie w czasie burzy. Siedzieliśmy właśnie wszyscy troje przed jej wejściem, a mały Tom, czepiając się kolan matki, usiłował spacerować na własnych nogach naokoło tej podpory, kiedy Piotr rzucił na mnie znaczące spojrzenie, a potem z wyrazem nagłego postanowienia zwrócił się ku Marcie.

Uczułem przyspieszone bicie serca, które mnie aż w gardle dławiło. Nadchodząca burza działała na nas zawsze podniecająco; tego dnia przyłączyło się jeszcze osobliwe rozdrażnienie, spowodowane myślą o bliskiej i stanowczej, a tak ważnej rozmowie z Martą. Szczególnie na Piotrze znać było nienaturalny stan: rozszerzone źrenice błyszcząły mu niespokojnie, pierś wznosiła się szybko w nierównym oddechu, a na policzkach paliły się krwawe wypieki. Patrzyłem weń z zapartym oddechem, a on bez wstępów i przygotowań zapytał tak wprost:

– Marta, którego z nas wolisz?

Marta, zaskoczona tym nagłym pytaniem, zdawała się zrazu nie rozumieć, o co mu chodzi. Popatrzyła ze zdumieniem na mnie, na niego, potem znów na mnie i wzruszyła pogardliwie ramionami.

Piotr powtórzył:

– Marta, którego z nas wolisz?

Jego wzrok, uparcie w nią wbity, musiał jej więcej powiedzieć niż to pytanie, gdyż nagle wszystko zrozumiałwszy zbladła i z lekkim okrzykiem zerwała się z siedzenia. W rękę błysnął jej znowu sztylet, którym już raz groziła Piotrowi.

– Z was? Żadnego! – krzyknęła. Piotr przybliżył się o krok.

– A jednak musisz wybierać i... wybrać – rzekł z naciskiem.

Jej oczy w niemej rozpaczycy zatrzepotały jak ptaki, opętane przerażeniem. Zdawało mi się, że przez chwilę, przez krótką, przelotną chwilę zatrzymały się na mojej twarzy z jakimś błagalnym wahaniem czy namysłem – ale nie! to musiało mi się zdawać, na pewno tylko mi się zdawało, gdyż w tejże chwili podniosła obronnym ruchem rękę ze sztyletem i wyrzekła twardo:

– Nie wybiorę, a ciekawam, który z was się do mnie zbliżyć ośmieli! Nie chcę żadnego!

i znów, pamiętam, zdawało mi się, że ostatni wyraz zmięknął jej dziwnie w ustach, a oczy jej znów się z mym wzrokiem spotkały – ale niewątpliwie było to tylko złudzenie. Byłem wówczas tak podniecony... Święty Boże! chcę wierzyć, że to było złudzenie!

Tom, gdy matka wstała, usiadł na ziemi i patrzył z zaciekawieniem na całą scenę. Teraz Piotr dotknął ręką jego głowy. Marta to spostrzegła.

– Precz! – zawołała z trwogą – precz! nie zbliżaj się do niego! on mój!

Piotr się nie ruszył. Dotykając wciąż palcami głowy malca, patrzył na Martę uporczywie z szyderczym uśmiechem.

– A co będzie z Tomem? – spytał wreszcie. Marta zawahała się.

– Z Tomem? co będzie z Tomem? – powtórzyła prawie bezwiednie.

– A tak, gdy my pomrzemy, a on zostanie sam... Te słowa uderzyły w nią jak piorun. Otworzyła szeroko oczy, jakby dostrzegłszy nagle otchłań, o której dotąd nie myślała; westchnęła głęboko i usiadła, czując snadź, że sił jej brakuje.

– Tak, co będzie z Tomem... – powtarzała szeptem, patrząc na dziecko z bezradną rozpaczą.

A Piotr wtedy zaczął jej tłumaczyć i przedkładać, że dla miłości Toma musi wybrać jednego z nas. Wszakże nie zechce skazać ukochanego synka na straszną, samotną śmierć, a przedtem na straszniejsze jeszcze samotne życie? Cóż on będzie robił po naszym zgonie? Opuszczony, smutny, zdziczały, będzie się błakał samotnie po tych górach i nad brzegiem tego morza, ostatni człowiek, jedyny człowiek na tym globie, myślący o jednej tylko nieuchronnej rzeczy, o śmierci.

Przyjdą chwile, kiedy będzie przeklinał matkę, która mu dała życie. Nie mając się do kogo odezwać, zapomni ludzkiej mowy. Słowa, które się od nas nauczył, będzie gubił jedno po drugim, tak jak się rozsypuje niebacznie pieniądze na pustyni, gdzie nic za nie kupić nie można. Może zostanie mu wreszcie w pamięci kilka ostatnich bezużytecznych słów, których dźwiękiem będzie się długo pieścił, choć to będą zapewne słowa straszne, wyrażające grozę, samotność, opuszczenie i smutek. Gdy będzie rozpaczał, nikt go nie ukoi; gdy będzie czego potrzebował, nikt mu nie pomoże. Jeśli zachoruje, u posłania jego będzie stało jedynie okropne, szydercze widmo głodowej śmierci. Wtedy nawet psy, szczęśliwsze od niego o tyle, że się tu będą mnożyć i rozradzać, opuszczą swego pana, niezdolnego im już wydawać rozkazów. Może tylko jeden, wierniejszy, który mu był przyjacielem i towarzyszem samotności w braku człowieka, pozostanie dłużej, aż w końcu przerażony pełnymi ostatniej rozpacz martwymi oczyma, których zamknąć nie będzie komu, zacznie wyć ze strachem przeciągle i długo. Inne, już zdziczałe, zbiegną się na ten głos i... sprawią sobie ucztę z ciepłego jeszcze trupa ostatniego człowieka na Księżycu.

Mówił jeszcze długo, malując wszystkie okropności, na jakie Tom będzie skazany po naszym zgonie, a ja – skarż mnie Boże! – pomagałem mu, pastwić się nad tą kobietą i przekonywałem ją, że dla Toma powinna wybrać jednego z nas... Marta słuchała tego wszystkiego, nie odpowiadając ani słowa. Tylko na jej twarzy, początkowo zdumiałej, malowały się kolejno: strach, rozpacz, przygnębienie, rezygnacja.

Od południa słycać już było pierwsze, dalekie grzmoty nadciągającej burzy... Marta siedziała niema.

Gdyśmy wreszcie skończyli i Piotr zapytał ją, czy się zgadza poślubić jednego z nas, zdawała się zrazu nie słyszeć pytania. Dopiero gdy je powtórzył, drgnęła i podniosła głowę, jakby ze snu obudzona. Popatrzyła na nas, a potem odezwała się głucho, z trudem wymawiając wyrazy:

– Ja wiem, wam nie o Toma idzie, ale wszystko jedno... Macie słuszność... Ja dla Toma... zrobię... wszystko... Westchnęła spazmatycznie i umilkła.

– Brawo – zawołał Piotr – to rozumnie! A zatem – dodał, pochylając się ku niej – którego z nas wolisz?

Ja stałem na uboczu i patrzyłem na Martę. Cofnęła się odruchowo, jakby przejęta nagłym wstrętem, ale opanowała się w tejże chwili i spojrzała na nas. I znowu, znowu, już po raz trzeci zdawało mi się, że wzrok jej zatrzymał się chwilę na mnie, wzrok biednej, szczonej, osaczonej i o litość błagającej łani.

Wszystka krew uderzyła mi ze ściśnionego serca do mózgu.

Musiał i Piotr jej spojrzenie pochwycić, bo zbladł nagle i zwrócił się ku mnie z wyrazem jakiejś strasznej zaciętości.

W tej chwili Marta wybuchnęła gwałtownym, długo powstrzymanym płaczem i rzucając się na ziemię poczęła wśród tkan zawodzić z rozpaczą:

– Tomasz! mój Tomasz! mój dobry, ukochany Tomasz!

Wzywała zmarłego, jakby ją mógł wybawić od żywych.

Piotr zachnął się niecierpliwie. – Nie ma co mówić ani na co czekać – rzekł. – Ciągnijmy losy.

Chciałem się jeszcze opierać. Było mi duszno i straszno. Chmury powlokły już pół nieba, nad morzem raz wraz przelatywały olśniewające błyskawice. Mały Tom, widząc matkę płaczącą, zaczął sam płakać.

Postąpiłem krok ku Marcie.

– Marta...

– Marta – powtórzyłem, dotykając z lekka dłonią jej ramienia.

– Precz! precz! – zawołała – wy wstrętni obaj!...

– Ciągnijmy losy – naglił Piotr. Obejrzałem się. Stał za mną, trzymając w zamkniętej dłoni dwa końce chustki.

– Kto wyciągnie węzełek, ten ją weźmie. – Wskazał głową na leżącą wciąż na ziemi.

Ze mną działo się coś strasznego. W głowie miałem dziwną jasność, byłem nawet spokojny, tylko brakowało mi oddechu, jakby mi kto piersi całą górą przywalił. Patrzyłem na dwa rogi chustki, sterczące z Piętrowej dłoni, i naprzód zajął mnie obrąbek, w jednym miejscu nieco oderwany... Potem przypomniała mi się inna scena, na *Mare Imbrium*, gdzie tak samo mieliśmy ciągnąć losy – o śmierć... jak teraz o... miłość!

Piotr się niecierpliwił.

– Ciągnij! – zawołał.

Spojrzałem na niego. Twarz miał kurczowo wykrzywioną, oczy wbite we mnie uparcie. Zrozumiałem naraz wszystko. Jeśli wyciągnę los, będę musiał natychmiast zabić tego człowieka, gdyż w razie przeciwnym on mnie zabije. Mimo woli wsunąłem rękę do kieszeni szukając broni. Ale wtedy przyszło mi na myśl, że równie łatwo może się los dostać Piotrowi. Co wtedy? Czy będę miał dość siły, aby się wyrzec tej ukochanej kobiety, wiedząc, że mamy przypadek wszystko rozstrzygnął? Czy się nie zbuntuję kiedy przeciw niemu?

Kroplisty pot pokrył mi czoło.

Gdybym wiedział, że Marta mnie woli, że ma dla mnie choć trochę więcej serca niż dla Piotra, nie czekałbym losu...

Ale tak...

Wszak powiedziała przed chwilą: wstrętni obaj... Obaj!

Mam jej zadawać gwałt i do tego zabijać człowieka... albo uchylić czoła przed przypadkiem?...

Spojrzałem na Martę. Przestała już płakać i siedziała teraz cicho, zapatrzona w dalekie morze, jakby nie wiedząc, że mv tu o parę kroków...

Straszliwa, bezdenna, bolesna litość zdjęła mnie nad tą kobietą.

Trwało to wszystko zaledwie sekundę, ale już mimo woli wsuwałem znów palce w zanadrze i dotykając rękojeści rewolwera, wybierałem błędnym wzrokiem, kogo mam zabić: Piotra, Martę, siebie czy Toma, któregośmy zrobili nieświadomym narzędziem tortury dla niej...

Wreszcie po tym niesłychanym naprężeniu nerwów wszystko się we mnie rozprzęgło. Została tylko obojętność i... дума. Otworzyłem dłoń, zaciśniętą już około rewolweru.

– Ciągnij! – zasyczał Piotr zdławionym głosem.

– Nie! – odpowiedziałem z nagłym postanowieniem.

– Co?!

– Nie będziemy ciągnęli losów.

Jeszcze nie mógł zrozumieć. Wsunął prędko rękę do kieszeni i usłyszał trzask podnoszonego kurka rewolweru. A więc i on był przygotowany – nie omyliłem się. Ruchem szybkim jak błyskawica chwyciłem go za obie ręce. Przegiął się i zwinął w żelaznym uścisku, w oczach miał najwyższe przerażenie.

Usłyszałem przeraźliwy krzyk Marty. W pierwszej chwili zdawało mi się, że zadrgało w nim coś, jak gdyby radość, ale potem pomyślałem, że ona może obawia się o Piotra. Spojrzałem na niego – patrzył mi w oczy z bezsilną, rozpaczłą wściekłością. Zdawało mi się, że oczekiwał śmierci. Uśmiechnąłem się i wstrząsnąłem głową.

– Nie! to nie to... Bierz ją sobie – rzekłem i puściłem go. W pierwszej chwili oniemiał ze zdumienia. Popatrzył na mnie błędnie, a potem uśmiechnął się z przymusem:

– Jesteś szlachetny, tak, dziękuję ci... Co prawda, ja jestem młodszy, więc słusznie... Ale – tu zniżył głos – ale, czy mi przyrzekasz, że nigdy... nigdy...

Wskazał znów ruchem głowy w stronę Marty.

Spojrzałem mu w oczy.

– Tak, wiem, nie potrzeba... Dziękuję ci, ty jesteś... – wyrzekł prędko.

Przejął mnie wstręt nieopisany. Piotr zawahał się na chwilę, a potem odwrócił się szybko i podszedł ku Marcie. Spojrzałem i ja na nią i znowu nasze oczy się spotkały, ale teraz wzrok jej wyrażał jakąś bezbrzeżną pogardę czy nienawiść. Odwróciła się natychmiast, gdy spostrzegła, że na nią patrzę.

– Marta, mam być twoim mężem – rzekł Piotr.

– Wiem o tym. – Wymówiła to całkiem obojętnie.

– Marta...

– Co?

– Zbliża się burza...

– Widzę...

Piotr westchnął nerwowo.

– Pójdź, ukryjmy się w pieczarze.

W oczach tliła mu się straszna, zwierzęca namiętność, przez kurczem ściśnięte szczęki z trudem dobywały się słowa, a ciałem jego wstrząsały raz po raz febryczne dreszcze.

Nie śmiałem spojrzeć na Martę. Usłyszałem tylko jej głos, stłumiony, obojętny:

– Dobrze. Idę.

Piotr zawahał się jeszcze:

– Marta, oddaj pierwszej sztylet.

Rzuciła nim o ziemię, aż ostrze dźwiękło po kamieniach, i nie oglądając się weszła do groty. Piotr, chwyciwszy Toma na ręce, poskoczył za nią.

W tej chwili oślepiająca błyskawica przeleciała po czarnym niebie i głuchy, echem przedłużony huk grzmotu oznajmił początek burzy. Już i deszcz ulewny zaczynał padać, chłodząc spiekła i wysuszoną ziemię.

Zakręciło mi się w głowie i runąłem na kamienie, wybuchając straszliwym, niemęskim łkaniem. Nade mną ryczały nieustanne gromy, a świat cały ćmił się rozszalałą ulewą.

Tak się ułożyło nasze życie na Księżycu.

[Rozdział] IV

Zaczęło się tedy dla mnie życie samotne. Stosunki me z Piotrem nigdy nie były zbyt serdeczne, a wobec Marty nie mogłem się przemóc, aby być takim samym, jak przedtem. Coś stało między nami, jakiś żal obustronny i wstyd... bo ja wiem? I ona zmieniła się nie do poznania. Schudła, pobladła, zbrzydła nawet; zawsze w sobie zamknięta i małomówna, zdawała się mnie unikać. Całe długie godziny spędzała sam na sam z Tomem. Jedyne widok tego dziecka mógł dokazać cudu, że twarz jej zasepiona rozjaśniała się na chwilę uśmiechem szczęścia. Syn był dla niej wszystkim, o nim tylko myślała. Brała go często na kolana i pieściła długo i namiętnie albo opowiadała mu różne, przedziwne historie, których nawet nie mógł jeszcze rozumieć: o Ziemi, pozostawionej daleko, daleko w błękicie, o ojcu, leżącym w grobie wśród straszliwej pustyni, o sobie...

Piotr był zazdrosny. Zawsze dla dziecka niechętny, teraz spoglądał na nie czasem takim wzrokiem, że znając jego charakter, obawiałem się, aby mu nie uczynił jakiej krzywdy. Zresztą zazdrosny był i o mnie, choć unikałem wszelkich pozorów mogących mu dać pochop do tego. Z Martą sam na sam nie spotykałem się w początkach nigdy, a i w jego obecności niewiele z nią rozmawiałem. Za każdym razem jednak, gdym do niej słowo przemówił, czułem na sobie jego wzrok niespokojny i drapieżny.

Ciężkie było życie moje i Marty, ale bodaj czy on nie był najnieszczęśliwszy z nas trojga. Marta miała przynajmniej pociechę w dziecięciu, ja zaś to dumne, choć mamę zadowolenie, jakie daje spełnienie dobrowolnej ofiary, podczas gdy on, Piotr, nękany zazdrością przy boku pożądanej, a zimnej dla siebie kobiety, nigdzie nie miał oparcia. Ja mimo woli odsunąłem się od niego, a Marta była wprawdzie we wszystkim uległa i powolna jego życzeniom, ale na każdym kroku dawała mu do poznania, że uważa go jedynie za narzędzie, za pomocą którego chce zapewnić błogosławieństwo ludzkiego towarzystwa swemu synowi na Księżycu. Nie widziałem nigdy, aby się doń zwróciła z cieplejszym, serdecznym słowem; gdy okrywał jej ręce lub twarz pocałunkami, nie broniła się, ale siedziała nieruchoma, sztywna i obojętna, tylko w oczach jej przebijał się czasem wyraz znużenia i... wstrętu.

A przecież on ją kochał po swojemu, ten człowiek, i wszelkich środków używał, aby wymóc na niej wzajemność – jak gdyby taką rzecz czymkolwiek można było wymóc! Były chwile, kiedy jej groził i starał się okazać swą przewagę, ale ona wtedy patrzyła nań obojętnie i spokojnie, nie strwożona, ale i nie mająca ochoty mu się sprzeciwić. Gdy co rozkazał, spełniała bez szemrania, ale i bez uśmiechu, zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy o co prosił. To go doprowadzało do rozpacz. Widziałem, że chciał czasem wywołać u niej bodaj bunt i nienawiść, aby ją tylko wyrwać z tej strasznej obojętności. Chwytał się więc ostatniego sposobu: prześladował Toma. Przy mnie nie śmiał się tknąć dziecka; powiedziałem mu raz, że gdy najmniejszą krzywdę wyrządzi chłopcu, strzelę mu w łeb, a wiedział, że od owego pamiętnego południa zawsze rewolwer noszę przy sobie. Ale podczas mojej nieobecności bił Toma. Dowiedziałem się o tym dopiero znacznie później i przypadkiem... Marta bez słowa, bez wybuchu, pogroziła mu wtedy sztyltem, który ja jej oddałem, podniósłszy go wówczas, gdy wchodząc do groty, rzuciła nim o ziemię.

Więc znowu kiedy indziej, popadając z ostateczności w ostateczność. Piotr rzucał się jej do nóg i szlochał, i błagał zmiłowania.

Byłem raz niepostrzeżenie świadkiem takiej sceny.

Wracałem był właśnie z samotnej wycieczki do dość odległych źródeł nafty, kiedy zbliżywszy się ku domowi, usłyszałem podniesiony głos, a potem płacz Piotra. Marta siedziała na ławce w ogródku, założonym przez nas na wzgórzu, skąd się roztaczał niesłychanie wspaniały widok na góry i morze, a u nóg jej na piasku leżał Piotr. Złożone ręce oparł o jej kolana i modlił się do niej wprost twarzą, wzrokiem, głosem.

– Marta – mówił – Marta, zmiłuj się ty nade mną! czy nie widzisz, co się ze mną dzieje! Przecież to jest okropne... Ja szaleję za tobą, ja od zmysłów odchodzę, a ty... ty...

Jakieś spazmatyczne, niemiłe łkanie przerwało mu mowę.

Marta nawet nie drgnęła.

– Czy chcesz czegoś ode mnie, Piotrze? – spytała po chwili.

– Chcę twojej miłości!

– Jesteś moim mężem...

– Kochaj mię!

– Dobrze. Kocham cię.

Mówiła to wszystko powoli, spokojnie i tak strasznie obojętnie, że mnie aż mróz przeszedł. Piotr zerwał się na równe nogi:

– Kobieto! nie drażnij mnie! – syknął.

– Dobrze. Nie będę cię drażniła.

Piotr chwycił ją obiema rękami za ramiona, twarz miał ściągniętą od bezsilnej wściekłości. Mimo woli wyciągnąłem rewolwer; tętno biło mi gwałtownie, ale czułem, że mi ręka nie zadrży.

– Czy mnie chcesz bić, Piotrze? – zapytała Marta znowu takim głosem, jakby mówiła: Czy chcesz się napić wody?

– Tak, będę cię bił, tłukł, mordował, aż... aż...

– Dobrze, bij mię, Piotrze... On jęknął i zatoczył się jak pijany. Przystąpiłem bliżej, aby przerwać swoją obecnością tę straszną scenę.

Widok wieczystego, przygębajającego smutku Marty i wewnętrznych, okropnych walk Piotra byt mi nad wszelki wyraz przykry, a że i oni unikali mnie po części, choć każde z innego powodu, więc tak wszystko złożyło się na to, że większą część długich dni księżycowych spędzałem w najzupełniejszej samotności. Przywykłem do tego powoli. Zresztą mogłem już teraz myślać o przyszłości zapelnąć pustkę i nudę, na którą się sam dobrowolnie skazałem. Inaczej wprawdzie wyobrażałem sobie był niegdyś małżeństwo Jednego z nas” z Martą: marzyłem o jakiejś pogodnej, cichej, choć nie pozbawionej tęsknego smutku sielance, o nowym, serdecznym węźle, łączącym nasze szczupłe grono, o rozmowach długich, prowadzonych głosem przyciszonym, a wypełnionych zapobiegliwą troską o szczęście i wygodę tych, którzy mają przyjść po nas; ale choć rzeczywistość zniszczyła doszczętnie te wszystkie piękne marzenia, to przecież dała mi jeden nieoceniony skarb: nadzieję nowego pokolenia. Kochałem już to przyszłe pokolenie, te nie moje dzieci, jeszcze nim przyszły na świat. W długich samotnych wędrówkach myślałem o nich nieustannie. Dla nich gromadziłem zapa-

sy, badałem okolice, spisywałem spostrzeżenia; dla nich odgrzebałem z pyłu i uporządkowałem przywiezioną z Ziemi biblioteczkę; dla nich robiłem cegły i wypalałem wapno, aby zbudować murowany dom i małe obserwatorium astronomiczne; dla nich wytapiałem z rudy żelazo albo kułem ze srebra, obficie się tu znachodzącego, różne naczynia, sporządzałem szkło, papier i inne, niezbędne dla cywilizowanego człowieka materiały. Tak się niewymownie cieszyłem tymi dziećmi, które się miały dopiero narodzić! Zdawało mi się, że z ich przyjściem coś się musi koniecznie zmienić na lepsze, że ich uśmiech i szczebiot rozwieje wreszcie tę duszną atmosferę, która wśród nas panowała.

Nie czekałem zbyt długo. W rok niespełna powiła Marta bliźniaczki: dwie córeczki. Przyszły na świat w nocy. Gdy usłyszałem z drugiej izby, gdzie siedziałem z Tomem, ich pierwszy, słaby płacz, zerwałem się podrzucony szaloną radością, ale w tejże chwili ścisnął mnie za serce taki straszliwy, nieukojony ból, że zacząłem gryźć palce, aby stłumić przemocą wydzierające się łkania, a łzy polały mi się z oczu.

Tom patrzył na mnie ze zdziwieniem, nad słuchując równocześnie głosów dochodzących z drugiej izby.

– Wuju – rzekł wreszcie (tak mnie zawsze nazywał) – wuju, co to tam tak płacze, czy mama?

– Nie, dziecko, to nie mama płacze, to... takie małe dzieciątko, jak ty, jeszcze mniejsze.

Tom zrobił poważną minę i zaczął się namyślać.

– A skąd to dziecko? a po co to dziecko? – pytał znów.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. On tymczasem przypatrywał mi się bacznie.

– Wuju, a o co wuj płacze? – zapytał nagle. Istotnie, o co ja płakałem?

– Bom głupi! – rzekłem opryskliwie, odpowiadając raczej własnym myśłem niż jemu.

Dzieciak pokiwał głową z niesłychaną powagą.

– A nieprawda! ja wiem, że wuj nie głupi. Mama tak nie mówiła. Mama powiedziała, że wuj jest dobry, bardzo dobry, tylko... tylko...

– Tylko co? jak ci mama powiedziała?

– Zapomniałem...

W tej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął Piotr. **Był** blady i widocznie wzruszony. Uśmiechnął się do mnie gorzko, ale szczerze – po raz pierwszy od roku – i rzekł:

– Dwie córki... A zaraz dodał:

– Janie, proszę cię, Marta chciała, żebyś jej przyprowadził Toma.

Wszedłem do izby, gdzie leżała chora. Zobaczywszy syna, wyciągnęła do niego ręce od razu.

– Tom! pójdźże i patrz! masz dwie siostrzyczki, dwie naraz! To dla ciebie! Ty mi przebaczysz, Tom, prawda? przebaczysz... Ale to dla ciebie, tylko dla ciebie, mój najmilszy, jedyny, ukochany synku! – mówiła urywanym głosem, przyciskając dziecko do piersi. Tom się zadumał.

– Mamo, a co ja będę robił z tymi siostrzyczkami?

– Co ci się spodoba, mój maleńki, będziesz je bił, kochał, drapał, pieścił, wszystko, co ci się spodoba! A one będą cię słuchały i pracowały za ciebie, gdy dorosną, wiesz?

– Marta! co ty mówisz! – krzyknął Piotr – Marta! to są moje dzieci!

Popatrzyła na niego chłodno:

– Wiem o tym, Piotrze; to są twoje dzieci... Piotr zrobił ruch, jakby się na nią chciał rzucić, ale przemógł się i przystępując do łóżka, rzekł, jak umiał najłagodniej.

– To są nasze dzieci, Marta. Czy nie masz już dla mnie żadnego słowa? nic?...

– Owszem. Dziękuję ci.

Po czym zaczęła znowu głaskać i całować namiętnie jasną główkę syna:

– Mój Tom, mój najmilszy, ukochany, złoty synek... Piotr wybiegł z izby jak oszalały, a mnie robiło się duszno. Było coś potworczego w tej wyłącznej miłości matki.

Narodziny tych dwóch dziewczątek, Lili i Róży, niewiele zmieniły nasze życie – wbrew oczekiwaniom. Stosunek Piotra i Marty wciąż był jednakowy. Współczułem od dawna z Martą, ale teraz zacząłem czuć głęboką litość nad losem tego człowieka. Osowiał, zasepił się, w każdym słowie, w każdym ruchu jego znać było ogromne, śmiertelne znużenie i przygnębienie. Młodszy o kilka lat ode mnie, pochylił się i osowiał; zapadłe oczy płonęły mu jakimś niezdrowym blaskiem. Nigdy nie byłbym przypuszczał, że rok życia zdoła tak złamać ten niespożyty organizm, który przetrwał zwycięsko, najlepiej z nas wszystkich, niesłychane trudy podróży przez pustynię. Ostatecznie powodem tego była Marta, ale nie mogłem jej winić... Kochała tego pierwszego, który umarł; poza nim i jego synem nie było już miejsca w jej sercu – to było całe nieszczęście.

Zdaje mi się nawet, że córek nie kochała. Dbała o nie wprawdzie troskliwie, ale widoczne było, że robiła to tylko z myślą o Tomie. Miały dla niej znaczenie cennych zabawek dla synka, których nie trzeba uszkodzić, rzadkich zwierzątek, wymagających bacności i pielęgnowania, bo strata mogłaby być niepowetowana. Nawet sposób, w jaki się wyrażała o córkach, świadczył o tym – mówiła o nich zawsze: „Tomowe dziewczynki”. Piotr patrzył na to bezradny i posepniał coraz więcej.

W każdym razie te dzieci sprawiały Marcie wiele kłopotu i w pierwszych zwłaszcza miesiącach zajmowały dużo czasu, tak się więc złożyło, że Tom był nieustannie pod moją opieką. Zyskałem towarzysza. Dzieciak był bardzo rozumny i nad wiek rozwinięty. Wypytywał się ciągle o rozmaite rzeczy i rozmawiał ze mną jak dorosły. Po pewnym czasie tak się przywiązałem do niego, że niepodobna mi już było obejść się bez jego towarzystwa. Przez kilka samotnych dni księżycowych przyzwyczailem się do nieustannej włóczęgi, teraz na wszystkie, nawet dalekie wycieczki brałem ze sobą Toma. Marta powierzała mi go chętnie, wiedząc, że jest przy mnie bezpieczny, bezpieczniejszy nawet niż w domu, gdyż ojczym nie mógł go znosić.

Zbudowałem wózek i nauczyłem sześć tęgich psów chodzić w zaprzęgu. Wobec lekkości naszej na Księżycu wystarczał ten zaprzęg najzupełniej, aby nas łatwo i szybko przewozić z miejsca na miejsce. Czasem robiliśmy dalsze wycieczki, trwające dwa i więcej dni księżycowych. Wtedy ze względu na nocne mrozy brałem wóz szczelnie zamknięty, pędzony elektrycznym motorem i dający się opalać, który przerobiłem z naszego starego wozu, zmniejszywszy go jeszcze znacznie. Wewnątrz oprócz mnie i Toma mieściły się jeszcze dwa psy oraz znaczne zapasy żywności i paliwa.

W ten sposób podróżując zwiedziliśmy z Tomem prawie całe północne wybrzeże środkowego morza księżycowego i dostaliśmy się na wschód i zachód aż tak daleko, gdzie już rozrzedzające się ku krańcom pustyni powietrze zmusiło nas do odwrotu. Najdalej ku zachodowi wysuniętym punktem, gdzieśmy dotarli, było *Mare Humboltianum*, nizina położona pod tą mniej więcej szerokością księżycową, co *Mare Frigoris*, a widoczna czasem z Ziemi podczas sprzyjających libracji Księżyca, jak mała ciemna chmurka na samym prawym rąbku górnej części srebrzystej tarczy.

I myśmy już stąd zobaczyli Ziemię, wyłaniającą się spod horyzontu. Zatrzymałem się tu przez całą długą, dwutygodniową noc, aby się

tylko napaść do syta widokiem tego, od dawna nie widzianego, od dawniejsza jeszcze porzuconego rodzinnego mojego świata.

O wschodzie słońca Ziemia stanęła w pełni (znajdowaliśmy się bowiem na 90 południku, stanowiącym zachodnią granicę widocznej półkuli Księżyca). Gdy zobaczyłem tę rozlśnioną, z lekka zarumienioną tarczę i spostrzegłem przesuwaną się po niej jasne zarysy Europy, owładnęła mną naraz taka niewysłowiona, nieprzemoczna tęsknota za tym globem świecącym na niebie, że nie umiałem dać sobie rady. Zdawało mi się, że – wypędzony z raj – zobaczył znowu po długiej wędrówce na chwilę jego odblask złoty, i wyciągnąłem ręce ku niemu z nierozumnym, naiwnym, dziecinnym, ale niepoohamowanym pragnieniem: dostania się tam jeszcze raz, choćby... po śmierci. Jednak w tej chwili przypomniła mi się Ziemia taka, jaką ją widziałem po raz ostatni w *Kraju Biegunowym*: szerniała, trupia na tle krwawej pożogi – i nagle ogarnął mnie wielki smutek.

Wszystkie nieszczęścia, wszystkie złe namiętności i nędze ludzkie, które tam od wieków prześladowają ród człowieczy, nie wyłączając i groźnej ich królowej – nieubłaganej śmierci, przysły tu za nami, na ten glob, dotąd cichy i spokojny w swej martwocie. Wszędzie złe jest człowiekowi, bo wszędzie nosi sam w sobie zaród nieszczęścia...

Ponure dumania przerwał mi głos Toma. Stał przy mnie, obudziwszy się przed chwilą z długiego snu, i patrzył na nieznany, świetlisty krąg na niebie.

– Wuju, a co to jest? – rzekł wreszcie, wyciągając rączkę.

– Przecież wiesz, to jest Ziemia. Mówiłem ci nieraz, że cię zawiozę tu, skąd ją widać, i pokażę. Zresztą widziałeś już ją przecie, gdyśmy tu przyjechali, nie pamiętasz?

– Nie, nie widziałem tej Ziemi. Tamta była inna, taka z jednej strony rogata, a ta jest okrągła.

– To jest ta sama Ziemia, dziecko. Tom namyślał się przez chwilę.

– Wuju...

– Co?

– Ja już wiem, to ona pewnie urosła albo rozwinęła się rano, tak jak te duże liście.

Starąłem mu się wytłumaczyć, jak umiałem najprzystępniej, powód zmian Ziemi. Słuchał z roztargnieniem, widocznie nie rozumiejąc tego, co mówiłem. Wreszcie przerwał mi znowu zapytaniem:

– Wuju, a co to jest ta Ziemia?

Opowiadałem mu tedy, może po raz setny, że są tam morza, góry, łądy i rzeki takie, jak na Księżycu, tylko daleko większe i piękniejsze; że jest tam dużo domów, zbudowanych obok siebie, które się nazywają miastami, a w tych miastach mieszka wiele, wiele, całe mnóstwo ludzi i małych dzieci; mówiłem, że stamtąd przybyliśmy na Księżyc: i ja, i mama, i Piotr, i ojciec jego, który już nie żyje, a nawet oba stare psy, Zagraj i Leda, z którymi tak się lubi bawić.

Gdym skończył, Tom, słuchający opowiadania z wielkim zajęciem, zrobił filuterną minkę i rzekł głaszcząc mnie po brodzie:

– To ja już wiem, ale teraz, proszę cię, wuju, nie żartuj, tylko powiedz tak naprawdę, co to jest ta Ziemia?

Oba psy stały przy nas i przekrzywiając głowy, przypatrywały się również ciekawie świecącemu na niebie kręgowi.

W kilkanaście godzin po wschodzie słońca puściliśmy się w drogę z powrotem. Ziemia, przyćmiona blaskiem dziennym, widniała za nami już tylko jako szaropopielaty, kolisty obłok wystający zza widnokręgu.

Kiedy indziej odbyliśmy znowu daleką wycieczkę ku południu. Wybrzeże morskie, biegnące łamaną linią mniej więcej między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym równoleżnikiem, cofa się w okolicy 140° wsch. szer. księż. ku równikowi, tworząc na kilka kilometrów szeroki półwysep, a może i przesmyk, łączący się z łądami południowej półkuli. Chciałem się być właśnie o tym przekonać i dlatego puściłem się owym językiem, ale nie zdołałem dotrzeć dalej, jak tylko do trzydziestego równoleżnika. W dalszym posuwaniu się na południe powstrzymał mnie klimat niepodobny do zniesienia. Noce mimo sąsiedztwa mórz były tak mroźne, że przypominały mi zimna panujące na bezpowietrznej półkuli, a podczas straszliwego skwaru dziennego nie ustawały prawie potworne, orkanowe burze. Grunt był skalisty, wulkaniczny i zupełnie nagi. Żadnej rośliny, żadnego życia, nic – tylko okropna, martwa pustynia między dwoma nieprzejrzanymi morzami, wśród których sterczały ostre czuby wulkanicznych wysp, nierzadko owinięte chmurą dymu albo krwawą łuną ognia.

Była chwila podczas tej wycieczki, kiedy żałowałem już, że wziąłem Toma ze sobą, obawiając się, abyśmy obaj nie stracili życia. Nie mogąc dla stromych gór posuwać się środkiem owego pasa łądu, trzymaliśmy się wschodniego wybrzeża, gdzie u stóp dzikich i fantastycznych skał ciągnęła się na paręset metrów szeroka, niska równina. Było około południa i przyływ, wywołany przyciąganiem słońca, nadzwyczajnie tutaj powolny, ale dość znaczny, podniósł morze tak, że się jego

powierzchnia zrównała prawie z poziomem wybrzeża. Obawiając się zatopienia tych miejsc, gdzieśmy się znajdowali, oglądałem się już za jakim wyjściem na strome zbocza skał, gdy wtem zerwała się burza, poprzedzona nagłym orkanem ze wschodu. Ogromne fale zaczęły skakać na brzeg: jedna z nich uderzyła w nasz wóz i rzuciła go kilkadziesiąt kroków wstecz, tuż pod wystający cypel skalny. Nie było ani chwili do stracenia. Przytroczyłem wóz łańcuchem do głazu, po czym zamknawszy go szczelnie z zewnątrz, zacząłem się z Tomem na ramionach wdzierać na skały. Nie pamiętam w życiu takiej śmiertelnej trwogi, jaką przeżyłem wówczas. Uczepiony z zwietrzałych głazów nogami i jedną ręką – w drugiej trzymałem chłopca drżącego z przestachu – miałem wprost pod sobą rozhukane, wściekle, spienione morze, a nad głową zionącą deszczem i gromami chmurę. Na szczęście zrab skalny zasłaniał mnie od bezpośredniego natarcia huraganu, gdyż w przeciwnym razie byłbym niewątpliwie runął w przepaść wraz z głazami, które oderwane wichrem u szczytu, sypały się gradem dokoła mej głowy. Straszne położenie pogarszał jeszcze piekielny niepokój o wóz pozostawiony w dole. Gdyby bałwany zerwały łańcuch i uniosły wóz albo rozbiły go o skały, ba! tylko motor uszkodziły, byłibyśmy wydani niechybnie na zgubę, gdyż piechotą bez zapasów żywności, bez ochrony przed zimnem nie zdołalibyśmy się dostać do domu. Toteż jak tylko wydrapałem się do miejsca, gdzie można było wygodnie oprzeć nogi, usadowiłem Toma pod głazem, okrywszy go dobrze i przywiązawszy tak, aby go wichur nie strącił, a sam powróciłem zaraz na dół w celu lepszego umocowania wozu. Po wielu trudach udało mi się wreszcie zaciągnąć go w rozpadlinę, gdzie był zabezpieczony od uderzeń bałwanów.

Kilka godzin przesiedzieliśmy tak z Tomem, oczekując końca burzy. Zalekziony dzieciak tulił się do mnie i dopytywał z płaczem, po cośmy tu przyszli? Nie umiałem mu odpowiedzieć, po cośmy tu przyszli, tak jak od dawna nie umiem już odpowiedzieć sam sobie, po co w ogóle przyszliśmy na Księżyc...

Nauczony doświadczeniem, byłem już ostrożniejszy z powrotem i wybierałem drogę dostatecznie wzniesioną nad poziom morza.

Zresztą był to jedyny wypadek, kiedy w podróży groziło nam poważne niebezpieczeństwo. Wszystkie inne wyprawy odbywaliśmy bez przygód i wesoło.

Mieliśmy także dużą i mocną łódź. Drugi motor elektryczny, który niegdyś miał służyć nieszczęśliwym Remognerom, naprawiłem na

spółkę z Piotrem i umieściłem w szalupie, aby poruszał pędzącą ją śrubę. Szalupy tej używaliśmy do wypraw rybackich, a także puszczałem się nią z Tomem w przedpołudniowych lub wieczornych okresach ciszy na pełne morze.

Podczas jednej z takich wycieczek odkryłem wyspę, ze wszechmiar godną uwagi. Już z daleka zastanowiła mnie jej postać.

Wszystkie wyspy, które poznałem do tego czasu, były albo wysadzonymi nad powierzchnię morza wulkanami, albo też szczytami zalanych wodą gór pierścieniowych. Ta zaś zrobiła na mnie od razu wrażenie szczątką morzem pochłoniętego lądu. Była obszerna i dość płaska, jedynie w południowo--zachodniej jej stronie wznosiło się pasmo gór niewysokich, pokruszonych odwiecznym działaniem deszczów i wichru. Brzegi miała strome, uderzeniami fal snadź wyżarte, gdyż morze na szerokiej przestrzeni wokoło było tak płytkie i zasłane mieliznami, że trudno nam było naszą, nieznacznie tylko zagłębiającą się szalupą przybić do lądu.

A ląd to był ciekawy, zgoła niepodobny do znanych nam okolic księżycowych. Przede wszystkim zastanowiła mnie całkowicie odmienna roślinność; mniej bujna niż gdzie indziej, odznaczała się bez porównania większą różnorodnością gatunków. Na tych kilku kwadratowych kilometrach ziemi spotkałem zaledwie trzy czy cztery krzewy znane mi skądinąd, ale za to niezliczoną moc roślin, nie znających się gdzie indziej. Wszystkie były dziwnie smutne i skarłate. Patrząc na nie, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że mam przed sobą resztki pokolenia zamarłego i zewsząd wypartego, które się tutaj jakimś cudem ostało jeszcze, świadcząc o postaci życia na Księżycu przed wielu, wielu wiekami, kiedy tu, gdzie teraz jest morze, były lądy, a woda zalewała inne okolice.

To samo myślałem, zobaczywszy zwierzęta żyjące na tej dziwnej wyspie. Niewiele ich było, te jednak, które spotkałem, różniły się również od wszystkich mi znanych. Było coś starczego i smutnego w ich wyglądzie i zachowaniu się. Gdy przechodziłem, wyłaziły z nor niedołężne, karłowate potworki i patrzyły na mnie rozumnie i ostrożnie, ale bez obawy. Dopiero pies, którego wziąłem był ze sobą, napędził im strachu: poczęły się kryć przed jego napaścią, wydając na poły gniewne, na poły żalodne sapanie, będące, jak się przekonałem, jedynym głosem, jaki są zdolne wydać.

Tom był ze mną –jak zawsze. Dziwił się wszystkiemu i wciąż się zatrzymywał, zajęty to jakimś barwnym kamykiem lub muszlą, to na-

potkaną wonną roślinką, która układem listków przypominała ziemskie kwiaty. Odszedłem był właśnie od niego kilkadziesiąt kroków, gdy posłyszałem wołanie:

– Wuju! wuju! chodź no i patrz, jakie ładne kije!

Zwróciłem się i zobaczyłem, że malec siedzi na ziemi wśród mnóstwa białych, cienkich a długich kości. Zacząłem je oglądać; nie znam na Księżycu zwierzęcia, z którego by mogły pochodzić.

Schyliwszy się spostrzegłem między nimi zastanawiający przedmiot: był to kawałek grubej, z jednej strony mocno zdartej blachy miedzianej, przypominającej kształtem szeroki nóż. Serce zabiło mi gwałtownie; jeśli się nie mylił, jeśli to istotnie był przedmiot sztucznie obrobiony, to na Księżycu kiedyś, dawno przed naszym przybyciem, żyły już istoty rozumne...

Przypomniało mi się owo *Miasto Umarłych*, spotkane przed laty na *Mare Imbrium*, a pamiętne strasznym wypadkiem, który spowodował śmierć Woodbella. Odjechaliśmy wówczas od tych skał, tak łudząco podobnych do ruin, w których niegdyś może rozbrzmiewało życie, i nie przekonaliśmy się, czym były właściwie: przedziwną igraszką przyrody czy też upiorem grodu, zamarłego przed wiekami – a oto teraz znalazłem znowu rzecz zdającą się świadczyć o istnieniu tutaj rozumnych stworzeń na długo, długo przed naszym przybyciem.

Zabrałem się do skrzętnych poszukiwań.

Zwiedziłem całą wyspę wzdłuż i wszerz, wchodziłem do skalistych grot u stóp pasma wzgórz, ale nie znalazłem niczego, co by mnie mogło niewątpliwie przekonać o słuszności mych przypuszczeń. Wprawdzie zdawało mi się, że w tej i owej grocie spostrzegam ślady celowej pracy; na wybrzeżu niewielkiego stawku znalazłem dwa czy trzy kawałki skamieniałego korzenia, które miały na sobie jakieś niby narznięcia, a grobla, zmuszająca strumyk dr rozlania się w staw, wyglądała tak, jakby była sztucznie zbudowana, w innej znów stronie leżały na sobie głązy, jakby szczątek zwanego muru; ale to wszystko mogło być zarówno dziełem przypadku albo nierozumnych, ale przemyślnych zwierząt. Wszakże na Ziemi bobry na przykład wnoszą ciekawe budowle...

Nie rozwiązałem tedy najważniejszej zagadki, ale w każdym razie wskutek dokonywanych poszukiwań upewniłem się w mniemaniu powziętym od samego początku, że wyspa ta jest pozostałością większego, zaginionego w morzu lądu i daje przybliżony obraz świata księżycowego i rozwijającego się na nim życia w epokach zamierzchłych, poprzedzających okres obecny.

Nazwałem ten kraj *Wyspą Cmentarną*. Lubilem tutaj często zawijać i patrzeć ze szczytu wzgórza na rozciągające się dookoła, słońcem posrebrzone morze, pod którego falami zaginęła prawdopodobnie reszta tego lądu – i życie, kto wie jak dziwne i bogate?

Przedemną na widnokręgu widniały szczyty dalekich wulkanów, nad którymi panował chmurny, prawie nieustannie łuną nakryty, olbrzymi stożek *Otamora*. Morze szumiało, wzdymając się przyplływem ku leniwie pełznącemu po niebie słońcu, a ja – kołysany tym szumem wielkim i szerokim, mającym w sobie coś z szelestu skrzydeł przelatujących eonów, coś z tajemniczego głosu ludzkiej duszy, pogrążony w pół śnie, pół jawie – marzyłem o tym, co na tym globie przeszło, może bez świadka myślącego – a bezpowrotnie...

Kiedy się tutaj życie rozpoczęło? Może wtedy Ziemia, zawieszona w mroźnych przestworzach, stygła dopiero na powierzchni, a słońce z powodu szybszego ruchu obrotowego księżycowej bryły, który z wiekami zwolnił dopiero, szło raźniej nad tutejsze lądy i morza, znacząc bujnemu, budzącemu się życiu dzień i noc krótkie, szybko po sobie następujące, bez mrozu i bez nieznośnego skwaru? Wówczas – i Ziemia nie stała nad straszliwą pustynią śmierci, lecz krążyła po księżycowym niebie, wschodząc i zachodząc... Wówczas – może nie było jeszcze wcale bezpowietrznej i bezwodnej pustyni?

Wszak wieki długie, niesłychanie długie wieki martwoty mogły na tej półkuli, która zwróciwszy się raz stale ku Ziemi, straciła powietrze, a z nim wodę, zatrzeć tak dalece wszelki ślad dawnego życia, że dzisiaj tak się wydaje, jakby pustynią była od początku świata? Tomasz niegdyś to przypuszczał.

Przemykałem oczy i wyobrażałem sobie, że w nieustannym i jednostajnym łoskocie fal morskich słyszę głosy owego pierwotnego życia. Lasy złożone z drzew wybujanych i śmigłych, nie potrzebujących gnić się i stulać przed mrozem nocy, którego jeszcze nie ma, szumią rozkołysane wiatrem; przez gąszcza ich przedzierają się zwierzęta ogromne i silne, ojciec skarłałych dziś na tym świecie potomków; w gałęziach łopocą skrzydła potężnych latających jaszczurów... Jest wieczór i wiatr przycicha na chwilę – a tam nad mgły oparzelisk wstaje olbrzymi, krwawy, jasny krąg Ziemi.

I kto wie, kto wie, czy na to światło wschodzące nie patrzyły z murów miast ogromnych i z wysmukłych wieżyc oczy rozumne? czy nie wyciągały się ku niemu jakieś ręce, od mądrej pracy oderwane, aby powitać srebrnego anioła-stróża, co rozjaśnia długie noce? Kto wie, czy

tu na Księżycu nie domyślano się kiedy, że na tym olbrzymim globie, wśród nieb zawieszonym, są także istoty myślące, czy nie zgadywano, jak oglądają? jak żyją?

I mimo woli wyobraźnia moja w inną zwracała się stronę; odrywała się od Księżyca jak ptak wylatujący z klatki i szybowiała dalej, setki tysięcy kilometrów w przestworze, tam do tej Ziemi, którą mi tęsknota tak upiększała i takim malowała czarem, jak słońce zachodzące maluje gór śnieżne szczyty...

Zazwyczaj marzenia te na *Wyspie Cmentarnej* przerywał Tom, zniecierpliwiony zbyt długim moim milczeniem. Wracaliśmy tedy do domu, gdzie Marta niecierpliwie oczekiwała malca. Tutaj Tom nie należał już do mnie. Matka, stęskniona długą rozłąką, chwyciła go w objęcia, a gdy się skończyły niezliczone, namiętne uściski i pocałunki, siadała z nim na progu i poczyniała swą wiecznie powtarzaną opowieść o młodym, pięknym i dobrym Angliku, jego ojcu, za którym ona poszła na Księżyc, a który śpi pod piaskiem wielkiej i cichej księżycowej pustyni... W końcu opowiadała już raczej sobie samej niż synowi, a gorące, rześiste łzy płynęły jej na jasną główkę dziecka.

Piotr, złamany i przygnębiony, dłużył coś koło domu albo szedł doglądać dziewczątek.

Ja, niepotrzebny nikomu, cofałem się więc znowu na ubocze, aby dumać w samotności albo zająć się jaką robotą.

Godziny mijały po godzinach, słońce wschodziło i zachodziło, przechodziły ziemskie lata, liczone z trudem na dniach księżycowych. Tom wyrastał i dziewczątka biegały już za nim po łąkach, ale dla mnie nic się nie zmieniło. Starym nałogiem włóczyłem się samotnie po całym pustym kraju, spędzałem długie godziny na *Wyspie Cmentarnej*, a gdy przyszedłem do domu, patrzyłem nieodmiennie na smutną, milczącą Martę i Piotra, podobnego raczej do upiora niż do żywego człowieka. I tylko tęsknota za Ziemią wzbierała wciąż w mej piersi i rosła z latami, aż stała się w końcu nieznośnym, przytłaczającym ciężarem. Aby się przed nią bronić, myślałem o nowym pokoleniu, chwyciłem się gorączkowo roboty, ale w chwilach przerwy, kiedy znużony i wyczerpany padałem na ziemię, ona powracała – zwycięska, nieodparta, pokazując mi blade twarze moich towarzyszy tutaj i rozmaite sny o tamtych, których opuściłem na wieki...

[Rozdział] V

Tam, gdzie są lata znaczone zmiennymi porami i słońcem, którego łuk wznosi się lub opada na sklepieniu niebieskim: na Ziemi, siódmy rok już dobiegał od czasu naszego przybycia na Księżyc, kiedy Marta spostrzegła, że będzie po raz trzeci matką. Przyjścia dziecka oczekiwała niecierpliwie, spodziewając się, że to będzie syn, którego z góry przeznaczała na raba Tomowi. Nie kryła się z tym zgoła, owszem, gdy tylko spostrzegła, że po długiej przerwie znowu ma zostać matką, powiedziała do nas:

– Teraz dopiero będę spokojna, gdy dam Tomowi nareszcie służącego i niewolnika...

Mówiła to na pozór obojętnie, jak się mówi o jakiejś rzeczy bardzo naturalnej, ale ja dostrzegłem w jej głosie dziwną, skomplikowaną nutę...

Było to coś jakby okrzyk tak ciężko okupionego tryumfu, że przez to już prawie tryumfem być przestaje – coś jak westchnienie robotnika, zrzucającego z ramion własnowolnie podjęte brzemię ze wstrętem, ale i z radością, że wyniósł je tam, gdzie zamierzył, i nie upadł, nie zrzucił go pierwej.

Piotr, złamany zupełnie, od dawna poddawał się już spokojnie okrucieństwu Marty, która go raniła ciągle każdym słowem, każdym czynem, a tak nieznacznie i nieubłaganie, jak gdyby czyniła to bezwiednie, będąc tylko narzędziem Jakiejś okropnej fatalności. Ale wówczas po tych słowach Marty spojrzął na nią przygasłym wzrokiem i uśmiechnął się szyderczo, a potem wyciągnął rękę do Toma. Chwycił chłopca za ramię i przyciągnąwszy ku sobie, zaczął go oglądać. Tom umysłowo był bardzo rozwinięty, ale jak na swój wiek wyglądał nader wątłe. Ojczym odsunął szeroki rękaw jego bluzy i obnażył jego drobne, dziecięce ramię, uderzył z lekka dłonią w jego wąskie barki, pomacał uda i kolana, stuknął w pierś, uśmiechnął się znów szyderczo i trzymając rękę na głowie zalęknionego chłopca, zaczął powoli cedzić słowa, ze wzrokiem utkwionym w Marcie:

– Tak... Tom jest ostatecznie dość mocny, aby przewodzić nad dziewczętami, ale jego brat może być silniejszy. Marta zbladła i spojrziała niespokojnie na chłopca. Ale niepokój jej nie trwał długo. W

błyszczących oczach dziecka wyczytała snadź to, co musiało być po wszystkie czasy wypisane w oczach twórców nowego porządku, bo uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała krótko:

– Tom będzie silniejszy, choćby tamten miał być i większy.

Rzeczywiście Tom już wtenczas, jako małe, sześćoletnie chłopię, zdradzał nadzwyczajną bystrość i energię. Rozwijał się bardzo prędko i w sposób jakiś szczególny, pod wieloma względami odmienny od tego, w jaki rozbudza się zazwyczaj dusza dzieci tam, na Ziemi. Zawczasu nauczył się samodzielności i miał zmysł praktyczny tak nadzwyczajnie rozwinięty, że nas czasem zadziwiał. Nie było u niego ani śladu owego marzycielstwa ziemskich dzieci, niewątpliwie bardzo powabnego, ale świadczącego zarazem o jakiejś sztucznej wybujałości umysłu. Tom był trzeźwy, tak strasznie trzeźwy, że mnie aż serce bolało, gdy patrzyłem na tę jasnowłosą główkę dziecka, w której myśli, nie przerywane i nie płątane niesfornymi marzeniami, płynęły tak spokojnym i zwartym szeregiem, jakby pod łysą czaszką starca. Chłopak mimo wszystko miał dużo serca: kochał matkę nadzwyczajnie i do mnie bardzo się przywiązał, jedynie Piotra nie mógł znosić. Zawsze pewny siebie i przytomny jak ojciec, w jego obecności bywał zalękniony i zmieszany. Zresztą nie wiem nawet, czy użyłem odpowiednich wyrazów na określenie tego, co się musiało dziać w duszy tego dziecka w obecności ojczyzna. Milczał przy nim zawsze tak uparcie, że zdawało się, wolałby narazić się nawet na plagi, niż usta otworzyć. Oczy tylko biegały mu niespokojnie. Był w jego zachowaniu się jakiś strach, ale też był i upór, i zaciętość, i nienawiść, i wstręt... Piotr to czuł i widział – i zdaje mi się, że już wtenczas sam się bał tego dziwnego dzieciaka.

Marta miała słuszność: Tom nie był jednym z tych, którzy stworzeni są na to, aby kogokolwiek słuchać. Za dużo w nim było stanowczego, światowładnego ducha angielskiego i za dużo płomiennej krwi dumnych radzów z Travancore.

Toteż pewien byłem, że jeśli mu się brat narodzi, choćby nawet był większy i silniejszy od niego, będzie za nim tak samo biegał i tak samo pokornie w oczy mu patrzył, jak te dwie małe dziewczynki, Liii i Róża.

Ale Tomowi brat się nie narodził, przyszła natomiast na świat trzecia dziewczynka, którąśmy nazwali Adą.

Marta bez radości i wzruszenia powitała narodziny tego dziecięcia.

– Tom – mówiła w kilkadziesiąt godzin później, gdyśmy na jej życzenie chłopca przyprowadzili do łóżka. – Tom, nie będziesz już miał

brata. Ale masz za to trzy siostrzyczki. Muszą ci wystarczyć – za żony, za towarzyszy, za służące...

Tom nie pytał już, jak przy narodzeniu pierwszych dziewczątek, co będzie z siostrzyczkami robił, lecz obejrzał się tylko na Lilę i Różę, trzymające się w kącie za ręce i wpatrzone w malca, jak zwykle, oczyma pełnymi miłości i podziwu, dotknął palcem z lekka maleńkiej, wrzeszczącej wniebogłosy nowo narodzonej istotki i rzekł kiwając poważnie głową:

– Wystarczą, mamó, wystarczą...

– Tom – ozwałem się wtedy, dotknięty niemile słowami Marty i zachowaniem się dziecka – musisz być dla nich dobry.

– A po co? – zapytał naiwnie.

– Aby cię kochały – odpowiedziałem.

– One i tak mnie kochają...

– Tak, my Toma bardzo kochamy – odezwały się dziewczątka prawie jednocześnie.

-Widzisz, Tom – mówiłem dalej kaznodziejskim tonem – one są lepsze od ciebie, bo cię kochają, choć ty może nie zawsze na to zasługujesz. Ale ta mała może cię nie kochać...

Tom nic nie odpowiedział, ale zauważyłem, że spojrzał na dziecko z niechęcią, zmarszczywszy drobne brwi.

Ostatecznie może to i dobrze się stało, że się Tomowi nie brat narodził. Byłby jego niewolnikiem albo – wrogiem.

Wyszedłszy wtedy z izby i później jeszcze przez pewien czas myślałem długo nad straszną ironią ludzkiego istnienia, która przeszła za nami z Ziemi na Księżyc. Przypomniał mi się O'Tamor, biedny, szlachetny marzyciel! Jak on sobie to roił, że tu na Księżycu z dzieci Tomasza i Marty, uchronionych od złego wpływu ziemskiej „cywilizacji”, wyrosnie pokolenie idealne, nie posiadające tych wad i nie znające tych różnic, które są przyczyną odwiecznych nieszczęść ludzkości na Ziemi! Patrząc na te dzieci i zdaje mi się, że stary, szlachetny marzyciel O'Tamor zapomniał, iż potomstwo człowieka będą zawsze składały istoty ludzkie, noszące w swej piersi zaród tego wszystkiego, co się stało ohydą ziemskich pokoleń. I czy to nie jest najstraszliwsza ironia, że człowiek wroga swego przenosi sam w sobie nawet na gwiazdy świecące w niebie?

Dobrze się stało, że Tom nie ma brata. Przynajmniej opóźni się nadejście okresu walk bratobójczych i niewoli, a my tymczasem może pomrzemy i nie będziemy potrzebowali patrzeć na to.

A dziewczątka... Tak mi się zdaje, że dziewczątka te są stworzone na to, aby podlegały. Nie będą może nawet rozumieć swej krzywdy – szczęśliwe, gdy ich brat, mąż i pan będzie czasem wobec nich łaskawy... Co do Liii i Róży jestem tego już pewien, Ada zaś zbyt jeszcze jest mała – ma zaledwie w tej chwili trzy lata, licząc po ziemsku, aby można jakieś prawdopodobne przypuszczenia robić o przyszłym stosunku jej do przyrodniego brata. Spostrzegam tylko, że go nie kocha tak, jak te starsze. Tom również jest dla niej więcej obojętny.

Zwracanie baczej uwagi na wzrost i duchowy rozwój tych czworga dzieci stanowi w ostatnim czasie moją najmilszą, choć smutną rozrywkę. Pod względem fizycznym przystosowały się one znakomicie do warunków księżycowego świata, który dla nas, z Ziemi przybyłych, jest ciągle obcy i nieznośny, choć już tyle lat tu żyjemy. Taką rzeczą na przykład, niezmiernie dla nas ciężką, jest regulowanie snu. Podczas długiego dnia prawie tyle samo spać potrzebujemy, co podczas nocy. Pociąga to za sobą tę niedogodność, że trzecią część czasu, kiedy słońce stoi na niebie, tracimy na sen, bardzo nieregularny i z tego powodu mało pokrzepiający, a za to dwie trzecie nocy przesiadujemy bezsennością, nękanymi zimnem, ciemnością i gorszą od nich nudą. Dzieci, tu urodzone, śpią w dzień bardzo mało: zaledwie godzinę lub dwie najwyżej w dwudziestogodzinnych odstępach, ale za to prawie całą noc przesypiają z małymi przerwami.

W kilkanaście godzin po zachodzie słońca ogarnia je już nieprzezwyciężona senność. Jeśli się w nocy zbudzą, to na dwie, trzy lub cztery godziny najwyżej, po czym znów zasypiają, jak u nas na Ziemi susły i świstaki śpią do czasu, kiedy pierwszy lekki obrzask na niebie zapowiada nadejście dnia.

Znoszą także bez porównania lepiej od nas klimat tutejszy.

Upały nie osłabiają ich do tego stopnia i nie wywołują tego rozdrażnienia ani senności, co u nas.

Ale najwięcej zastanawia mnie to, że te dzieci i na mróz są znacznie wytrzymalsze niż my, starsi. Rankiem, gdy natężenie zimna wzmagają się najczęściej, dzieci rozbudzone z długiego snu wybiegają często na dwór, a nawet oddalają się znacznie, podczas gdy my odważamy się wyjść tylko w razie ostatecznej konieczności.

Inicjatorem tych wycieczek jest zawsze Tom. Obie starsze dziewczynki wybiegają tylko za nim, zarówno jak stary Zagraj, wiedzione, zdaje się, nawet takim samym ślepym przywiązaniem. Ten pies i te dziewczynki stanowią nieodstępny dwór Toma.

Myślałem początkowo, że dzieci idą się bawić w śniegu, topniejącym rychło po wschodzie słońca, albo używają ślizgawki na brzegu zamarzonego w nocy morza. Ale wkrótce przekonałem się, że ta mała drużyna wychodziła tak rano pod przewodnictwem Toma na – polowanie! Dziwna, że myśmy na ten pomysł nie wpadli! Wszystkie tutejsze zwierzęta zasypiają na noc, zagrzebując się w ziemi dla ochrony przed mrozem.

Tom wyszedł to sam i przy pomocy Zagraj, który węch ma znakomity, wyszukiwał pod śniegiem kryjówek różnych potworków i zabijał je, nim się obudziły. Mięso tutejszych zwierzątek lądowych jest wprawdzie, jak już wspominałem, nie do użycia, ale za to ich skóry dostarczają nam pięknych i trwałych futerek albo rogowego materiału, wielce podobnego do szylkretu. Polowanie podczas dnia przedstawia wielkie trudności, gdyż zwierzęta nauczyły się już nieufności względem nas i prześladowających je zarówno z nami psów, jakże się więc zdziwiłem, gdy Tom przyniósł mi pewnego ranka kilkanaście skórek, wśród których parę było świeżych, a reszta już starannie wyprawionych! Te pochodziły z dawniejszych połowów. Chłopak widział Jak myśmy skórki, odarte z zabitych zwierząt, czyścili ostrymi muszlami i wyprawiali solą, zbierającą się obficie nad brzegiem morza, i zrobił to wszystko na swoją rękę, a wcale nie gorzej od nas!

Już to nie brak mu sprytu. Mając lat ośm znał już dokładnie nasze fabryki i rozumiał cel i znaczenie każdego urządzenia, przydatność każdego narzędzia i materiału. Ja wziąłem na siebie obowiązek nauczania go – ale do książek niewiele ma ochoty. Ciekaw jest wszystkiego, co ma wartość praktyczną, inne rzeczy natomiast mało go obchodzi. Chciałem go nauczyć geografii ziemskiej, historii tamecznych ludów, obeznać go z przystępnymi dla jego umysłu arcydziełami wielkich ziemskich pisarzy, ale spostrzegłem bardzo rychło, że to zgoła nie zajmuje chłopca, tak ciekawego w innych kierunkach. Zrazu nie przerwalem nauki sądząc, że zdołam w nim rozbudzić zmysł historyczny i estetyczny, a zaprzestałem usiłowań dopiero wtedy, gdy mnie raz podczas takiej naukowej pogadanki wprost zapytał:

– Wuju, po co mi ty opowiadasz to wszystko?

Nie wiedziałem, co mu mam odrzec, bo istotnie – po co?– A on pytał znowu:

– To wszystko, o czym mi mówisz, jest podobno na Ziemi, którą pamiętam, raz widziałem podczas wycieczki jak dużą świecą banie, a skąd ty, wuju, podobno przybyłeś tutaj – prawda?

– Tak, to jest na Ziemi, skąd ja przybyłem i skąd w ogóle ludzie pochodzą.

Chłopak spojrział na mnie, jakby się wahał, czy ma powiedzieć to, co myśli, a wreszcie odezwał się z zafrasowaną miną:

– Ale ja nie wiem, wuju, czy to wszystko jest prawda...

Dotknęła mnie ta uwaga, tak zresztą naturalna u dziecka, któremu się opowiada o rzeczach dziejących się na odległej i raz tylko przez nie widzianej planecie.

– Czy przekonałeś się kiedykolwiek, abym mówił nieprawdę?

– Nie, nie, nigdy! – zaprzeczył żywo, po czym dodał znów ciszej:

– Ale teraz nie mogę się przekonać, że mi mówisz prawdę...

Wyjąłem z kieszeni zegarek.

– Wiesz, co to jest? zegarek... Czy myślisz, że ja albo Piotr, albo matka twoja potrafimy zrobić taką maszynkę? Widzisz także książki, których my nie drukujemy, narzędzia astronomiczne nie przez nas zbudowane. Otóż skądże by się to wszystko tutaj wzięło, gdybyśmy tego byli nie przynieśli ze sobą ze Ziemi? A jeśli z Ziemi przybyliśmy tutaj, to musimy przecież wiedzieć, jak tam jest i co tam było.

Chłopiec zamyślił się.

– To ja już wierzę wujowi, ale... po coście wy tu przybyli na Księżyc, kiedy wam na Ziemi było dobrze, jak słyszę?...

– Po cośmy przybyli? Tak... Widzisz, chcieliśmy wiedzieć, jak to jest na Księżycu.

– Ale ja, prawda, ja się nigdy nie dostanę na Ziemię? Co?

– Nie, nie dostaniesz się nigdy.

– To wiesz ty co, wuju, naucz mnie ty lepiej robić takie zegarki i szkła powiększające, a nie mów mi już o tym, któredy się jedzie z jakiejś tam Europy do Ameryki albo co robił ten Aleksander Wielki i ten drugi, Napoleon...

Musiałem przyznać w duchu, że Tom ma słuszość.

Nie był tam nigdy i nigdy tam nie będzie, więc po cóż mu mówić o tym, co mnie obchodzi tylko dlatego, że jestem rodem z Ziemi? Te wiadomości na nic mu się nie przydadzą, a jeśli zechce kiedy on lub jego potomstwo dowiedzieć się czegoś o Ziemi, o której może już tylko niejasna wieść będzie chodziła, – że jest matką ludzkiego plemienia, a widzieć ją można świecącą na niebie z krańców śmiertelnej pustyni – to będą tu przecież te księgi, któreśmy ze sobą przywieźli, księgi, zaiste, więcej czarodziejskie dla przyszłych mieszkańców Księżyca niż dla ziemian najfantastyczniejsze baśnie z *Tysiąca i jednej nocy*.

Odtąd postanowiłem uczyć Toma tylko tego, co ma dlań wartość realną w przyszłym życiu na Księżycu. Do tego okazywał nadzwyczajną ochotę.

Pochłaniał chciwie wszelkie wiadomości, jeśli tylko zrozumiał, że mogą mu być użyteczne. Tak na przykład astronomia początkowo mało go zajmowała, a wziął się do niej z całym zapałem dopiero wtedy, gdy mu wykazałem korzyści praktyczne, jakie odnieść można z pomiaru wysokości gwiazd.

Jestem przekonany, że gdybyśmy nie byli zabrali książek, które tu po nas pozostaną, przepadłaby dla następnych pokoleń cała idealna strona tej odrobiny przywiezionego tu z Ziemi duchowego dorobku człowieka, bo za pośrednictwem niezaprzeczonego zdolnego, ale dziwnie trzeźwego Toma nie dałaby się zachować. A ja myślę jednak ciągle o tym przyszłym pokoleniu... Chciałbym, aby to nie byli ludzie dzicy. Niech wiedzą, że duch ludzki jest potężny, że tworzy rzeczy wielkie i piękne, że wyszukuje Boga w złotym pyłe gwiazd i siebie samego wśród ścięgien i żył ciała, że zdolny jest gorąco pożądać prawdy dla prawdy i piękna dla piękna i że jest najskuteczniejszą bronią w życiowej walce człowieka z otaczającą go przyrodą; niech umieją cenić tego ducha i korzystać z jego siły...

Tak mi pilno powiedzieć o tym wszystkim Tomowi, choć on niestety nie zawsze chce tego słuchać, tak mi pilno, jakbym się obawiał, aby mi czasu nie zabrakło. Bo gdy ja umrę, bo gdy pomrzemy wszyscy my, ziemianie, nauczycielem i prorokiem księżycowego ludu będzie już tylko on, praojciec jego – i te stare książki, wraz z ludźmi z dalekiej planety na ten świat przeniesione.

Gdy mu raz powiedziałem, że musi być pilny i uczyć się wszystkiego, nie tylko tego, co jemu się podoba, bo będzie w przyszłości wychowawcą nowego pokolenia, popatrzył na mnie zdumionymi oczyma i zapytał:

– A ty, wuju, cóż ty wtenczas będziesz robił? Przecież ty wszystko umiesz...

– Ja wtenczas nie będę już żył.

– Któż cię zabije?

Tom nie rozumiał, że jest inna śmierć, naturalna. Widział zabijane zwierzęta i sam je zabijał, ale nie widział jeszcze istoty umierającej. Zacząłem mu wtedy tłumaczyć konieczność śmierci. Słuchał mnie uważnie, aż wtem przerwał mi nagle, wykrzykując:

– To i Piotr umrze?

– Umrze, synu, jak ja, jak mama twoja, jak ty sam wreszcie...

Tom potrzęsnał głową:

– Ja nie umrę, bo... co by mi z tego przyszło? Roześmiałem się mimo woli z tej dziecinnej uwagi i znów mu wykladałem, że śmierć od ludzkiej woli nie zależy, ale chłopiec był roztargniony i myślał widocznie o czym innym. Wreszcie odezwał się głosem przyciszonym i jakby z wahaniem:

– Wuju, kiedy Piotr umrze, to niech on pierwszej umrze niż ty, najpierw z nas wszystkich, prędko niech umrze. Przecież on jest całkiem niepotrzebny. Wtedy zostałbyś ty sam z nami i z mamą i byłoby nam dobrze...

Zgromiłem chłopca za te słowa, mówiąc, że nikomu śmierci życzyć nie powinien, a tym mniej Piotrowi, który przecież jest ojcem jego siostrzyczek, Liii i Róży. Tom popatrzył ponuro i westchnął, a potem odezwał się z wyrzutem:

– Czemuż ty, wuju, nie jesteś ojcem moich siostrzyczek? Ja cię wolę niż Piotra i mama także... Piotr jest niepotrzebny.

Czułem, jak jakieś najtajniejsze, najgłębsze fibry zadrgały we mnie, a równocześnie przestrach mnie ogarnął. Bo to była myśl, która w ostatnim czasie i mnie coraz częściej przychodziła do głowy.

Nie mogę się winić: dotrzymałem raz powziętego postanowienia i wytrwałem na dobrowolnie obranym, a tak niesłychanie śmiesznym stanowisku pocziwego nauczyciela cudzych dzieci, ale com ja przewalczył, co przecierpiał – tego dzisiaj mi już nie wypowiedzieć!

Bo przecież tę kobietę, jedyną na tym świecie, a tak mi drogą, miałem wciąż przy sobie, widziałem, że jest nieszczęśliwa, a czasem łudziłem się nawet, że może ze mną byłaby szczęśliwsza. Były takie dni, że patrząc na Piotra, ścisakałem rękojeść rewolweru w kieszeni, i takie, gdy lufę brałem w zęby, z palcem na cynglu, sądząc, że dłużej nie wytrzymam, nie zniosę...

Ale zniosłem i wytrzymałem. Zniosłem, chociaż krew mi nieraz wzrok przesłaniała, a spazm jakiś chwycił mnie za piersi, zniosłem, choć nie można sobie wymarzyć takiej pokusy, która by mnie we śnie lub na jawie nie była nawiedzała i trapiła.

Owego pamiętnego dnia, gdyśmy mieli ciągnąć losy o Martę, myślałem, zrzekając się jej posiadania, że się uspokoję, zapomnę z czasem, ale na darmo mijały lata, na darmo błąkałem się z dala od niej po księżycowych łąkach, daremnie poświęcałem się wychowaniu Toma i myśli o przyszłym pokoleniu: ona jest mi ciągle tak samo droga, jak

tam, w *Kraju Biegunowym*, gdy po długiej, dzięki niej szczęśliwie przebytej chorobie chodziłem z nią razem po wonnych mrocznych łąkach, rozmawiając o rzeczach obojętnych, a tak pełnych znaczenia.

Mięśnie i ścięgna wciąż mam silne i krzepkie, ale duchem starzeję się już, czuję to; tęsknota za Ziemią rozstraja moje myśli i smutek coraz większy mnie obejmuje: nie tylko patrzę na wszystko przez łyzy, ale nawet myślę przez łyzy o wszystkim – jeno ta miłość moja nie chce się we mnie zestarzeć i osłabnąć, owszem, zda się, że wzrasta z wiekiem, razem z gniołącą mnie coraz ciężiej tęsknotą. Wiem, że jestem śmieszny, a przecież nawet śmiać się ze siebie nie mogę.

Czasem próbuję szydzić. Powtarzam sobie brutalnie, że kocham Martę tylko dlatego, że jest jedyną kobietą na Księżycu, a nie do mnie należy; że to niby wzniosłe uczucie jest tylko w pryzmacie ducha ludzkiego załamany najgrubszym zwierzęcym popędem, i wiele, wiele podobnych rzeczy, ale powiedziawszy sobie po raz setny to wszystko, mimo woli szukam Marty oczyma i czuję, że dałbym się z chęcią przybić na krzyż, gdybym mógł przez to jeden pogodny uśmiech na jej usta wywołać.

W człowieku nawet na pustyni, nawet na innym globie, tkwi obok innych dzikich instynktów także poczucie słuszności czy prawa. Nie wiem, czy jest wynikiem li tylko wychowania czy też jakiejś wrodzonej organizacji duchowej, ale to pewna, że istnieje i odzywa się głośno nawet tam, gdzie nie ma nikogo, kto by mu jego milczenie mógł wytknąć.

Marta należała do Piotra. Zgodziłem się być na to i ta myśl bądź co bądź powstrzymywała mnie od niejednego kroku, który inaczej byłbym może zrobił. Staralem się tak usunąć z jej oczu, aby nawet od siebie samego oddalić podejrzenie, że się chcę jej przypodobać. Zresztą i ona nie szukała mego towarzystwa: spostrzegłem nawet, że obecność moja wprawia ją zawsze w zakłopotanie. Ale to wszystko zmieniło się po narodzeniu najmłodszej dziewczynki, kiedy nastąpiło zupełne zerwanie między Martą a Piotrem.

W dwie doby księżycowe po przyjściu na świat tego dziecka, nieco przed zachodem słońca siedzieliśmy razem – co nam się zresztą dość rzadko zdarzało – i patrzyliśmy w milczeniu na szerokie morze. Zachodzące słońce pozłociło jego wody, z lekka wiatrem wzruszone i poruszające już w cieniu skał fosforyzować. Śniegi na szczycie *Otamora* były zupełnie krwawe od słońca; po czarnej chmurze dymu, zawieszony nad kraterem, błyskały także ciemnoczerwone refleksy.

Milczenie przerwała Marta. Nie zmieniając postawy, nie odrywając oczu, zapatrzonych gdzieś w dalekie perspektywy morskie, zaczęła do nas mówić, na pozór spokojnie, jak zawsze, choć nie uszło mej uwagi, że głos drżał jej z początku.

– Spełniłam wielką zbrodnię – zaczęła – bo nie dotrzymałam wiary mojemu zmarłemu mężowi i chętnie za to będę pokutować setki tysięcy lat w rozmaitych wcieleniach... Ale wy wiecie, że zrobiłam to jedynie dla jego syna, w którym on sam żyje dla mnie. Nigdy się z tym nie kryłam. Coście wy myśleli i jakieście wy mieli zamiary,’ to mnie nie obchodzi; ja chciałam, aby Tom miał siostry i brata... Nie ma wprawdzie brata, ale ma trzy siostry, i ja uważam, że spełniłam swój obowiązek. Ciężki obowiązek, ty wiesz o tym. Piotrze. Żal mi cię, boś się łudził, że możesz być dla mnie czymś więcej... Nie moja wina... Ale teraz wszystko skończone. Odzyskuję na powrót swobodę. Nie pytam się, czy wy... czy ty. Piotrze, zechcesz mi ją dać: ja ją sobie biorę sama. Nie jestem już twoją żoną...

Odetchnęła głęboko i zamilkła. Byliśmy tak zaskoczeni i słowami, i niespodziewanym tonem tego, co powiedziała, że siedzieliśmy przez pewien czas w milczeniu nie umiając znaleźć odpowiedzi. Zresztą jakąż jej można było dać odpowiedź? – ona jej nawet nie czekała... Biorę sobie swobodę... Nie jestem już twoją żoną...” Dziwne wrażenie wywarły na mnie te słowa. Przez chwilę dźwięczały mi w uszach jak hasło nowego życia, jak obietnica czegoś, czego się nawet nie śmiałem spodziewać, jak... nie! nie umiem już powiedzieć, co się ze mną działo! Tak mi się zdało, że to jedno zdanie zaciera i niweczy wszystko smutne, co przeszło; w piersiach uczułem jakąś pełnię, jakiś napływ krwi, raźniej w żyłach tętniącej... Spojrzałem na Martę.

Siedziała nieruchoma i cicha, w morze zapatrzona – i tylko pod zastygłym, niezmiernie smutnym uśmiechem usta zadrgały jej czasem tak, jakby się miała rozpłakać. „Biorę sobie swobodę...” Tak przed chwilą mówiły jej usta. Ale jej oczy i uśmiech jej mówiły teraz, że bierze ją sobie nie jak skrzydła, które są prawem lotu, lecz jak całun, który jest prawem do spokoju, że jest ta swoboda dla niej nie brzaskiem zapowiadającym dzień, ale zmierzchem, który przynosi odpocznienie...

Na powiekach zabłyśły jej łzy i przez te łzy patrzyła uparcie w dal, na słońcem pozłoczone księżycowe morze.

Serce ścisnęło mi się bolesnym kurczem, bo zrozumiałem, że można się od przeszłości odwrócić, ale zmasać jej niepodobna.

Tymczasem Piotr odezwał się sucho:

- Wszystko mi jedno. A po chwili dodał:
- Co teraz zamierzasz robić? Marta drgnęła:
- Nic... Żyć jeszcze trochę dla Toma... dla dzieci... A potem...
- Dla dzieci – powtórzył Piotr jak echo.

Właśnie od wybrzeża biegly obie dziewczynki, śmiejące się, rozpromienione, z fartuszkami pełnymi uzbieranych kamyczków, muszel i bursztynu. Wolały głośno Toma, który nie opodal budował jakieś młyny na strumyku. Piotr powiódł za nimi z wolna oczyma.

- Dla dzieci... – powtórzył raz jeszcze i podparł głowę na dłoni.

Pamiętam tę chwilę jak dzisiaj. Słońce dotykało już widnokręgu i świat ze złotego zaczynał się stawać purpurowym. Lekki wiatr od morza przynosił nam z ostrym zapachem wodorostów szmer rozbijającej się na żwirze fali i dźwięczne, srebrzyste głosy dziecięce.

Nagle Marta powstała i zwróciła się ku Piotrowi.

– Piotrze, daruj – odezwała się głosem niskim i ciepłym, jakiego z dawna już u niej nie słyszałem – daruj, ja może... byłem niesprawiedliwa... daruj, ale ja... widzisz, nie mogłam, nie mogę... Żal mi, żeś miał przeze mnie... takie życie...

Wyciągnęła ku niemu rękę.

Piotr powstał również, popatrzył na nią, potem na dłoń wyciągniętą, znów na twarz jej i nagle wybuchnął strasznym, spazmatycznym śmiechem.

– Cha, cha, cha! to dobre, tak jednym słowem, za tyle lat! cha! cha! cha! chcesz swobody? dobra myśl! może nowego wyboru? cha! cha! cha! „Piotrze, daruj! Nie jestem już twoją żoną!”

Śmiał się jak opętany i wykrzykiwał różne niezrozumiałe słowa. Potem nagle urwał, odwrócił się i odszedł ku domowi.

Marta stała przez chwilę zmieszana, z wyrazem wstrętu i upokorzenia na twarzy, aż wreszcie i jej nerwy odmówiły posłuszeństwa i wybuchnęła głośnym, nieutulonym płaczem – po raz pierwszy od owej burzy, kiedy została żoną Piotra.

Odszedłem w milczeniu, jeszcze więcej przygnębiony niż zwykle.

Długą, czternastodniową noc przepędziliśmy prawie nie mówiąc do siebie. Na drugi dzień na pozór wszystko wróciło do dawnego trybu. Wzięliśmy się zaraz z rana do zwykłych dziennych zajęć, rozmawialiśmy nawet po staremu, nie wspominając o „rozwodzie”, który od owej wieczora stał się istotnie rzeczą dokonaną. Stosunek dotychczasowy między Martą a Piotrem był tego rodzaju, że zerwanie go odczuliśmy wszyscy raczej jako ulgę. Spostrzegłem zwłaszcza korzystną zmianę w

usposobieniu Marty. Nie powiem, żeby była weselsza ale przynajmniej nie znać było na niej dawnego przymusu; rozmawiała z nami swobodnie, nawet dla Piotra była lepsza, choć tak brutalnie odtrącił jedyne serdeczne wyrazy, z jakimi się do niego zwróciła.

A co się z nim działo? To snadź na zawsze pozostanie dla mnie zagadką.

Na pozór przyjął wszystko obojętnie i niespodziewany wybuch owego wieczora, kiedy Marta z nim zerwała, był jedynym objawem jego skrytych uczuć. A jednak ileż żalu, upokorzenia, bóleści musiało się zebrać w namiętej duszy tego człowieka! I jakieżże siły woli musiał użyć, aby to wszystko stłumić i zamknąć w sobie! Bo on ją kochał mimo wszystko – i kocha ją do tego czasu; pod tym względem nie mam zgoła wątpliwości.

Pierwszego dnia po zerwaniu przyszedł do mnie około południa, gdym był właśnie powrócił z wycieczki morskiej i wiązałem łódź do pala na wybrzeżu. Przez chwilę kręcił się niespokojnie, jakby chciał mi coś powiedzieć, lecz nie wiedział, jak zacząć. Potem, jakby powziąwszy nagle postanowienie, chwycił mnie za rękę i wyrzekł patrząc mi bystro w oczy:

– Pamiętasz obietnicę daną mi wtedy, gdym ja Martę brał?...

Spojrzałem na niego zdziwiony, nie wiedząc jeszcze, do czego zmierza. On zaś ciągnął dalej:

– Przyrzekłeś mi wtenczas, że nigdy nie będziesz się starał zdobyć Marty dla siebie, nigdy! pamiętasz? Skinąłem głową w milczeniu. Piotr uśmiechnął się gorzko.

– Zresztą, jak chcesz. To jest śmieszne. Jak chcesz.

Tylko pierwej... strzel mi w łeb.

Ostatnie słowa wypowiedział głucho, a z taką bolesną namiętnością, że mnie aż dreszcz przeszedł. Chciałem mu odpowiedzieć, uspokoić go, ale on, nie czekając na to, odwrócił się i odszedł.

Od tego czasu zaczęły się dla mnie najstraszliwsze walki i męczarnie. Marta w istocie nie należała już teraz do nikogo, a jednak czułem, że wyciągnąć po nią rękę byłoby zbrodnią podwójną: zbrodnią wobec niej, żadnej już tylko ciszy i żyjącej po zrzuceniu wstrętnego jarzma li wspomnieniem dawno zmarłego kochanka i troską o jego syna – i wobec Piotra, tak zgnębnego i nieszczęśliwego, że każda krzywda jemu wyrządzona stawała się czymś więcej niż zbrodnią – była podłością. A przecież zdarzały się chwile i okoliczności, kiedy się wahałem i musiałem użyć całej woli, aby nie strzelić Piotrowi w łeb, jak sam sobie tego

życzył, i nie rozpocząć z Martą nowego życia. Takie pokusy nachodziły mnie zwłaszcza wtedy, gdy widziałem wzrastającą przychylność Marty wobec siebie. Uśmiechała się do mnie często i nazywała mnie po staremu swoim przyjacielem, a mnie roilo się już po głowie, że gdyby nie Piotr, moglibyśmy być ze sobą szczęśliwi – oboje. Na szczęście wkrótce przychodziło opamiętanie.

– Wszakże Marta – myślałem – jest mi tylko dlatego przychylna, że nie stanąłem nigdy między nią a wspomnieniem tego zmarłego, jedynie umiłowanego człowieka, że nigdy nie skalałem świętości jej uczucia, nie tknąłem jej ciała ani nie zażądałem duszy, które ona oddała na wieczność tamtemu, co leży teraz pod piaskami *Mare Frigoris*. Lecz gdybym tylko zapragnął czegoś więcej...

Straszne błędne koło!

Mimo to raz byłem już bliski szalonego czynu...

Urządziliśmy we troje wycieczkę na szczyt krateru *Otamora*. Dziewczynki zostawiliśmy w domu pod opieką Toma, któremu można je już było powierzyć z całą ufnością. Przedarłszy się od strony morza przez zarośla pnączów i przebywszy lasy ogromnych, zdrzewiałych liściowców, dostaliśmy się na pochyłą równinę, podobną do rozległej hali, a porosłą krzewiącymi się płasko po ziemi wielkolistnymi mchami. Tutaj byliśmy już nieraz, zapragnęliśmy jednak dostać się wyżej, na sam szczyt, jeśli to było możliwe, aby się nasycić wspaniałym widokiem, jaki się musi roztaczać z wierzchołka tego najwyższego w całej okolicy stożka.

Dalsza droga nie była łatwa, bo trzeba się było wdzierać bystro w górę głębokim żlebem, wyrzniętym wśród skał zastygłej i zwietrzałej lawy, a zavalonym w górnej części śniegiem prawie po brzegi. Tu na Księżycu łatwiej wprawdzie przebyć taką drogę niż na Ziemi, gdzie ciało ludzkie waży sześć razy więcej, ale mimo to był to trud niemały.

Po kilkunastu godzinach wysiłku znaleźliśmy się już pod samym zrębem krateru, dalsze atoli wdzieranie okazało się czystym niepodobieństwem. Wyżej śnieg tajał od gorących par, wznoszących się ustawicznie z olbrzymiego lejka, którego brzegi sterczały teraz nad nami, do szerokiego osobnego łańcucha wzgórz podobne, a woda, ściekając, zamarała w czasie wiatru i pokrywała skały szklistą powłoką lodową, na której niepodobna się było utrzymać.

Przekonawszy się o niemożliwości dalszej podróży, zasiedliśmy na śniegu, chcąc przed powrotem odpocząć i rozejrzeć się po okolicy.

Widok był niezrównany. Tuż przed nami, poza masą czerniejących u stóp naszych lasów, rozciągało się w bezkresną dal morze, grające wszystkimi barwami tęczy i usiane wyspami, podobnymi stąd do małych, czerniejących punktów wśród roziskrzonej płaszczyzny. Niektóre z nich, rozleglejsze, tworzyły plamy obrąbione, jak pawie oka, kolorową opaską. Na lewo, ku wschodowi, ukazywały się spoza sterczącej grani poczerniałe szczyty i pierścienie pomniejszych kraterów górzyściej krainy, wśród których tu i owdzie błyskała błękitna wstęga zatoki, wrzynająca się w ład głęboko. Na prawo, poza gejzerami, o których świadczył nam tylko drobny obłoczek białawej mgły, rozciągała się szeroka równina, przetrźnięta krętą rzeką, na której w dali, jak perły na sznur nanizane, świeciły odległe, o pasmo zielonych wzgórz oparte jeziora.

Siedzieliśmy dość długo, zachwyceni czarownym widokiem, gdy wtem zaniepokoił nas głuchy grzmot podziemny. Pary, wznoszące się nad kraterem, szerniały i zbiły się w ogromny kłąb, z którego wkrótce zaczął się sypać na nas drobny i duszący popiół. Należało wracać co prędzej, gdyż widocznie zbliżał się wybuch wulkanu. Nie zdążyliśmy już jednakże ująć dość wcześnie. Znajdowaliśmy się za ledwie w połowie owego żlebu, kończącego się przy łąkach nad lasami, gdy nagle przy wzmożonym łokocie podziemnym zatrzęsły się skaty, z których poczęły na wszystkie strony opadać lawiny, a chmura dymu, dotąd czarna, rozbłysła krwawym blaskiem.

Nie było czasu do namysłu. Z największym pośpiechem schroniliśmy się w pobliskiej szczelinie, oczekując z drżeniem chwili, kiedy znów będziemy mogli posunąć się ku dołowi.

Niebo nad nami, pokryte gęstymi kłębami dymu, wyglądało jak ognista czeluść piekielna; głuchy grzmot nie ustawał już teraz ani na chwilę, a powietrze, przesycone wyziewami siarki i drobnym popiołem, dusiło nas i parzyło nam płuca. Z góry zaczynały już padać większe, gorące żuźle, pokrywające brudny śnieg dokoła mnóstwem czarnych plam. Musieliśmy uciekać ze żlebu, którym teraz płynęła wartko woda ze stopionego śniegu, zmieszana z popiołem i ziemią.

Wybuch był dość silny, a wstrząśnienia gruntu, któreśmy odczuwali, musiały się rozchodzić szeroko i u stóp góry, bo gdy wiatr, rozeгнаwszy na chwilę duszące pary i tumany popiołu, odsłonił świat przed nami, zobaczyliśmy morze burzliwe i spienione.

Przyczepieni do bystrej turni, sterczącej jak przylądek w miejscu, gdzie żleb rozchodził się ku dołowi w dwie strony, zasłonięci nieco od

góry wystającymi głazami, przesiedzieliśmy tak kilkanaście godzin, niepewni zdrowia i życia. Martę ogarniał przy tym straszliwy niepokój o dzieci. Tom był już wprawdzie obeznany z trzęsieniem ziemi, dość częstym i niezbyt groźnym w tych okolicach, i można było polegać na jego przeczności i rozsądku, ale Martę, a także i *mnie* trapiła myśl, że w razie naszej śmierci i dziatwa pozostawiona sobie byłaby skazana na niechybną zgubę. Piotr był obojętny i spokojny lub przynajmniej udawał spokój.

Wreszcie uciszyło się nieco. Silny wiatr, który się zerwał nagle od morza, oczyścił trochę powietrze i rozgarniał rzędzące powoli tumany dymu. Deszcz popiołu i żużli przestał już padać. Odetchnęliśmy swobodniej i zabieraliśmy się właśnie do dalszej drogi z powrotem, gdy wtem zaniepokoił nas jakiś dziwny a potężny szum i syk nad nami. Piotr wyskoczył pierwszy z kryjówki, aby zobaczyć, co by to było, ale zaledwie stanął na wystającym głazie, wydał straszliwy okrzyk przerażenia: z góry pędził żlebem rozhukany potok lawy! Widziałem, że Piotr chciał zawrócić do nas, ale w tejże chwili zawył orkan, poprzedzający ten wylew płynnego ognia, i zmiotł go tak sprzed naszych oczu, że nie wiedzieliśmy na razie, co się z nim stało.

Skwar nieznośny i duszący wionął ku nam: oba żleby wypełniała już płynna, czerwono świecąca masa, hucząc w dół potwornymi kaskadami ognia i kamienia razem. Nie było ani chwili do stracenia. Gdyby się wylew wzmógł, lawa mogłaby nam odciąć powrót, wypełniając poprzeczne wgłębienia między żlebami, albo co gorsza, rozkruszyć i unieść nasz ostrów kamienny, tak jak wartki prąd wezbranego potoku unosi po drodze gliniaste wysepki. Zatem, nie myśląc już o Piotrze, którego w pierwszej chwili miałem za straconego, pochwyciłem na ramiona Martę, oniemiałą z przerażenia, i począłem co prędzej spuszczać się ku dołom, czepiając się poszarpanego grzbietu sterczącej wśród żlebów grani.

Jakie to było schodzenie, o tym dzisiaj nawet straszno mi myśleć! Skąły, o które rozbijała się piekielna fala, drżały pod moją nogą, jak pokład statku pędzonego przeciw wiatrowi całą siłą pary: okropny skwar groził nam upieczeniem się żywcem. Marta zemdląła i zwiła mi bezwładnie na ramieniu, co kępowało w najwyższym stopniu moje ruchy. A musiałem przecież uważać, aby się nie poślizgnąć, bo każdy krok fałszywy znaczył: śmierć.

Jakim cudem, na wpół uduszony od żaru, oślepiony gorącym dymem i blaskiem lawy, ogłuszony niewypowiedzianym szumem i potłu-

czony sypiącymi się z góry kamieniami, dostałem się z Martą na równinę, skąd wyszliśmy byli przed kilkudziesięciu godzinami, tego już dzisiaj nie umiem powiedzieć.

Byliśmy jednak ocaleni. Lawa spłynęła gdzieś bokami przez lasy, które zadymiły w jednej chwili, i pozostawiła w środku ogromny trójkąt wolny, którego wierzchołek stanowiła łąka i stercząca nad nią grań, a podstawę morskie wybrzeże, ciągnące się przeszło tysiąc metrów pod nami.

Wziąłem się przede wszystkim do ocucenia Marty. Gdy otworzyła oczy i przekonała się, że nie grozi nam już niebezpieczeństwo, zaczęła się zaraz dopytywać o Toma. Uspokoilem ją, że Tom jest w domu i zobaczymy go niewątpliwie w dobrym zdrowiu, nim nadejdzie południe. Wtedy ona wyciągnęła obie ręce do mnie i poczęła powtarzać jak wówczas w *Kraju Biegunowym*, gdym ją odszukał po powodzi:

– Mój przyjacielu, mój przyjacielu...

Było w jej głosie coś tak niesłychanie miękkiego i słodkiego, że dreszcz wstrząsnął całym moim ciałem, a spazm jakiś serdecznie ścisnął mnie za gardło. Pochyliłem nad nią twarz, aby mnie oczy nie zdradziły, a ona wtenczas wzięła moją głowę w dłonie i przygarnęła ją do piersi, mówiąc:

– Tobie winna jestem życie własne i więcej: życie Toma, któremu jesteśmy jeszcze potrzebni. Ty jesteś dobry...

Pierś miała odsłoniętą, bo cucąc ją, rozerwałem suknię pod szyją. Dotknąłem czołem tej piersi, a równocześnie uczułem na głowie łzy spływające jej z oczu.

Naży pożar rozpałił się we mnie. Miałem tę kobietę, tak jeszcze piękną, a tak nade wszystko pożądaną i ukochaną, tuż przed sobą; wystarczyło wyciągnąć ręce, objąć ją, obsypać pocałunkami, zadusić w uściskach. Krew przysłoniła mi oczy, w uszach zahuczały rozkielzane tętna żył; czułem ciepło i miękkość jej ciała, zapach jego upajał mnie, odurzał, oszaleńcał... – Wszakże jesteśmy – błyskało mi w mózgu jak przez mgłę – jedynymi ludźmi teraz na tym globie, bo Piotr prawdopodobnie leży gdzieś martwy między głazami... A zresztą cóż mnie Piotr obchodzi, co mnie obchodzi wszystko na świecie i za światem, kiedy ona... Niewypowiedziana błogość, niewysłowione szczęście rozlało się spokojną falą po całej mej istocie.

-Nie!

Targnąłem się całą mocą i odskoczyłem w tył. Piotr leży tam może w tej chwili gdzieś na skałach, pokrwawiony, półmartwy, i czeka rątku, a ja... Marta spojrzała na mnie i – zrozumiała.

– Masz słuszność – rzekła, jakby mi odpowiadała, choć nie odezwałem się ani słowa – masz słuszność, idź i poszukaj Piotra...

Potem wstała i uścisnęła mi rękę.

– Dziękuję ci – szepnęła.

Piotra znalazłem istotnie niedaleko miejsca, skąd wiatr go strącił. Leżał zaczepiony o ostry głaz, który go ocalił od stoczenia się w ogień zionącą przepaść, bezprzytomny, ale jeszcze ze słabymi oznakami życia.

Zaniósłem go do domu, a wspólnym usiłowaniami Marty i moim udało się przywrócić mu zdrowie.

Kęs czasu minął już od tego wypadku, a ja, pomny na chwilę słabości, staram się tym silniej, aby moja wola panowała zawsze nad tą resztą, która z nią razem tworzy duszę człowieczą.

A Piotr?... Siaduje po staremu milczący i ponury na progu domu i – nie wiem – może żałuje czasem, że nie zginął wówczas na stokach *Otamora*.

Ze mną wszystko snadź skończone. Wkrótce i te dzieci me będą mnie już potrzebowały. Zacząłem sobie budować grób na *Wyspie Cmentarnej*...

[Rozdział] VI

Patrzę na ostatnie słowa, przed kilku księżycowymi dobami napisane, i oczy mi się ćmią – nie łzami już, bo wyschły dawno, ale jak gorący piasek gryzącym bielmem przerażenia i rozpacz. Nie dla siebie zbudowałem grób na *Wyspie Cmentarnej*.

Czemu... czemu?!

Odwieczne, głupie, a tak straszliwie bolesne pytanie – bez odpowiedzi!

Zostałem sam.

Sam z czworgiem dzieci, tutaj zrodzonych, które nie są moimi dziećmi. Jestem ostatnim na Księżycu człowiekiem z tych, co z Ziemi przybyli. Tamci dwoje, Marta i Piotr, poszli za O'Tamore, za Remognerami, za Woodbellem. A ja żyję.

Jest to los, którego się najwięcej obawiałem i – najmniej spodziewałem...

I pomyśleć, że stało się to wszystko tak prędko! Sześć dni księżycowych, pół ziemskiego roku! Kto by się był wówczas spodziewał! A przecież trzeci już raz weszło to leniwe słońce nad to morze, jak po-grzebałem tamtych. Jestem sam, tak straszliwie, tak okropnie sam, że zaczynam się zrywać w ciemności po nocach, a we dnie lękać się szelestu i cieniów, które rzucają mi pod nogi rozkołysane w wietrze rośliny-dziwolągi.

Tak, jestem sam. Bo przecież te dzieci – to nie są moi bliźni. To są istoty z innej planety w dosłownym znaczeniu tego wyrazu.

Cóż bym dał za to, aby tu mieć jeszcze przy sobie bodaj na jedną krótką chwilę Martę lub Piotra!

Gdy Marta zachorowała, nie przeczuwałem nawet, że się to wszystko tak strasznie skończy.

Widziałem wprawdzie od dawna, że organizm jej wyczerpany jest wszystkim, co przeszła, i osłabiony nurtującym w niej smutkiem, ale przecież ta myśl była ode mnie daleka, tak daleka!

Ostatniego dnia już Marta nie była zdrowa. Cichsza jeszcze i więcej zadumana niż zwykle, spędziła prawie cały dzień z dziećmi na morskim wybrzeżu. Bawiła się z Tomem i pieściła nawet dziewczynki, dość zdziwione tym rzadkim u niej objawem czułości macierzyńskiej. Około południa, gdy przyszedłem nad morze powiedzieć, że czas już wracać ku domowi na stawach, bo wkrótce nadciągną burze, uśmiechnęła się do mnie i powtórzyła parę razy:

– Czas wracać, czas wracać...

Te wszystkie drobne szczegóły tak mi żywo stoją w pamięci, tak natarczywie na myśl się nasuwają, że teraz, gdy piszę, mam ją przed oczyma, widzę każdy jej ruch, słyszę jej głos – i wierzyć mi się nie chce, że jej już naprawdę nie ma i że naprawdę nigdy jej już nie zobaczę...

Idąc ku domowi wzięła najmłodszą Adę na ręce i dopytywała jej się, czy kocha Toma. Dziecię wstrząsnęło główką z przeczeniem.

– Nie. Nie kocham. Marta posmutniała.

– Dlaczego nie kochasz? dlaczego? Aduś?

– Bo Tom jest niedobry. Tom chce, żebym go słuchała.

– To źle – mówiła matka – trzeba Toma słuchać i kochać go, bo ty jesteś jego...

– Nie. Ja nie jestem Tomowa. Liii i Róża są Tomowe. Ja jestem swoja.

Zacząłem się głośno śmiać z tej odpowiedzi dziecka, ale Marcie zabłysły w oczach łzy.

– Niepodobna być swojną, niepodobna – szeptała raczej do siebie. Mimo to ucałowała dziewczynkę serdecznie.

Po południu rozmawiała długo z Tomem. Zawoławszy go do siebie, opowiadała mu o ojcu, powtarzając może po raz tysięczny mnóstwo szczegółów, które razem składały się na jakąś dziwną niby baśń, niby pieśń uwielbienia dla zmarłego kochanka. Tomasz był dzielnym i szlachetnym człowiekiem, ale we wspomnieniach Marty obraz jego stał się jakimś bożyszczem, wcieleniem wszystkiego, co wielkie, dobre i piękne.

Napominała też Toma, by był dobry dla sióstr. Zastanowiło mnie to najwięcej, bo takie nauki rzadko z jej ust słyshał.

Przed wieczorem Marta zaczęła się skarżyć na ogólne osłabienie, zawrót głowy i bóle w kościach. Zazwyczaj znosiła wszelkie dolegliwości w milczeniu, tak że mogliśmy się tylko domyślać z jej twarzy, że jej coś brakuje, gdyż nigdy ani słowem nie mówiła nam o tym i nie szukała u nas współczucia ani pomocy. Nawet gdyśmy się dopytywali widząc czasem, że mizernie wygląda, wstrząsała tylko głową i mówiła z uśmiechem: „Nic mi nie jest...” – Albo: „To przejdzie; nie umrę jeszcze, bo jeszcze jestem Tomowi potrzebna”.

Wobec tego tym więcej zaniepokoiła mnie jej skarga tego wieczora. Spojrzałem na nią baczniej i dopiero teraz spostrzegłem przy świetle gasnącego dnia, że ma gorączkowe wypieki na policzkach, a oczy podkrążone i zapadłe. Nie straciły nic ze swego dawnego blasku: wylane łzy i smutek gryzący nie zdołały ich przyćmić, ale paliły się teraz jakimś niezdrowym płomieniem, niepodobnym zgoła do dawnej, gwiazdnej ich jasności.

Gdy słońce zaszło, Marta, która się była położyła – więcej z osłabienia niż dla potrzeby snu – zaczęła się niepokoić i zrywać. Widoczne było, że ogarniają gorączka. Wołała dzieci, które już spały, to znów usprawiedliwiała się ledwo zrozumiałym szeptem – przed sobą czy też przed duchem Tomasza, stojącym jej snadź na oczach – ze swego życia i wydania na świat tych biednych dziewczątek, a nawet z miłości do nich, której nie udało jej się całkowicie przemóc i pokonać. Zdaje się że w jej przekonaniu ta miłość macierzyńska należała się wyłącznie

synowi, a każdy objaw jej względem córek był krzywdą wyrządzoną jemu i pamięci zmarłego.

Po pewnym czasie uspokoiła się nieco. Siedzieliśmy obaj z Piotrem przy jej łóżku, zgnębieni i zaniepokojeni do najwyższego stopnia, zwłaszcza że pozbawieni środków lekarskich, czuliśmy się bezsilni wobec choroby. Marta patrzyła na nas długo szeroko rozwartymi oczyma, a potem naraz zapytała, czy słońce już zaszło? Odpowiedziałem jej, że już się zaczęła długa noc na Księżycu.

– A prawda! – rzekła znacznie przytomniej. – Przecież na świecie jest ciemno, a tu światła się palą... Nie zauważyłam zrazu. A tam, nad *Mare Frigoris*, co teraz jest?

– Tam jest teraz dzień. Właśnie słońce weszło tam niedawno.

– Tak, słońce weszło... I świeci teraz nad grobem Tomasza, prawda? I to samo słońce znad tego grobu przyjdzie tu do nas z rana?

Skinąłem głową w milczeniu.

– To samo słońce... – mówiła znowu chora. – I pomyśleć, że tak codziennie, przez tyle dni księżycowych, to słońce patrzyło na grób, a potem na mnie tu żywą, i znów szło na grób opowiadać mu, co tu widziało.

Zakryła oczy rękami i poczęła drzeć na całym ciele.

– To jest okropne! – powtarzała.

Piotr sposepniał i spuścił głowę. Zdawało mi się, że na pożółkłym i zwiędłym jego obliczu dostrzegłem nagły krwawy rumieniec, rozlewający się aż po zbrudzone czoło.

Musiała to dostrzec i Marta, bo zwróciła się ku niemu:

– Nie chciałam ci. Piotrze, zrobić przykrości... teraz... Zresztą ty nie jesteś winien. Jakżebyś ty mnie był potrafił zmusić, abym została twą żoną, gdybym ja nie była chciała sama... dla Toma...

Zamilkła oddychając głęboko. Po chwili odezwała się znowu:

-Chciałabym doczekać rana. To tak strasznie błąkać się w ciemności i szukać drogi tam, na pustynię. Gdy tu dzień nastanie, nad *Morzem Mrozów* będzie świecić Ziemia. Wolę przy jej świetle stanąć nad grobem, bo nie wiem, czybym śmiała tak w pełnym blasku słońca spojrzeć...

– Marta! co ty mówisz! – krzyknąłem mimo woli. Spojrzała na mnie i odpowiedziała krótko:

– Ja umrę.

Okolo północy zacząłem się już naprawdę obawiać, że umrze. Nękała ją jakaś choroba, której nawet nie umieliśmy nazwać. Widzieliśmy

tylko nadzwyczajny upadek sił, który w połączeniu z powracającą wciąż gorączką nie wróżył nic dobrego.

Zresztą co znaczą wszystkie lekarskie nazwania! Ja wiem co to za choroba, znam ją aż nadto dobrze: nazywa się – życie! Budzi człowieka z nieświadomości, pieści się z nim, igra, a wśród igraszek targa go i szarpie, morduje, tłoczy, aż wreszcie zmoże go i zniweczy. Z tą chorobą wszyscy się rodzimy i nie masz na nią lekarstwa – krom śmierci.

Piotr nie odstępował prawie od łóżka Marty. Patrząc na jego twarz ponurą i nieruchomą, mimo niepokoju, jaki mnie ogarniał z powodu Marty, zastanawiałem się mimo woli, co za uczucia mogą się kryć pod tą maską? Niestety, miałem się dowiedzieć o tym aż nazbyt prędko!

Nad ranem Marta była bardzo niespokojna, a dopiero pierwszy brzask dzienny sprowadził na nią ukojenie.

– Zobaczę jeszcze słońce! – mówiła i próbowała się uśmiechać zbladłymi wargami.

Teraz ja sam siedziałem przy niej, bo Piotr, znużony długą bezsennością, uległ wreszcie moim namowom i położył się spać w sąsiedniej izbie. Ranny brzask wdzierał się przez szyby z grubego, na Księżycu wyrobionego szkła, a światło lamp żółkło coraz więcej. Śnieg leżał na polach jak zwykle i gdy wiatr rozegnał nieco pary, podnoszące się wciąż z gorących stawów, widno było przez okna wielką i lśniąca płaszczyznę.

W tym ostrym i zimnym, od śniegu odbitym blasku nadchodzącego dnia, klóącym się z żółtym i martwiejącym światłem lampy, patrzyłem na Martę i nie miałem już zgola wątpliwości, że wkrótce odejdzie od nas na wieki. Przez tę dwutygodniową noc zmieniła się nie do poznania. Twarz jej się wyciągnęła i pobladła; usta, niegdyś takie pełne, purpurowe i ponętne, zachodziły już bladą barwą śmierci. Spod spuszczonej, niemal przezroczystej, siatki drobnych żyłek powleczonych powiek patrzyły oczy gasnące już i nad wyraz smutne.

Oparłem czoło o krawędź łóżka i kąsałem palce, aby nie wybuchnąć okropnym, niemęskim płaczem, który mi się targał w piersi jak zwierz na uwięzi.

Tymczasem na świecie robiło się coraz jaśniej. Opary, do niedawna jeszcze szare, przechodziły teraz przed oknami, poruszane wiatrem, jak lekkie, śnieżnobiałe widma. Czasem tuman ich skłębił się i świat zasłaniał, czasem wyciągały się w długie powiewne postacie, które zjawiały się nagle, biły pokłon przed oknem i przechodziły znów dalej. Wtedy widno było między ich smugi białe pola i chmurą owinięte, perliste

kolumny gejzerów i dalej nad nimi, na tle jasnoblękitnego nieba szczyt *Otamora*, zaróżowiony już pierwszymi promieniami słońca.

Marta zapytała o dzieci, ale usłyszawszy, że jeszcze śpią, nie dała ich budzić.

– Niech śpią – szeptała – jeszcze je zobaczę... nim słońce wzejdzie. Tymczasem dobrze, że jest tak cicho. Potem zwróciła się ku mnie:

– Ty będziesz im zawsze opiekunem, prawda?

– Będę – odpowiedziałem zdławionym łzami głosem.

– I nie opuścisz ich nigdy?

– Nie.

– Przysięgasz mi?

– Tak. Przysięgam. Wyciągnęła ku mnie rękę:

– Dobry jesteś, mój przyjacielu – szepnęła. – Umrę spokojnie, wiedząc, że ty o nich nie zapomnisz.

Pochwyciłem jej rękę i przycisnąłem namiętnie do ust. Palce jej drgnęły lekko, jakby chciały moją dłoń uścisnąć. Chłód bił już od nich tak, że nawet moje gorące wargi nie zdołały ich rozgrzać.

– Chciałabym ci jeszcze powiedzieć – zaczęła po chwili – przed śmiercią, że byłeś mi... drogi. Robiłam sobie z tego powodu wyrzuty większe niż z tego, że byłam żoną Piotra... Może... gdybym była została twoją miast jego, byłoby życie na Księżycu poszło innym torem, byłabym może żyła jeszcze dzisiaj...

Mówiła to wszystko cichym, gasnącym głosem, a we mnie nagle zerwała się burza. Ryknąłem płaczem jak małe dziecko i okrywając jej dłoń pocałunkami bez pamięci, wyrzucałem z piersi przez łzy bezładne słowa miłości, tak długo tajone, a rozpętane dopiero teraz – wobec umierającej.

Ona przechyliła się nieco i położyła drugą rękę na mej głowie:

– Cicho – mówiła – cicho... Ja wiem... Nie płacz... Tak jak się stało, lepiej się stało... Byłeś mi drogi za swą szlachetność, za miłość dla Toma, zresztą-ja nie wiem sama, za co... ale mimo wszystko może bym nie była dobra dla ciebie, gdybyś był stanął między mną a tamtym, zmarłym, który jeden miał do mnie prawo. Cicho już, nie płacz. Wiesz już teraz. Myślę, że Tomasz mi przebaczy, żeś to czuła i teraz tobie w godzinę śmierci powiedziała... Ja byłam taka nieszczęśliwa...

Zamilkła wyczerpana, a ja, ukrywszy twarz na jej piersi, trząśłem się cały, targany wewnętrznym łkaniem.

Ale ona po chwili zaczęła znowu.

– Niech będzie... wyznam ci już wszystko. I tak po raz ostatni z tobą rozmawiam... W owo południe...

Umierająca urwała na chwilę, jakby nagły wstyd, nie blednący nawet wobec śmierci, głos jej zatamował, ale ja wiedziałem o jakim ona południu mówiła!

Milczała przez jakiś czas, z lekka tylko poruszając wargami, aż wtem, z nagłym wybuchem, podnosząc ręce ku skroniom zakrzykła:

– Czemuś ty Piotra nie zabił?!

W tej chwili posłyszałem stłumiony jęk za sobą. Było w nim coś tak strasznego, że mimo woli zerwałem się i odwróciłem głowę. We drzwiach, dłonią o uszak oparty, stał Piotr, blady jak trup, i patrzył na nas szeroko rozwartymi oczyma. Musiał stać tu już dość długo i słyszał zapewne wszystko, co Marta do mnie mówiła.

Gdy zauważył, że go spostrzegłem, postąpił chwiejnie parę kroków naprzód i zabełkotał coś niezrozumiałego.

Marta ze stłumionym okrzykiem wstrętu odwróciła się ku ścianie.

– Przepraszam – wyjąknął Piotr-przepraszam, to mimo woli... Nie chciałem...

W tej chwili rozległy się w drugiej izbie głosy i tupotania.

– Dzieci! – zawołała Marta i wyciągnęła ręce. Ale dziewczynki onieśmiałe zatrzymały się w progu i tylko Tom przypadł do niej, więc wzięła jego głowę w drżące dłonie i przygarnęła ku łonu.

Piotr spojrział na to i przystąpił do mnie:

– Obiecałeś jej – tu wskazał głową Martę – pamiętać o wszystkich dzieciach... o wszystkich! jednakowo...

Nim zdążyłem odpowiedzieć, zaskoczony tą dziwną uwagą, jego już nie było w izbie.

Między płaszące przed oknem opary przedostawał się już promień słoneczny, zamieniał górne szyby w kawałki jaśniejszego złota i biegł świetlistym snopem przez duszną atmosferę pokoju. Marta leżała bez ruchu, wpatrzona gasnącym wzrokiem w płat słonecznego światła, który coraz niżej ześlizgiwał się po ścianie i jak anioł zstępujący płynął ku jej poduszkom. Dziewczątka poczęły się na palcach zbliżać do łóżka, patrząc ze zdziwieniem na bladą i nieruchomą twarz matki.

Duszno mi było, w ustach czułem żrącą gorycz. Ten nastający dzień przychodził do mnie jak bezlitosne, bolesne szyderstwo, bo wiedziałem, że zacznie się z nim pustka i patrzenie w przeszłość. Chwile mijały w milczeniu...

Nagle Tom krzyknął:

– Wuju, wuju! ja się boję! Mama patrzy tak strasznie! Odwróciłem się: promień słońca, padłszy na poduszki, oświecał twarz Marty zastygłą i martwą, szklistymi oczyma w słońce jeszcze wpatrzoną.

– Wasza matka umarła... – szepnąłem jakimś cudzym i zdławionym głosem do dzieci, które się cisnęły teraz zalęknione i zdumiałe dokoła łóżka. Po czym pochyliłem się, aby przymknąć jej powieki.

W tej chwili rozległ się huk wystrzału. Poskoczyłem ku drzwiom: Piotr leżał w sąsiedniej izbie na podłodze z roztrzaskaną skronią i dymiącym rewolwerem w ręku.

Zatoczyłem się na progu jak pijany.

Dzisiaj oboje leżą już w grobie. Ja sam oddałem im ostatnią śmiertelną posługę, owinałem ich ciała w duże, z roślinnych włókien utkane i żywicą przepojone całuny i we własnych ramionach na łódź je zaniósłem, która je miała powieźć na *Wyspę Cmentarną*. W łodzi obok mnie i trupów siadło czworo dzieci. Troje starszych skupiło się koło ciała matki. Tom, zdumiały i przestraszony widokiem śmierci, siedział milczący u nóg trupa; Liii i Róża chwyciły całun rączkami i wołały z płaczem matki, jak gdyby dopominając się jeszcze należnych im pieszczot, których im za życia skąpiła.

Ciało Piotra leżało w łodzi opuszczone. Najmłodsza dziewczynka tylko podpełzła ku niemu i głaszcząc rączką pokrywającą je zwoje grubej tkaniny, szeptała cichutko:

– Biedny tatuś, biedny...

Smutnej naszej podróży sprzyjała cudowna pogoda. Słońce, jeszcze niewysoko nad widnokrąg wzniesione, rozświetlało złociście ogromną a spokojną, zaledwie w drobne skiby leciuchnym powiewem zoraną płaszczyznę morza, wśród której majaczyły przed nami dalekie wyspy, w przezroczystej, błękitnej mgle zatopione. I nigdy w życiu nie czułem tak żywo i tak boleśnie tej bezlitosnej i strasznej ironii, która się mieści w pięknie przyrody, obojętnej zarówno na radość, jak i na ból człowieka. Bo przecież ja wiozłem na tej łodzi dwie ostatnie istoty ludzkie, które ze mną przybyły na ten glob i znały, jak ja, rodzinną mą Ziemię, wiozłem je martwe, aby nappełnić grób dla siebie zbudowany i pozostać już potem na wieki samotnym – a słońce świeciło spokojne, przepiękne i wspaniałe tak samo, jak wtedy, gdym szczęśliwym dzieckiem igrał w jego blasku na tej odległej ode mnie w tej chwili planecie.

Z łodzi zaniósłem ich oboje na plecach do grobu, który zbudowałem na wyżynie w najpiękniejszej okolicy wyspy. Lekkie były te trupy, sześćkroć lżejsze, niżli bywają na Ziemi, a przecież uginałem się pod

ich brzemieniem... I nic dziwnego! Niosłem przecież do grobu resztkę mojego gorzkiego szczęścia!

Martę pochowałem w grobie, który niegdyś dla siebie przeznaczyłem. Dla Piotra wykopałem drugą mogiłę, nieco niżej.

I będę żył dalej... Nieraz wprawdzie, kiedy ciężar niewypowiedzianej tęsknoty przygniata mnie i łamie, zbiera mnie straszna pokusa, aby odejść z tego globu jedyną, jaka mi pozostała, drogą, którą stąd poszło już przede mną tamtych sześcioro: O'Tamor, dwaj Remognerzy, Woodbell, Varadol i Marta, ale wtedy przypomina mi się przysięga dana umierającej, że nie opuszczę jej dzieci. Dla nich muszę żyć. Jestem teraz tak skazany na życie, jak – póki ona żyła – byłem skazany na miłość. I te dwie najlepsze rzeczy na świecie stały się dla mnie najśroźszym bólem i najgorszym cierpieniem...

Dni moje do tych dzieci należą. Staram się wszelkimi siłami o nich ciągle myśleć, zajmuję się nimi, uczę je, garnę ku sobie, chronię i rozwijam, bo dalibóg, na mnie bezdzielnym ciąży duchowe ojcostwo księżycowego pokolenia.

Ale nocami wracam na Ziemię i rozmawiam ze zmarłymi. Coś się już w mózgu moim popsuło i zerwało albo też ból ze serca wstający mgłą go przesłonił, bo jawa snem mi się wydaje, a senne marzenia są dla mnie życiem prawdziwym...

Tęsknię do snów. Chodzę w nich po Ziemi i z rozczuleniem całuję jej drzewa, kwiaty, nawet proch i kamienie – i tak mi się zdaje, że mnie z niej nigdy nie oderwała szalona pycha poznania tajemnic gwiazdzystych przestworzy.

Czasem znowu przychodzą do mnie zmarli towarzysze.

Więc idzie naprzód siwy O'Tamor i obwinia się, on, co był dobrocią samą, że wywiódł nas lekkomyślnie na ten glob pusty, jak lampa dla Ziemi wśród nieb zawieszony. Potem widzę Remognerów. Skarżą się, że poszli za nami i śmierć znaleźli. Woodbell pojawia się blady i pyta, cośmy z Martą zrobili? czy była z nami szczęśliwa? Piotr opowiada mi we śnie to, co za ostatnich lat życia z oczu tylko jego czytałem: o swej dzikiej i namiętnej miłości do Marty, która go tak pożarła, jak ogień garstkę wiórów pożera; o losie swym strasznym, który mu nie dał ani jednej chwili szczęścia, a kazał natomiast przez lata całe widzieć wstręt, odrazę i pogardę w oczach pożądanej i posiadanej kobiety i milczeć, i tłumić w sobie wszystką miłość i wszystek ból, i obrażoną dumę męską; opowiada mi, jakie piekielne *rzeczy* w jego duszy się

działy w ową ostatnią noc, kiedy widział mnie z twarzą ukrytą na jej piersi, i później jeszcze, kiedy przykładał rewolwer do czoła...

Ten korowód smutnych duchów zamyka Marta. Zjawia się przede mną cicha, z bolesnym uśmiechem do ust przywartym, i dziękuje mi za to, że byłem człowiekiem, a czasem zdaje mi się wyrzuca oczyma, że nie byłem.

Taka otchłań smutku i żalu jest we mnie...

Tak te duchy rozmawiają ze mną. A chociaż nic mi nie mówią wesołego, to przecież swojsko mi jest i dobrze z nimi, bo to są moi bliźni.

To nowe pokolenie księżycowe, wzrastające dokoła mnie, jest już jakieś inne. Dzieci to są jeszcze, a przecież czuję już że tworzą dla siebie świat odrębny, który dla mnie, z Ziemi przybyłego, zawsze będzie obcy, podobnie jak mój świat jest niedostępny dla nich, urodzonych na Księżycu.

A przecież ja, brat tych sześciu grobów rozsianych po Księżycu muszę żyć z tymi, dla których ten glob jest ojczyzną – i kto wie jak długo jeszcze...

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

REKOPISU CZĘŚĆ TRZECIA. WŚRÓD NOWEGO POKOLENIA

[Rozdział] I

W Kraju Biegunowym.

Dojrzewa już to pokolenie, a ja jestem wśród niego coraz mniej potrzebny i coraz smutniejszy... Poszedłem tedy w Kraj Biegunowy, aby patrzeć na Ziemię i być samotnym.

Od naszego EXODU z Ziemi Utraconej upłynęło już dwieście dziewiętnaście dni księżycowych, a sześćdziesiąt siedm upłynęło od śmierci Marty i Piotra.

Dziwno mi, że nie umieram...

*

Mieszkam więc znowu na Biegunie. Bezbrzeżna tęsknota za ojczyzną moją. Ziemią, ciśnie mnie coraz więcej. Zapominam wobec niej nawet o tym pokoleniu zdanym mi przez Martę w godzinę śmierci. Ale ono żyje tam nad morzem i jest szczęśliwe. Gdy odchodził, budziło się w nim wiosenne uczucie miłości. Znadto rozkosznie i nadto... boleśnie było mi patrzeć na tę wiosnę...

Tutaj jest cisza i samotność, i wspomnienie...

*

Było znowu zaćmienie słońca i Ziemia czarna jak trup na tęczach złocistych, i ulewa, i powódź.

Od EXODU naszego dni księżycowych dwieście dwadzieścia sześć...

Jakiś niepokój mnie zbiera, co się dzieje z dziećmi Marty. Trzeba będzie, iść tam znów, nad morze, i zobaczyć, czy mnie nie potrzebują.

Sen miałem przykry i Martę we śnie widziałem.

*

Byłem w Krainie Ciepłych Stawów po siedmiu księżycowych dniach nieobecności... Przywiodła mnie tam troska o dzieci Marty.

Tom jest mężem swoich sióstr, Lili i Róży.

To jest rzecz zastanawiająca, jak ci ludzie karleją na Księżycu! Tom jest już dorosły, a głową nawet ramion mi nie sięga. Ada, zdaje się, będzie jeszcze mniejsza...

Za pobytu mego nad morzem był straszliwy wybuch O'Tamora, największy ze wszystkich, jakie pamiętam. Południowa strona krateru obsunęła się w morze... Był to dzień księżycowy dwóchsetny trzydziesty i ósmy od EXODU naszego – w czternaście godzin po południu wybuch się rozpoczął.

Kiedy odchodziłem. Róża spodziewała się potomstwa.

Adę zabrałem ze sobą – zbyt tam była opuszczona... Potrzebuje teraz mojej opieki więcej niż kiedykolwiek. To straszne, że mi jeszcze umrzeć nie wolno!

Przybyłem do Kraju Biegunowego w dwieście pięćdziesiąt jeden dni księżycowych od naszego EXODU.

Tom starał się zatrzymać mnie przy odejściu, ale mimo to widziałem, że był rad, iż odchodzę. Tom jest samowładny i niechętnym okiem patrzył na moją powagę wobec jego żon. Rad jest także z odejścia ze mną Ady, której nie lubi, gdyż mu się ona nie chce poddać, choć to dziecko jeszcze.

*

Idą godziny blade i chłodne, jak to światło niewidzialnego słońca na biegunie – długi, długi! nieskończony szereg godzin...

Z trudem tylko utrzymuję rachubę czasu; mówię niewiele i Ada przy mnie milczy. Przesiaduje całymi godzinami na zielonych mchach i wodzi smutnymi, bladymi oczyma dziecka po różowo oświetlonych szczytach gór...

A ja...?

Nie wiem już sam doprawdy...

Od dawna przestałem żyć terażniejszością, a tym więcej przyszłością. Oglądam się za to poza siebie i patrzę nieustannie w twarz moim wspomnieniom. Niewesołe towarzystwo! Smutny jestem tam nad morzem i smutny tu, gdzie widzę Ziemię na skraju niebokręgu.

*

Długi już czas upłynął od zapisania tej ostatniej notatki. Ada wyra-
sta i zaczyna tęsknić za rodzeństwem, widzę to po niej, choć wprost nie
chce się przyznać do tego.

I ja myślę, że mimo wszystko czas mi powrócić nad morze. Starze-
ję się, a gdybym umarł w tej pustce i samotności, Ada byłaby skazana
na zagładę. Dla niej powrócę znowu, choć Bóg widzi, jak bym rad po-
zostać tutaj i umrzeć patrząc na Ziemię!

A i tak się już boję, że to dziecię za długo żyło ze mną, milczącym i
smutnym samotnikiem. Dziwne jest to dziecko –i to dziwne, że w tej
samotności, miast się zbliżyć, stajemy się coraz więcej obcymi wzajem
dla siebie. Ona patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczyma i widzę, że
myśli o wielu rzeczach, których mi nie mówi.

Wszak mogę się przyznać sam przed sobą? – jestem tutaj z tą
dziewczyną tak długo, a przecież nie przywiązałem się do niej,
owszem, razi mnie wciąż jej obecność, tak chciałbym być sam i dumać
bez przeszkody o przeszłości... o Ziemi...

A jednak trzeba wracać... do Toma, do dzieci Tomowych, które pa-
trzyć na mnie będą ze zdumieniem i zgrozą, na starego, siwego czło-
wieka, który przybył ongi ze Ziemi, a teraz długo żył w samotności...

Trzeba mi wracać... Wracać nam trzeba, Ado... Jeszcze mi umrzeć
nie wolno.

[Rozdział] II

Nad morzem przy Ciepłych Stawach.

Od EXODU naszego dni księżycowych czterysta dziewięćdziesiąt
dwa, to znaczy blisko trzydzieści ośm lat ziemskich.

Bardzo dawno już nie zapisywałem nic na tych kartach – dzisiaj
biorę je w rękę, aby zanotować śmierć Róży.

Umarła, rzecz straszna, z winy swego męża i brata, ukochanego
niegdyś mego wychowanka, Toma, który w gniewie uderzył ją kamie-
niem w głowę!

Druga żona Toma i dzieci jego starsze przyjęły ten czyn w milcze-
niu – zdaje im się, że on ma prawo zabijać wszystkich, którzy mu nie
są posłuszni. Jedna Ada, zawsze z dala się trzymająca od Tomowej ro-

dziny, wystąpiła teraz przeciw zabójcy. Bez wybuchu, bez krzyku, tylko z groźną twarzą i podniesionymi rękoma szła dziewczyna ku niemu, a on się cofał lękliwie, choć mógł ją jednym uderzeniem dłoni powalić, bo większy jest i silniejszy.

Ale ona zatrzymała się dwa kroki przed nim i pokazując jedną ręką za siebie, na świeży trup kobiety, poczęła drugą trząść nad jego głową i wołać:

– Za krew twojej żony przeklinam cię w imieniu Starego Człowieka!

(Starym Człowiekiem mnie tutaj teraz nazywają).

Tom się uląkł, ale po chwili spojrzał na mnie, wciąż milczącego, posepnym wzrokiem, a potem rzekł do Ady, usiłując nadać hardość swemu głosowi:

– Róża była moja, wolno mi było robić z ma wszystko... żywić ją lub zabić. Dlaczegoż była nieposłuszna?

Ten straszny wypadek i ta zbrodnia – mimowolna, gdyż nie wierzę do tej chwili, aby Tom z zamiarem zabójstwa uderzył był żonę – oświetliły mi nagle trzy rzeczy, z których dotąd nie dość jasno zdawałem sobie sprawę.

Widzę przede wszystkim tyraństwo Toma i zdaje mi się, że ja temu jestem winien, bom go wychował, a nie umiałem zrobić go innym. Zresztą nie trzeba może było spędzać samotnych lat w Kraju Biegunowym, a tych tu zostawiać swemu losowi...

A potem zadziwiła mnie Ada. Widzę z jej wystąpienia i z wielu rzeczy, które mi się dopiero teraz przypominają, to, na co nie dość dotąd zwracałem uwagi, mianowicie szczególny jej stosunek do brata i jego rodziny. Zdaje mi się, że oni się nienawidzą wzajemnie, a mimo wszystko tamci boją się tej dziewczyny, najmłodszej z pierwszego pokolenia tutejszych ludzi. Ona trzyma się z dala od nich i jest wśród nich jakby kapłanką, choć nie wiem, czy ten wyraz dobrze rzecz określa. Żal mi Ady, bo jest samotna i samotna, zda się, będzie zawsze na tym świecie, tak jak ja – żal mi jej tym więcej, że ja nie zdołam być dla niej tym, czym może być wobec tego powinienem: dobrym ojcem i przyjacielem. Ale w jej też stosunku do mnie więcej jest czci jakiejś zaboronnej niż miłości. Snadź i temu ja sam jestem winien...

A trzecia rzecz, która mnie najwięcej przestraszyła, bo najbliższej mnie dotyczy: oni uważają mnie... Ale nie! może się tylko łudzę! Cóż, że Ada przeklinała Toma w m o i m imieniu? Wszak jestem tu najstar-

szy, więc pewnie tylko dlatego... A jednak, gdyby tak było, czyżbym i temu... bałwochwalstwu ja byt winien?

Jak oni wszyscy dziwnie wymawiają te wyrazy, którymi mnie mianują: **Stary Człowiek...**

*

Miałem dzisiaj znowu sen, który od lat mnie już trapi niezmiennie i sprawia, że coraz więcej obcym się czuję wśród tego świata...

Śniło mi się, że byłem na Ziemi. Ale dziś był to sen dziwny...

Miałem dookoła siebie ludzi, z którymi rozmawiałem z najwyższym zajęciem o sprawach państw, narodów, postępu... Mówiono mi, że granice niektórych krajów zmieniły się od czasu, gdy Ziemię opuściłem, że teraz są już inne prawa i wiele z dawnych wierzeń upadło. Zaciekawiony byłem tym wszystkim i chciałem po długim niewidzeniu obejrzeć Ziemię własnymi oczyma, aby się przekonać, jak wygląda.

Wybrałem się więc w podróż i szedłem przez znane mi niegdyś okolice i miasta. Rzeczywiście, zmieniło się wiele. Lotem ptaka przelatywałem nad łądy i dziwiłem się, że na miejscu dawnych stolic widziałem grazy, na miejscu łąków kwitnących pustynie i zgliszcza, a tam, gdzie niegdyś rozciągały się pustynie, spotykałem wody lub pola uprawne i łąki, otaczające stolice nowe, pełne ruchu i życia. Zatrzymywałem się czasem i zachodziłem do domów ludzi i zapytywałem o rzeczy z moich czasów, ale nikt mi już nie umiał odpowiedzieć. Wstrząsano tylko głowami i mówiono: „Nie wiemy nic o tym”, albo „Zapomnieliśmy”.

Przestrach mnie ogarniał i żal niewysłowiony, bo widziałem, że ta Ziemia jest już inna i niepodobna zgoła do tej, jaką ja znałem.

Widocznie – myślałem we śnie – upłynęły już nie lata, ale wieki od czasu, jak stąd odszedłem; na Księżycu tak trudno liczyć długie, podobne do siebie dni – musiałem ich wiele pogubić w pamięci... Przybywam na Ziemię, której nie znam i która już mnie nie zna.

I naraz uczułem się tak straszliwie nieszczęśliwym! Obcy na Księżycu, z którym żyć się nie zdołałem, obcy na Ziemi, na którą jakimś cudem wróciłem – za późno! Gdzież sobie miejsce teraz znajdę?

Szybowałem więc dalej w powietrzu z ogromną pustką w sercu, a tymczasem po krótkim dniu noc się już robiła. Pierwsze gwiazdy rozbłyskały Już na niebie, kiedy wewnętrznym pędem niesiony znalazłem się nad bezbrzeżną płaszczyzną oceanu. Pode mną wiły się fale, jak

potworne, przelewające się skręty jakiegoś zwierza o śliskiej i błyszczącej łusce, a w falach odbijał się tuman złocistych światel niebieskich.

Spojrzałem dokoła: tutaj jedynie nic się nie zmieniło! Ta woda była tak samo niezmierna, jak dawniej, i tak samo ruchliwa.

Ale gdy o tym myślałem, spostrzegłem, że morze dziwnie się wydyma i podnosi ku mnie swe fale. Teraz też dopiero zauważyłem, że wprost nade mną stoi Księżyc w pełni, a przez ocean idzie ku niemu olbrzymi wał przyływu. Zląkłem się widma tego świata tam w górze i chciałem uciekać dokądś, gdzie blask jego nie sięga, ale nagle sił mi zabrakło. Uczułem, że opadam na wzdymające się wciąż fale, a one rosną i podrzucają mnie coraz wyżej, ku Księżycowi, wyginają się w jakieś potworne, niesłychanie długie szyje o pienistych grzywach, ryczą przytłumionym śmiechem i coraz wyżej, coraz wyżej mną rzucają. W najwyższym przerażeniu obejrzałem się na Księżyc: rósł w mych oczach, coraz bliższy, wydymał się, zajmował już pół widnokregu, całe niebo było nim już nakryte, jak szarosrebrnym kaskiem. Zdawało mi się, że dostrzegam już na jego krawędziach wychylające się główki skarłałego potomstwa Marty i słyszę złośliwy śmiech i wołanie:

– Wróć do nas! wróć do nas, Stary Człowiecze! tyś już nie ziemski!

Rozpacz, przestach, wstręt, obrzydzenie i straszliwa żądza pozostania na Ziemi, chociażby ona znać mnie już nie chciała, wszystko to naraz przeszło burzą przez pierś moją; krzyk okropny wydarł mi się z gardła, wyteżyłem wszystkie siły, aby się oprzeć rzucającym mnie w przestrzeń falom, chwyciłem się wody rękami, biłem nogami powietrze...

Na darmo! Uczułem nagle, że Ziemia, zamiast pod moimi nogami, jest mi już nad głową, a ja spadam na Księżyc z powrotem...

Straszny sen! straszniejsza rzeczywistość...

*

Od naszego EXODU dni księżycowych pięćset i jeden.

Tom wybrał się statkiem z dwoma najstarszymi synami w podróż odkrywczą na południe. Z opowiadań jego wnoszę, że dotarli prawie do samego równika. W dalszej jednak podróży powstrzymały ich straszliwe, tropikalne burze morskie. I tak z niczym wracać musieli.

Tom po powrocie rozmawiał długo ze mną. Mówił dużo o matce swojej i o Róży i żałował jej śmierci. Potem, wspomniawszy o wypra-

wie i opisał mi straszliwe trudy, jakie przebył, zadumał się, a wreszcie powiedział, iż się obawia, że to była ostatnia jego podróż...

Istotnie – patrzę na niego i nie pojmuję już doprawdy... Ten człowiek, przeżywszy zaledwie połowę mego wieku, jest już starcem. Na Ziemi byłby w pełni lat dopiero... Tutaj ludzie wcześniej dojrzewają i wcześniej się starzeją. Tym dziwniejsza, że ja żyję...

Powiedziałem mu to, a on popatrzył na mnie i rzekł po chwili wahania:

– Tak, ale Ada i dzieci moje mówią, że ty jesteś Starym Człowiekiem...

Dziwnie te wyrazy zabrzmiały w jego ustach.

– Ale ty – odparłem – ty, co znasz mnie od dzieciństwa swego, co ty mówisz o mnie?

Tom nic nie odpowiedział.

*

W czternaście dni księżycowych po śmierci Róży umarł Tom. Pozostawił dwanaścioro dzieci, pięcioro ze zmarłej żony, a siedmioro z Liii. Pochowałem go sam na Wyspie Cmentarnej obok grobów Marty i Piotra, i Róży, i najmłodszego, trzynastego jego dziecięcia, które umarło było wkrótce po narodzeniu.

Liii rozpacza straszliwie po śmieci męża. Zdaje mi się, że i ona wkrótce za nim pójdzie.

Ada jedna jest spokojna...

Patriarchą księżycowego ludku jest teraz Jan, najstarszy syn Róży i Toma, ożeniony z córką Liii...

A ja... ja się już nie liczę od dawna...

*

Ada powiedziała mi dzisiaj z głębokim przekonaniem, że ja nigdy nie umrę... Nie wiem, czy ona jest szalona i to księżycowe pokolenie, które słucha ją i snadź jej wierzy, czy też istotnie ja sam jestem dziwnym wyjątkiem wśród ludzi... Bo istotnie – dlaczego ja jeszcze żyję?

*

Liii umarła.

Z pierwszego pokolenia księżycowego Ada już tylko jedna jest przy życiu.

Od EXODU naszego dni księżycowych pięćset i siedemnaście...

*

Strach mnie przejmuję, bo tu naprawdę koło mnie dzieje się coś, czego nie mogę i nie chcę, nie chcę! zrozumieć...

Ten ludek podczas burzy, sroższej dzisiaj niż zazwyczaj i połączonej z groźnym wybuchem *Otamora* – ten ludek przyszedł tedy pod moje mieszkanie z ofiarami, mając na czele szaloną kapłankę, Adę, której snadź długi niegdyś pobyt i samotność w Kraju Biegunowym zmysły odebrały. Już od oplakanego zabójstwa Róży, które ją straszliwie czasu wstrząsnęło, zacząłem uważać, że w jej głowie coś niedobrego się dzieje – teraz widzę, że ma naprawdę pomieszanie zmysłów. Ale ja to jeden widzę! – oni ją czczą i mają za natchnioną’. I dzisiaj pod jej szalonym przewodnictwem – straszno powiedzieć! – modlili się do mnie, abym powstrzymał wichry i uspokoił kołyszącą się pod ich nogami ziemię! Więc oni mają mnie naprawdę za...

O! jakże ja strasznie jestem samotny w towarzystwie tej obłąkanej i tych karłów, zaledwie zasługujących na miano ludzi!

*

Takie mnie czasem straszne ogarnia zniechęcenie... Zabrałem się dzisiaj do porządkowania zapyłonej od dawna biblioteki mojej i papierów i przyszła mi nagle ochota spalić to wszystko i ten pamiętnik także...

Nie spaliłem. Ale książki i papiery zostały rozsypane na podłodze – leżą w beładzie przed oczyma moimi, a mnie się ręki nie chce ściągnąć; aby je podjąć.

Niech tak zostaną. Gdy umrę – zapewne nikt ich już nie poruszy.

[Rozdział] III

Tyle dni, tyle nieskończenie długich dni i nocy...

Zdaje mi się, że straciłem rachubę czasu. Tak ciężko liczyć dni, podobne do siebie jak krople wody, dni, którym mój stary ziemski zegar nie może wydażyć – i ustaje w biegu, nim słońce wzniesie się w południe... Tylko serce moje znaczy uderzeniami każdą cząstkę doby, a kiedy je zapytam, która jest godzina, odpowiada niezmiennie, że jest godzina nieukozonej tęsknoty, a kiedy je zapytam, ile tych godzin upłynęło, odpowiada tylko: Za dużo! za dużo!

Tak jest, o nieutulone, samotne serce moje! za dużo tych godzin, za dużo tęsknoty, za dużo już życia...

Włosy mam siwe od dawna, od jak dawna? – A bo ja wiem? Tam na Ziemi musiało już upłynąć lat kilkadziesiąt od czasu, kiedym trupami napelniał pierwsze groby na Wyspie Cmentarnej. Przybyło już tych grobów dzisiaj. Kopałem mogiły dla Toma, dla Liii i Róży, którzy przecież byli dziećmi, gdym ja się już chylił; dokoła mnie wzrastają prawnuki tych, co ze mną na ten świat przybyli z Ziemi – a ja ciągle żyję.

To jest tak zadziwiające, że czasem nie rozumiem już własnej istoty: gotów bym sam przypuścić, że prawdę mówi ta wśród księżycowego pokolenia rozszerzona o mnie legenda, że ja w ogóle nigdy nie umrę...

Przypominam sobie – na Ziemi, na mojej ukochanej, na zawsze straconej Ziemi, czytałem raz w książce jakiegoś uczonego przyrodnika, że śmierć jest zjawiskiem niepojętym i przypadkowym, nie wynikającym bynajmniej z warunków życia. Strach mnie przenika, gdy pomyślę, że wobec tego mogłaby zapomnieć o mnie i nie przyjść...

*

Jeśli dobrze liczę, pięćdziesiąt z górą lat minęło już od czasu, kiedy z pomarłymi dziś towarzyszami opuściłem Ziemię. Z tych ludzi, których ja znałem, zapewne mało kto żyje; ci, którzy w dzieciństwie słyszeli o szaleńcach udających się w podróż na Księżyc, są teraz siwi i

zapomnieli może imion owych podróżników, których tam mają za straconych...

Pięćdziesiąt lat! Ileż się rzeczy od tego czasu musiało zmienić na Ziemi. Może bym znanych niegdyś okolic nie poznał teraz. I pamięć moja już słabnie... Tkwi w niej jeszcze mnóstwo szczegółów, z którymi się pieścę z lubością w długich godzinach rozmyślań, ale widzę, że z każdym dniem stają się coraz luźniejszymi obrazami, mozaiką drogocennych, tęsknotą moją rozłsnionych kamieni, która się już rozsypuje i łamie...

Składałam tę mozaikę w myśli wciąż od nowa; kamyki, które już w ciągu długich lat pogubiłam, uzupełniam jakimś smutnym rojeniem i znowu zmieniam obrazy, bawiąc się na starość tymi skarbami wspomnień jak dziecko kalejdoskopem.

I takie są perliste te wspomnienia, gdy przez łzy na nie patrzę!

O! gdyby jeden dzień, jedna godzina tam – na Ziemi! Gdyby zobaczyć jeszcze ludzi, takich prawdziwych, do mnie podobnych ludzi! o! gdyby słyszeć szum lasów: świerków, lip i dębów, gdyby zobaczyć jeszcze rozpuszczone na wiatr warkocze brzeziny, widzieć na łąkach trawę, czuć zapach ziemskich ziół i kwiatów, słyszeć śpiew ptaszęcy, patrzeć, jak łąny pokrywają się na wiosnę runią ozimin lub falują w lecie złocistymi kłosami!

Wiele rzeczy na Ziemi zmienić się musiało, ale ludzie są tak samo, tak samo są ptaki i rośliny!

Czasem przypomina mi się złota gadka, że dusza ludzka z ciała uwolniona może wędrować do woli po światach gwiazdach i słońcach. Niegdyś małym chłopcem, mieszkając jeszcze na Ziemi, marzyłem, myśląc o tym, o podróżach po gwiazdzystym przestworzu – teraz pragnąłbym tylko być na Ziemi, wiecznie, wiecznie na Ziemi! A gdy czasem strach mnie przejmuje, że ta Ziemia dzisiaj już inna, niż ja ją znałem przed pięćdziesięciu laty, to przypominam sobie, że są przecież ludzie, są lasy i śpiewające w nich ptaki, są łąny i kwitnące na nich kwiaty... To wystarczy duchowi mojemu, jeśli będzie miał wolność iść tam...

Jak dawno ja już nie słyszałem śpiewu ptasząt! A pamiętam, pamiętam jeszcze ranki takie, całe ptactwem rozśpiewane... Szary świt robi się na świecie, niebo blednie, potem różowi się lekko od wschodu – cisza jest ogromna – słyhać tylko szelest dużych pereł rosy, spadającej z liści drzew. Wtem naraz pierwszy, krótki, urwany świergot, po nim drugi w innej stronie i trzeci, czwarty... Jeszcze chwila ciszy, a potem

jakby wszystkie drzewa, wszystkie krzewy ożyły: świergot wszczyna się naokoło, klaskanie, gwizd, bicie i gwar – zrazu można jeszcze poszczególne głosy odróżnić: tu kos się odezwał, tam z lasu słychać krzyk sojki, ówdzie bliżej wróble, sikorki, pliszki, a w górze skowronek – później już jest tylko jeden ogromny, radosny, dźwięczny chór; powietrze drży od niego, listki, zda się, drżą i kwiaty, i trawy... Na świecie tymczasem robi się coraz Jaśniej, na niebie coraz rumianiej – aż wreszcie i słońce wypływa na firmament.

Tutaj słońce wschodzi leniwie i cicho... Chciałoby się przypuścić, że nie spieszy się dlatego, że go nie wołają żadne głosy... Kilkugodzinnego, szarego świtu, podczas którego okolica leży nieodmiennie ścięta mrozem i śniegiem spowita, nie rozwesela śpiew ptasząt... Słońce tu na Księżycu wschodzi zawsze nad martwym światem i w bezdennej głuszy. Jedynie człowiek zakrzyknie, z dalekiej gwiazdy przybyły, przebudzone dziecko zapłacze z cicha albo pies zdziczały, skostniały od mrozu zaskomli w jamie, z której wygnał przed wieczorem jakiegoś księżycowego potworka...

I przez cały, nieskończenie długi dzień panuje cisza, chyba że wiatr się zerwie, rozbudzi morze i zaświszcze po skałach albo szeroki gardziel wulkanu ryknie, odpowiadając huczącym gromom...

*

Tak mi żywo stanęło dziś w myśli, com przeżył. Przerzucam poźółkłe karty pamiętnika, a gdy na chwilę przymknę oczy, to mi się zdaje, że słyszę turkot wozu, wiozącego nas przez okropne księżycowe pustynie, zdaje mi się, że widzę znów to niebo czarne i rozświetloną na nim Ziemię, te olbrzymie góry, wyglądające jak węgiel w cieniu, a mieniające się wszystkimi barwami tęczy w blasku słońca, co bezpromienne, potworne – płynie wśród gwiazd różnokolorowych ku wyginającej się w coraz węższy sierp Ziemi. A potem przypominają mi się te pierwsze lata spędzone już tu, nad brzegiem morza. Przez zamknięte powieki widzę Martę smutną i bladą. Piotra i te dzieci rozkoszne, których dzisiaj także już nie ma. Ada tylko jeszcze została przy życiu, ale zdaje mi się, że nie pamięta już rodziców, choć z tego, co ode mnie o nich słyszała, opowiada wiele z fantastycznymi dodatkami nowemu pokoleniu. Była jeszcze taka maleńka, gdy oni pomarli. Dzisiaj jest po mnie najstarsza na tym świecie, a te karzełki czczą ją prawie tak samo,

jak mnie, z tą tylko różnicą, że mnie boją się ponadto, choć. Bóg widzi, nie wiem, dlaczego, bo nigdy nic złego im nie wyrządziłem.

To prawda, że nie umiem się z nimi obchodzić jak z równymi sobie ludźmi. Czasem robią na mnie raczej wrażenie dziwnie zmyślnych zwierzątek. Już pierwsze tu urodzone pokolenie różniło się od nas, z Ziemi przybyłych. Tom i jego siostry, nawet gdy dorośli, wyglądali wobec mnie jak dzieci. Ich wzrost zarówno jak i siły zastosowały się już do warunków tutejszego świata: mniejszej jego masy i zmniejszonego ciężaru przedmiotów. Wobec tego zaś plemienia, co teraz żyje dookoła mnie, ja jestem prawdziwym olbrzymem. Wnuczęta Marty, ludzie już dojrzały (dziwnie tu prędko dojrzewają ci ludzie!), sięgają mi głowami zaledwie do pasa i gną się pod ciężarem przedmiotów, które ja jedną ręką z największą łatwością podrzucam. Mimo tak wątłego ciała są jednakże bardzo zdrowi i wytrzymali nadzwyczajnie na mróz i gorąco.

Długie noce przesypiają wprawdzie po większej części, ale gdy zajdzie potrzeba, umieją na najtęższym mrozie pracować z zapalczywością, która we mnie podziw wzbudza.

Duch w tych karzełkach dziwnie zmarniały. Co się to porobiło z tymi okruszynami cywilizacji, któreśmy ze sobą z Ziemi przywieźli! Poglądam naokół siebie i mam takie wrażenie, jakbym się dostał między jakieś istoty w połowie zaledwie będące ludźmi... Umieją one czytać i pisać, umieją z rudy wytopić metale, zakładać sidła i tkąć odzienie, posługując się ogniem, znają nawet użyteczność różnych narzędzi mierniczych, rozmawiają ze mną dość czystą polszczyzną i rozumieją nieźle treść książek pisanych po francusku i angielsku –ale pomiędzy sobą posługują się jakąś dziwną, ubogą gwarą, na którą składają się poprzekęcane słowa polskie, angielskie, malabarskie i portugalskie, a pod ciasnymi ich czaszkami myśli płyną leniwie i ociężale; zda się, że z największym wysiłkiem łączą je w słowa, pomagając sobie przy tym ruchami rąk i twarzy, jak dzicy gdzieś w głębi Afryki lub na południowych krańcach amerykańskiego lądu.

I taki niezmierny smutek mnie ogarnia, gdy patrzę na to trzecie pokolenie przybyłych tu z Ziemi ludzi! Smutek tym większy, że nie mogę się w przeświadczeniu własnej wyższości oprzeć uczuciu pogardy dla tych biednych niby-ludzi, a zarazem czuję, że jestem współwinnym w zbrodni, która się stała. Bo myśmy naprawdę sponiewierali zbrodniczo dostojność ludzkiej rasy, przeniósłszy ją tu we własnych osobach i pozwalając jej się mnożyć na tym nie dla niej utoczonym

globie... Natura jest nieubłagana zarówno wtedy, gdy w tryumfalnym pochodzie kroczy naprzód i spełniając swe od wieków umiłowane dzieło rozwoju, stwarza formy ciągle nowe, a coraz to wyższe – jak i wtedy, gdy obrażona cofa się i odwołuje to, co stworzyła. Daremnie z nią walczyłem, chcąc w księżycowym pokoleniu utrzymać ducha na tej wysokości, do jakiej wzbił się na Ziemi. Jedyny, a nieoczekiwany skutek moich usiłowań, to ta z bojaźnią połączona cześć, jaką dla mnie mają. Jestem dla nich nie tylko olbrzymem, ale i tajemniczą istotą, która wie, czego oni nie wiedzą, i rozumie, czego oni pojąć nie są zdolni...

A przy tym Ada opowiada im ciągle, że na północy jest kraj, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, a dalej jest okropna, bezbrzeżna i śmiertelna pustynia, a nad pustynią świeci olbrzymia złocista gwiazda i że ja z tej gwiazdy na Księżyc przybyłem. Czyż to nie dość, aby zamącić biedne mózgi tych karzełek? Nie byli tam nigdy i nie widzieli świecącej Ziemi, lecz Ada była ze mną w Kraju Biegunowym i opowiada im teraz cuda, a oni słuchają jej z zapartym oddechem i popoglądają lekliwie ku mojej, wobec nich olbrzymiej, siwej postaci...

I tak jestem wśród nich samotny!

*

Jest noc. Nie umiem, niestety, jak ci księżycowi ludkowie przespać trzystu godzin z rzędu – więc siedzę i dumam.

Mieszkam sam w starym domu, który zbudowałem był niegdyś z Martą i Piotrem; we dnie kręcą się tutaj dokoła stawu karzełki i przyglądają mi się ciekawie, choć przecież znają mnie od dzieciństwa, ale nie wiem, dlaczego żaden z nich wejść się tutaj nie waży. Ada jedna przychodzi do mnie o pewnych stałych porach dnia, składa żywność, porządkuje, co trzeba, a jeśli mnie w domu zastanie, zadaje parę zwyczajnych, utartych pytań, a potem spędza jeszcze, siedząc na progu, parę godzin w milczeniu – i odchodzi zostawiając mnie znowu samego.

Zdaje mi się, że ona pojmuje te odwiedziny jako pewien rodzaj obowiązku względem mnie i spełnia je jak gdyby obrządek czci, należnej Staremu Człowiekowi.

Obłąkana jest ta kobieta dziwnym obłędem. Na pozór zupełnie spokojna i przytomna, ma ideę maniacką, która, nie wiem, skąd się wzięła w jej umyśle... Zdaje jej się, że ja jestem nadprzyrodzoną istotą, władnącą tym księżycowym światem, a ona moją kapłanką i prorokinią tego ludku, który w nią wierzy niezachwianie.

Jakiś mit, jakaś nowa, fantastyczna religia powstała w jej biednej głowie, złożona ze zdań Pisma Świętego i opowiadań moich o Ziemi i naszym tu przybyciu. Głosi ją dzieciom Toma, które jej więcej wierzą niż mnie.

Początkowo starałem się przez długi czas przeciwdziałać wszelkimi sposobami rozszerzaniu się tego mitu, w którym tak niepoślednie miejsce zajmowała moja osoba, ale przekonałem się w końcu, że jestem pod tym względem zupełnie bezsilny. Tłumaczyłem Adzie długo, że przecież ja – jak i rodzice jej, których musi jeszcze pamiętać – jestem takim samym człowiekiem, jak ludzie na Księżycu, a jeśli jestem większy i silniejszy, to tylko dlatego, że się na innej, większej planecie, na Ziemi, urodziłem. Słuchała uważnie i w milczeniu, a gdym się wreszcie zniecierpliwiał, szepnęła, spoglądając na mnie z chytrym uśmieszkiem:

– A jak ty, Stary Człowieku, zdołałeś dostać się tu ze Ziemi i przynieść moich rodziców, czego by nikt inny nie potrafił? skąd ty wiesz wszystko, czego nikt inny nie wie? a przede wszystkim, dlaczego ty nie umierasz, tak jak inni?

Zgromiłem ją i zakazałem jej raz na zawsze rozsiewania o mnie baśni, ale nie na wiele się to przydało. W kilka godzin usłyszałem tylko, jak mówiła do Jana, który jest teraz księżycowym patriarchą, a szedł właśnie do mnie w jakimś interesie:

– Stary Człowiek się gniewa. Stary Człowiek nie chce, aby wiadziano, że on jest... Starym Człowiekiem. Jan się strapił ogromnie.

– To źle, to bardzo źle, a ja właśnie chciałem prosić go, aby przyniósł pod mój dom kamień, którego ja wraz z synami nie mogę ruszyć z miejsca...

– Trzeba go przebłagać – rzekła Ada – przynieście tylko dużo ślimaków, sałaty i bursztynu, ja mu to oddam. A przede wszystkim – tu położyła palec na ustach – nie mówcie nic przy nim! sza! bo on tego nie chce!

Wyszedłszy z za węgła, skąd wysłuchałem całej rozmowy, zgromiłem znowu Adę i udałem się ku domowi Jana, aby zrobić, czego sobie życzył. Na odchodnym słyszałem jeszcze, jak Ada szepnęła zafrasowanemu „patriarsze”:

– A widzisz! on słyszy i wie wszystko!

Skąd się u tej kobiety wzięło to szaleństwo – nie wiem, ale to pewna, że jest treścią całej jej istoty i tajemnicą jej ogromnej powagi wśród księżycowego ludu. Gdy żyło jeszcze pierwsze pokolenie – Róża i Liili obawiały jej się, a nawet Tom, który wobec mnie nie zawsze był skłon-

ny do uległości, drżał przed nią. Dzisiaj – dzieci jego nie ośmieliłyby się w niczym sprzeciwić jej rozkazowi.

Mnie oburza to bałamuctwo, które wprowadza w biedne mózgi wnucząt Marty, a przecież czuję dla niej równocześnie wielką litość... Zwłaszcza że w tym spokojnym jej szaleństwie spostrzegam chwile jasne, przebłyski świadomości, wśród których zdaje sobie snadź sprawę, że żyje w urojeniach i zapewne cierpi.

Pamiętam raz taki wypadek:

Było już po północy, kiedy Ada przyszła do mnie. Zadziwiły mnie jej odwiedziny o tak niezwyklej porze, zwłaszcza że mróz tu nie żartuje i wychodzić z domu w nocy nie jest rzeczą przyjemną ani zwyczajną.

Zastała mnie pochylonego nad jakąś książką, a nie chcąc mi przerywać, usiadła cicho w kącie na ławie.

Widziałem, że ma ochotę rozmawiać ze mną, ale naumyślnie nie zwracałem na nią uwagi. Ada siedziała przez pewien czas w milczeniu, aż wreszcie widząc, że na nią nie zważam, zbliżyła się do mnie i lekko, leciuchno dotknęła dłonią mego ramienia:

– Panie...

Odwrociłem się szybko. Tak nie mówiła do mnie nigdy, z ust jej słyszałem tylko zawsze: „Stary Człowieku”. I dziwna! słysząc teraz wyraz: „Panie!” – doznałem niezwyklego uczucia: był w nim odcień radości, że ktoś do mnie po ludzku przemawia, a obok tego jakby oburzenie, że tak ktoś śmie przemawiać.

– Panie... – powtórzyła znowu Ada.

– Czego chcesz, dziecko? – zapytałem, jak mogłem najłagodniej.

Musiałem to pytanie parę razy powtórzyć, nim mi wreszcie odpowiedziała.

– Chciałam się zapytać... chciałabym wiedzieć...

-Co?

– Panie! ja nic nie wiem! – zawołała nagle z takim tragizmem w głosie i z taką rozpaczą w utkwionych we mnie oczach, że gdym na nią spojrział, zamarła mi na ustach złośliwa uwaga, iż wobec tego nie powinna by tak wiele rozprawiać księżycowym ludziom.

A ona tymczasem ciągnęła dalej:

– Ja zgoła nic nie wiem... I chciałam cię prosić, abyś mi powiedział wreszcie, co to wszystko znaczy, kto ty jesteś właściwie i co my jesteśmy? Widzę, że jesteś samotny i stary, silny i wielki, ale zdaje mi się, że pamiętam jeszcze moich rodziców, którzy byli również inni niż my dzisiaj, podobni do ciebie...

Zamilkła, a po chwili powtórzyła znowu, patrząc mi w oczy:

– Powiedz, kto ty jesteś i co my jesteśmy? A we mnie stało się coś dziwnego. Zdawało mi się wprawdzie, że na to jej pytanie byłem już dał odpowiedź od dawna i niejednokrotnie, ale mimo to wezbrała we mnie żądza mówienia, mówienia po ludzku do tej kobiety, która wreszcie po ludzku się do mnie odezwała. Ogarnęło mnie rozczulenie, czułem, jak serce mi mięknie, a łzy się cisną do oczu; z piersi nie mogłem na razie wydobyć głosu.

Po chwili powtórzyłem tylko za nią jak echo:

– Kto ja jestem!...

Zdawało mi się, że ja sam właściwie nie wiem już tego dobrze...

A Ada mówiła znowu:

– Tak, kto ty jesteś, panie... Nazywamy cię wszyscy Starym Człowiekiem, aleja dzisiaj myślałam... i właśnie przyszłam spytać się ciebie... powiedz mi prawdę, czy ty jesteś rzeczywiście Starym Człowiekiem?

To imię moje tutejsze, które sama rozpowszechniła niegdyś, wymawiała teraz z zabobonnym strachem, zatrzymując się na chwilę i zniżając głos za każdym razem.

– Chcę wiedzieć – mówiła dalej – czy ty rzeczywiście stamtąd, z tej Ziemi, którą widziałam, przyszedłeś tutaj i czy możesz wszystko zrobić, co zechcesz, i czy naprawdę nigdy nie u-mrzesz, i czy my, gdybyś nas opuścił, powracając na Ziemię, będziemy rzeczywiście skazani na zgubę, tak jak myślimy?

Powiedziała to wszystko jednym tchem prawie i utkwiała we mnie błyszczące i niespokojne oczy.

A cóż ja miałem odpowiedzieć? Przed chwilą jeszcze chciałem się przed nią wywnętrzyć, powtórzyć raz jeszcze tak od serca wszystko, com już tyle razy opowiadał, o Ziemi, o naszym tu przybyciu, o pomarłych moich towarzyszach, ale gdym słów jej słuchał, powstała we mnie nagle ta świadomość, że to wszystko będzie daremne, bo ona chce, abym ją ją utwierdził w mniemaniu, że jestem Starym Człowiekiem, to znaczy, według ich rozumienia, jakąś nadprzyrodzoną istotą.

Smutek mnie znowu ogarnął i długo nie mogłem znaleźć słów...

– Dlaczego się pytasz? – zagadnąłem wreszcie. –Wszakże mówiłem ci już nieraz.

– Tak... ale ja bym chciała, żebyś mi powiedział prawdę!

Przypomniało mi się, jak przed wielu, wielu laty podobnie odezwał się do mnie mały Tom, gdy mu pokazywałem Ziemię i opowiadał, że stamtąd przybyłem. „Wuju, powiedz mi teraz prawdę!” – mówił.

– Powiedz mi – nalegała dalej Ada – powiedz, czy to prawda jest, żeś ty przybył z moimi rodzicami z owej gwiazdy ogromnej, którą ty nazywasz Ziemią?

Chwyliła mnie za rękę i patrzyła we mnie płonącymi oczyma. Nigdy jeszcze nie widziałem jej takiej.

– Powiedz mi! – wołała – bo ja to powtarzam tym ludziom, a oni wierzą w ciebie!

Ostatnie słowa wymówiła z jakimś krzykiem serdecznym, który mnie wprost przestraszył. Nie przypuszczałem nigdy, że w tej skrytej, obłąkanej, starzejącej się już dziewczynie mogą się odbywać walki i może płonąć takie uczucie. „Oni wierzą w ciebie!” – w tym mieściła się w tej chwili cała dziwna tragedia jej życia. Ona stworzyła księżycowemu ludowi nową, bałwochwalczą i fantastyczną wiarę i teraz, gdy nagle zbudziła się w niej wątpliwość w to, co sama głosiła, przyszła do mnie, aby usłyszeć z ust mych potwierdzenie, bo – oni wierzą we mnie! W tym okrzyku brzmiało coś jak gdyby skarga, że ci ludzie są tacy biedni i mami wobec mnie, a zarazem i prośba, aby im nie odbierać tej ich wiary.

Patrzyłem na nią długo i zdaje mi się, że miałem łzy w oczach.

– Ado, uwierzysz temu, co ci teraz powiem?

– Uwierzę, uwierzę!

Zawahałem się chwilę: może by się zaprzeć swego ziemskiego pochodzenia? Gdyby myśleli, że się na Księżycu urodził jak oni, przestaliby mnie może uważać za wyższą istotę? Ale naraz wydało mi się tak niesłychaną potwornością zaprzeć się Ziemi, że na myśl tę samą pot mi wystąpił na czoło. Bądź co bądź postanowiłem wytłumaczyć Adzie, że jestem wprawdzie człowiekiem starym, ale bynajmniej nie Starym Człowiekiem w ich rozumieniu, i że powinni to pojąć, choćby im boleśna była strata rozpowszechniającego się zabobonu.

– Istotnie, przyszedłem tu z Ziemi – zacząłem, lecz Ada nie dała mi już dokończyć.

– Więc to prawda? – zawołała – prawda?

Skinałem głową w milczeniu. W tej chwili uczułem, że Ada chwyta mnie za nogi.

– Dziękuję ci. Stary Człowieku, i proszę, przebac mi, że śmiała... Teraz już wiem, ty jesteś Starym Człowiekiem!

Spojrzałem na nią zdumiony. W oczach jej, przed chwilą jeszcze przytomnych i rozumnych, palił się znowu ten tajemniczy ogień, który ją pożera, ręce jej drżały, a na lica wystąpiły gorączkowe rumieńce.

– Dziękuję ci. Stary Człowieku – powtarzała – pójdę i powiem ludowi...

Nim zdołałem ochłonąć ze zdumienia, w jakie wprawiły mię te niespodziewane słowa Ady, jej już przy mnie nie było. Wymknęła się tak prędko, że nie miałem czasu zatrzymać jej ani na nią zawołać.

Ada jest szalona, ale dziwno mi, że Tomowe potomstwo tak bezwarunkowo wierzy jej słowom, dziwno mi, że te wszystkie baśnie znalazły u nich grunt tak podatny...

Zastanawiam się nieraz, jak się wszystko stało. Może i ja tu sam jestem winien po części: zbyt się odsuwałem od nowego księżycowego plemienia, a spostrzegłszy, że otacza legendą moją osobę, uważałem to zrazu za dzieciństwo i nie starałem się stłumić jej w zarodku. Gdy wreszcie przerażony wystąpił do walki z nią, było już za późno.

Jeszcze za życia Toma zauważyłem, że poczynają wśród jego dzieci krążyć różne fantastyczne wieści o mnie. Z dosłyszanych przypadkiem zdań dowiedziałem się, że wiedzę moją i moją nadzwyczajną w stosunku do nich siłę uważają za objaw jakiś nadprzyrodzony. Uchodziłem w ich oczach za potężnego czarnoksiężnika co najmniej. Tom wprawdzie nie rozpowszechniał tego mniemania, ale – o ile wiem – nie przeczył mu także. Mnie początkowo to bawiło tylko.

Ale po śmierci Toma rzeczy przybrały znacznie gorszą postać. Zdaje mi się, że dzisiaj jestem dla tego ludku już czymś daleko więcej niż czarnoksiężnikiem. Sądzą, że wszystko wiem i mogę, a jeśli nie zawsze robię to, o co mnie proszą, to tylko dlatego, że nie chcę. Wszak proszono mnie, abym zażegnał południowe burze, mówiąc, że Adzie się to, niestety, nie udaje, choć działa w moim imieniu! I ona posłała ich do mnie bo – ja wszystko mogę.

Kiedyś znowu Jan pytał mi się w wielkiej tajemnicy, kiedy mam zamiar opuścić ich i odejść na Ziemię? Ada przepowiada im, że to nastąpi niewątpliwie, a oni się boją mego odejścia!

To pewna, że z najwyższym a bolesnym smutkiem patrzę na to, co się w głowach tego pokolenia dzieje. Nie mogę nic na to poradzić – może tylko nie chce mi się już walczyć z naiwną ciemnotą... Wszystko mnie męczy, wszystko mnie przygnębia. Rad jestem, gdy mogę zapomnieć na chwilę o tym, gdzie jestem i co się dokoła mnie dzieje i – przymknąwszy oczy – na jawie śnić o Ziemi.

Tam są ludzie – prawdziwi – i takie lasy, takie ptaki, takie kwiaty pachnące na łąkach...

O! tam...

I tylko coraz mi pilniej odejść stąd na zawsze! O! gdybym to mógł tak, jak oni w to wierzą, powrócić na Ziemię! Obląkany jestem tą myślą o Ziemi. Czymkolwiek się zajmę, ta myśl powraca ciągle i w nocy nie daje mi spokoju. Gdy zasnę, snują mi się przed oczyma różne fantastyczne obrazy, ale wszystkie są wariacjami jednego motywu: Ziemia! Ziemia! Ziemia!

Niegdyś, gdy tam jeszcze mieszkał, były to dla mnie różne lądy i różne kraje, narody i społeczeństwa – teraz stopiło się to wszystko w jedną myśl, jedną miłość i tęsknotę. Nie umiem już rozróżnić z odległości lat i przestrzeni państw ani ludów odmiennego języka i wiary; nawet ludzkość cała zlewa się w mojej duszy w nierozdzieloną jedność ze zwierzętami, roślinami i całą ziemską bryłą i tak to wszystko błyszczący i świeci w mojej myśli, jak tam z czarnego nieba nad pustyniami!

Ziemia! Ziemia! Ziemia!

*

Przypomniał mi się dzisiaj Tom z tych czasów szczęśliwych, kiedy, dzieckiem, był jeszcze moim nieodłącznym towarzyszem i przyjacielem. Myślałem o nim długo – i teraz, w cichą, mroźną noc księżycową snują mi się przed oczyma samotnika barwne obrazy z lat jego chłopięcych...

Bądź co bądź jedyny to był człowiek z nowego pokolenia, którego naprawdę kochałem. I tak nadzwyczajnie obchodziło mnie wszystko, co jego dotyczyło.

Rozwijał się zadziwiająco szybko – widocznie pod wpływem warunków tutejszego świata. Gdy miał lat czternaście, był już dorosłym i dojrzałym mężczyzną. Obie starsze dziewczynki także już dorastały... Patrzyłem na nie jak na rozkwitające kwiaty, nieświadome jeszcze swego uroku, ale już wonne i przeczuwające może instynktownie, że są powabne i że dopełnia się w nich jakaś tajemnica, wzrasta jakaś moc niepojęta, przez którą są cenne, pożądane i święte.

Zachowanie się ich względem Toma uległo znacznej zmianie. Dawniej – były to dwie służki, dwa drobne motylki, kręcące się wciąż koło jego jasnowłosej głowy, szukające tylko sposobności, aby mu się przypodobać lub przydać na co. On był świadomy swej ogromnej

przewagi nad siostrami i uważał ją za rzecz całkiem naturalną. Lekceważył sobie nawet dziewczątka. Jeżeli czasem, w przystępie rzadkiej czułości, pogłaskał którą z nich po bujnych i miękkich włosach albo nawet pocałował, to czynił to zawsze z miną dobrotliwego władcy, który raczy wynagradzać przywiązanie swoich poddanych, ale dba także o to, aby ich nie zepsuć zbyt częstymi objawami swego monarszego zadowolenia. Ten stosunek Toma do sióstr sprawiał mi nawet przykrość od samego początku i niejednokrotnie robiłem chłopcu uwagi, widząc, że posługuje się siostrami bezwzględnie, a w zamian jedynie – pozwala się im kochać. Nie przeczuwałem, że na pewien czas przynajmniej zmieni się to całkowicie.

W czasie, o którym mówię, dziewczątka stały się powściągliwsze w objawach swej miłości dla przyrodniego brata, a nawet, jak mi się zdawało, poczęły go unikać. Niekiedy tylko, gdy on tego nie widział, rzucały za nim lękliwe, ukradkowe spojrzenia, rumieniąc się przy tym za każdym razem, gdy się do nich zbliżał. W miarę jak się odsuwały od Toma, stawały się coraz czulsze i serdeczniejsze wzajem dla siebie.

Zmiana ta dokonywała się prędko, a tak jakoś nieznacznie, że spostrzegłszy ją, nie umiałem sobie już zdać sprawy z tego, kiedy się to wszystko stało. To tylko wiedziałem, patrząc na tych troje... dzieci jeszcze, sądząc po ziemsku, że mam przed oczyma przewrót zupełny, dokonany przez przyrodę, która chce stwarzać, choćby później mścić się miała na narzędziach i dziełach swej wielkiej woli.

To już nie było rodzeństwo: to były dwie kobiety i mężczyzna.

Oni sami, rzecz prosta, nie rozumieli tego jeszcze. Tom usiłował po dawnemu postępować ze siostrami, ale z trudnością mu to przychodziło. W ich towarzystwie tracił pewność siebie i mieszał się. Widno było, że te ciche, wątłe dziewczęta miały teraz przewagę nad nim, przyszłym panem księżycowego świata. Teraz on, miast posługiwać się nimi, służył im raczej. Znosił im żywność, dbał o ich odzienie, wygody, rozrywki, zbierał dla nich barwne muszelki i kawałki bursztynu, które one potem wplatały we włosy, albo też woził je w piękny czas łódką po morzu. Wycieczkom tym ja zazwyczaj towarzyszyłem, gdyż – dziwna rzecz! – dziewczęta, razem z Tomem wychowane i spędzające dotąd całe dni z nim razem, nie chciały się teraz puszczać z nim sam na sam. Nieraz chciałem, jako silniejszy i doświadczeńszy, wiosłować za Tomą, ale on nie pozwalał na to. Zauważyłem, że nie tyle mu idzie o oszczędzanie mnie, jak raczej o popisanie się przed siostrami siłą swą i zręcznością.

Odwieczna komedia rozgrywała się przed moimi oczyma, ale rad na nią patrzyłem. Zdawało mi się, że mam troje ptasząt przed sobą i trzymam dłoń na ich bijących sercach, wiem, jak te serca uderzają, i rozumiem nawet to, czego one same jeszcze nie rozumieją. Bodaj czy nie jedyny to był od śmierci Marty okres w moim życiu, kiedy czułem się niemal szczęśliwym... Jakiś powiew wiosenny i rzeźwy szedł na mnie od tych dzieci, w których dokonywała się wielka tajemnica życia i miłości.

I to już dzisiaj są dawne wspomnienia! Z rozczuleniem je przywołuję do pamięci, bo tak niewiele miałem dni na tym globie, które bym mógł z przyjemnością wspominać i bez bólu.

Tylko – znowu ta straszna ironia życia! Miłość Toma do Lii i Róży – bo obiedwie kochał jednakowo – ta miłość, której sam widok kładł mi jakąś błogą poświatę na serce, sprowadziła na ten świat owo skarłale pokolenie, którym się teraz powoli zaludnia okolica Ciepłych Stawów.

Ilekczo to mi na myśl przyjdzie, wstrząsam się, jak gdybym nagle w koszu róż znalazł obrzydliwe, kłębiące się robactwo.

Zresztą może jestem niesprawiedliwy dla tych karzełek. Oni są przede wszystkim biedni, tacy biedni, że gdy na nich patrzę, to moja duma ludzka aż się wiję z bólu...

Tom był od nich jeszcze o całe niebo wyższy. Pamiętam jego drobną a szlachetną postać... Energiczny był i rozumny; w oczach miał jeszcze to, czego mi tak trudno dopatrzeć się we wzroku jego dzieci: duszę.

Zanadto jest to wszystko dla mnie bolesne i aż mi trudno pisać o tym spokojnie.

Czemu się to wszystko tak stało? – Zabawne pytanie, na które nie może być odpowiedzi! – Dlatego, dlaczegośmy tu przybyli, dlaczego Tomasz umarł i pozostawił Martę między nami dwoma, dlaczego ja wyrzekłem się jej, choć bliższy byłem jej sercu, dlaczego ona umarła i dlaczego ja żyję – to znaczy z tej jakiejś fatalnej i nieubłaganej konieczności, co gwiazdy wznieca i gasi, a zarówno dba o wolę i szczęście człowieka, jak wiatr o ziarnko morskiego piasku, który niesie...

*

Odczytuję znowu to, co na tych kartkach ostatniej nocy zapisałem, i pytam się mimo woli siebie, po co ja to i dla kogo piszę?

Niegdyś, notując wypadki z naszej podróży przez martwą pustynię, i później, kiedy opisywałem pierwsze lata naszego życia na Księżycu, myślałem, że zostawię ten pamiętnik księżycowym ludziom, aby przyszłe pokolenia wiedziały, jak dostaliśmy się tutaj i cośmy musieli przetrwać i przezwyciężyć, nim się nam udało znaleźć znośne warunki do życia. Ale dzisiaj... Przecież to jest śmieszne – ta myśl! Księżycowi ludzie, tacy jak są, nie będą tego nigdy czytali. I nawet nie chcę, aby czytali kiedykolwiek. Co im do tego? co im do moich przeżyć, uczuć, bólów? Czyżby je zdołali zrozumieć? czyżby widzieli w tych kartach co więcej nad fantastyczną i trochę niejasną dla nich opowieść? A zresztą po co się mają dowiadywać, jeśli to pojąć zdołali, że są zwyrodniałym szczątkiem wspaniałej rasy, która – włada swym duchem nad daleką i piękną gwiazdą? Od dnia, w którym by to zrozumieli, musieli by tylko tęsknić, wstydzić się i boleć, tak jak ja, gdy patrzę na nich.

Niech więc tutejsza ludzkość zapomni z czasem, czym była niegdyś na innej planecie, i niech nie miewa „metafizycznych tęsknot”.

Ja ten pamiętnik piszę dziś dla siebie. Gdybym mógł marzyć o wysłaniu go jakim cudownym sposobem na Ziemię, pisałbym go jak list do tych braci moich z ducha, którzy tam zostali, pozdrawiałbym i błogosławił na każdej karcie ziemskie łany szerokie, zboża, kwiaty i owoce, lasy i sady, ptaki i ludzi, wszystko, wszystko, co mi jest dzisiaj we wspomnieniach tak niewypowiedzianie drogie!

Ale ja wiem, niestety, że się to nigdy nie stanie, że nie mogę nawet słowa jednego posłać na Ziemię, do której wlatam tylko myślą i wzrokiem, gdy czasem, przemożony tęsknotą, wybiorę się w Kraj Biegunowy, aby zobaczyć świecącą nad pustyniami moją ojczyznę.

Piszę więc dla siebie. Gawędzę sam ze sobą, jak wszyscy starcy. A gdy mi się czasem na przelotną chwilę uda wywołać w sobie złudzenie, że piszę to wszystko dla ludzi, którzy na Ziemi zostali, to serce raźniej mi w piersiach bije i skronie mi płoną, bo mi się zdaje wtedy, że nawiązuję jakąś nić między sobą a tą setki tysięcy oddaloną rodziną moją planetą!

Rad bym wtedy opisywał najdrobniejsze szczegóły z mojego tu życia, spowiadał się z myśli i skarżył z bólów, i wyliczał rzadkie, krótkotrwałe radości....

Tylko... tych radości – było tak niewiele!

*

Pisałem tedy o jedynej wiośnie, jaką miałem na tym smutnym globie, patrząc na budzącą się miłość między Tomem a dziewczętami.

Powinienem być może zostać przy nich... Ale mnie się zdawało, że gdy odejdę od nich na jakiś czas, przykazawszy, aby za mojej nieobecności nic ważnego nie przedsięwzięli, to przedłużę ową świeżość i wiosną ową, a powrócę w czas lata, aby wiązać snop dojrzały.

Ja stary szaleniec! – nie mniejszym cudem byłoby zatrzymać spadający kamień przez odwrócenie się od niego! Życie poszło swym zwyczajnym torem!

Gdym przybył nad morze po kilku dniach księżycowych, spędzonych w Kraju Biegunowym, Tom powitał mnie z dziwną powagą i wprowadził do starego domu, który przedtem zamieszkiwaliśmy wspólnie.

– Tu jest twój dom – rzekł – taki, jakim go opuściłeś. Nie ruszyliśmy niczego. Ada tylko zamieszkiwała go podczas twej nieobecności i dwa stare psy twoje, które pozostawiłeś.

– A ty? – zapytałem – a starsze dziewczęta? gdzieście wy przebywali?

Tom obejrzał się. Poszedłem za jego wzrokiem i spostrzegłem dopiero teraz, że nie opodal wśród zarośli nad brzegiem wyższego ciepłego stawu wznosił się prawie już ukończony, nowy domek.

– Ja zbudowałem sobie nowy dom – rzeki Tom.

– Po co? – zapytałem z mimowolnym zdziwieniem. Tom wahał się przez chwilę, wreszcie wskazał na zbliżające się ku nam właśnie starsze dziewczęta i rzekł patrząc mi prosto w oczy:

– To są moje żony!

– Która? – zapytałem prawie bezwiednie. Zaległo milczenie. Tom zwiesił głowę, a dziewczęta poglądały ku nam trwożliwie.

– Która z nich? – powtórzyłem teraz już świadomie.

– Ja je obie kocham – odparł – i obie są moje! Mówiąc to, wziął dziewczęta za ręce i przywiódł je do mnie:

– Pobłogosław nas. Stary Człowieku!...

Wówczas to po raz pierwszy przezwiał mnie tym imieniem, które dzisiaj już do mnie przyrosło – na zawsze, jak się zdaje.

Odtąd życie nasze uległo pewnej zmianie, na pozór nieznacznej, a przecież bardzo istotnej. W szczupłym naszym towarzystwie nastąpił rozłam. Tom z żonami tworzył osobną, zamkniętą w sobie rodzinę, której węzły zacieśniały się w miarę, jak potomstwo przychodziło na świat. Ja i Ada zostaliśmy na uboczu. Z każdym dniem czułem, że je-

stem mniej na tym świecie potrzebny, z każdym dniem wzrastała we mnie tęsknota za moim światem tak odległym, a takim innym – a życie tymczasem szło koło mnie z niepowstrzymanym pędem.

Nierad myślę o późniejszym pożyciu Toma ze siostrami. Nie był dla nich dobry, choć one kochały go niezmiennie do ostatniego tchu. Za wiele od nich wymagał i zbyt był despotyczny. Nawet ja utraciłem dawny wpływ na niego. Po części te przykre stosunki były powodem, że po raz drugi wyprawiłem się był do Kraju Biegunowego, wzięwszy Adę tym razem ze sobą.

A później, po powtórnym moim powrocie, to już zda się początek tego ostatniego aktu mej księżycowej tragedii, który trwa aż po dziś dzień jeszcze. Straszna śmierć Róży, obłąkanie Ady, później zgon Toma i Liii – i ta nieutulona moja tęsknota za Ziemią, i ta okropna samotność, wzmagająca się dla mnie z dniem każdym, chociaż z każdym dniem prawie ludniej tutaj na Księżycu.

Tom doczekał się z dwóch swoich żon liczego potomstwa, sześciu synów i siedmiu córek, z których wszakże najmłodsza umarła w kilkanaście dni księżycowych po urodzeniu. Jeszcze za życia rodziców Jan, najstarszy syn Róży, mając lat mniej więcej piętnaście, ożenił się z córką Liii; później w miarę dorastania pobrali się wszyscy parami. Dziś, po śmierci Toma, Róży i Lili, żyje tu na Księżycu oprócz mnie i Ady, dwanaścioro dzieci Toma, dwadzieścia i sześcioro jego wnucząt i dwoje prawnucząt, po najstarszym synu Jana, od dwóch lat już żonatym. Razem czterdzieści dwoje ludzi, którzy zaludniają ten glob, osiedlając się coraz dalej ku zachodowi, wzdłuż wybrzeża morskiego. Razem z nimi posuwa się „cywilizacja”. Wznoszą się domki, kuźnie, zagrody dla psów...

Ja pozostałem w dawnym domku na Ciepłych Stawach i tutaj snadź do śmierci już pozostanę, która oby przyszła jak najprędzej. I tak jestem już wyjątkiem na tym dziwnym świecie, gdzie ludzie, z Ziemi przeszczepieni, tak wcześnie dojrzewają i umierają tak wcześnie...

[Rozdział] IV

Zdaje mi się, że byłbym szczęśliwy, gdybym bodaj mógł dać znak jakiś ludziom na Ziemi, że tu żyję i myślę o nich. To jest tak niewiele, a tak bym pragnął móc to uczynić!

Przecież to jest straszne, gdy pomyślę, że tyle setek tysięcy kilometrów, taka przestrzeń międzyplanetarna, nigdy nie przebyta, dzieli mnie od tej bryły z kamienia i gliny, na której się urodziłem!

O ileż szczęśliwsze są ode mnie te karzelki, myślące tylko o tym, aby połów na morzu był obfity, aby sałata pięknie wyrosła i aby zdziwczale psy nie poszarpały jajonośnych jaszczurów w zagrodach...

*

Spędziłem dzisiaj kilka godzin na *Wyspie Cmentarnej*. Dawniej, przed laty, lubiłem tam przesiadywać i myśleć o przeszłości zastygłego dziś księżycowego globu; teraz bywam tam znowu często, ale siedząc na grobami pokrytym, zielonym pagórku nad morzem, myślę tylko o Marcie, Piotrze, o Tomie i o sobie, który może nareszcie, nareszcie! spoczną wkrótce obok nich. Dzisiaj, gdym tam tak siedział i patrzył na cichą płaszczyznę morza, zebrał mnie nagle taki bezbrzeżny żal, taki nieutulony smutek, że zacząłem płakać jak dziecko i ręce wyciągać do grobów, i prosić je, aby się otwały, przemówiły do mnie albo wzięły mnie do swego towarzystwa.

Czuję, że dłużej żyć mi niepodobna. I co mnie właściwie trzyma na tym świecie? Boleść, żal, tęsknota, najgorsze osamotnienie – wszystko to już przeżyłem – od dawna nie jestem już nikomu potrzebny: czas odejść.

Tak jest, czas odejść. Chcę tylko raz jeszcze zobaczyć Ziemię, popatrzeć na tę jasną kulę, zawieszoną w błękicie, na tarcze lądów krążące po niej z wolna i przesuujące się nad nimi białe plamy chmur – chcę jeszcze raz wyteńczyć oko: może rozeznam ten kraj, w którym się urodziłem – a potem...

Gdym wiosłował z powrotem ku wybrzeżu, zamiar mój dojrzał. Pójdę w Kraj Biegunowy, aby przynajmniej patrzeć na Ziemię.

Z tym postanowieniem zbliżałem się ku domowi, układając sobie w myśli całą wyprawę i zastanawiając się nad przygotowaniami do niej, jakie wypadnie porobić.

Na progu letniego domku spotkałem Adę. Przyszła o zwykłej godzinie, a nie zastawszy mnie, czekała cierpliwie mego powrotu.

Serce miałem tak pełne nadziei ujrzenia znowu Ziemi, chociażby z daleka, że nie mogłem się powstrzymać, aby się nie podzielić z Adą swym zamiarem.

– Słuchaj! – zawołałem, gdy się ze mną witała – wkrótce już od was odejdę!

Popatrzyła na mnie z tą tajemniczą, maniacką powagą, którą zawsze wobec mnie zachowuje, i odrzekła po chwili:

– Wiem, że kiedy zechcesz, to odejdiesz, Stary Człowieku... ale...

Nigdy może nie sprawił mi takiej przykrości, jak wówczas, ten dziwny sposób obchodzenia się ze mną tutejszych ludzi, do którego ostatecznie powinienem się już był przyzwyczać. W pierwszej chwili ścisnęło mi się serce uczuciem niewypowiedzianego osamotnienia i bolesnej goryczy, a potem nagła złość mnie zebrała.

– Dość tych błazeństw! – krzyknąłem uderzając nogą o próg domu – odejdę, kiedy mi się będzie podobało i dokąd zechcę, ale nic w tym nie ma tajemniczego ani nadzwyczajnego! Idź do Jana i powiedz mu, że chcę mieć na jutro rano psy do wózka; wybieram się w Kraj Biegunowy.

Ada nie odrzekła ani słowa i odeszła, aby spełnić mój rozkaz.

W dwie godziny może zauważyłem niezwykley ruch przed domem. Jan i jego bracia, i dzieci ich, słowem, wszyscy, nie wyłączając kobiet, zgromadzili się i stali z odkrytymi głowami, poglądając w milczeniu i trwożliwie na drzwi. Z grupy wysunęła się Ada i stanęła na progu. Była w uroczystym stroju: miała jakieś wieńce na głowie, sznury ogromnych, krwawoczerwonych bursztynów i niebieskawych pereł zwisały jej z szyi aż do pasa. W ręku trzymała laskę, zrobioną z pacierzowych kręgów psa, wygładzonych i nanizanych sztywno na długi drut miedziany.

– Stary Człowieku! chcemy mówić do ciebie!

Ogarnęła mnie złość niewypowiedziana. W pierwszej chwili chciałem pochwycić zawieszony na ścianie rzemienny harap i rozegnać tę hołotę, co z taką pompą przyszła tu do mnie – ale później żal mi się ich zrobiło. Co oni winni...

Przemogłem się tedy i wyszedłem przed dom, postanawiając w duchu przemówić raz jeszcze do ich rozsądku.

Zmieszany gwar potakiwania, który powstał po wezwaniu Ady, ucichł natychmiast, gdy tylko stanął na progu. W ciszy słychać tylko było płacz najmłodszego wnuka Janowego i rozpaczliwy, stłumiony szept matki:

– Cicho, cicho, bo Stary Człowiek się rozgniewa... Ogarnęło mnie uczucie bezbrzeżnej litości.

– Czego chcecie ode mnie – rzekłem odsuwając na bok Adę.

Teraz Jan wystąpił naprzód. Patrzył mi przez chwilę w oczy, wzrokiem nieporadnego i zalęknionego karzełka, a wreszcie, oglądnięwszy się poza siebie, jakby w widoku towarzyszy pragnął zaczerpnąć odwagi, przemówił:

– Chcemy cię prosić, Stary Człowieku, żebyś od nas nie odchodził jeszcze.

– Tak, tak! nie odchodź jeszcze! – powtórzyło za nim trzydzieści kilka głosów.

Była w nich taka obawa i taka prośba, że uczułem znowu budzące się we mnie wzruszenie.

– I co wam na tym zależy? – odezwałem się, stawiając pytanie raczej własnym myślom niż im.

Jan pomyślał przez chwilę, a potem zaczął z wolna, wiążąc z widocznym trudem w zdania myśli swe rozpierzchłe i niejasne uczucia:

– Bylibyśmy sami... Przyszłaby długa noc i mróz, oh! zły mróz, który kąsa jak pies, a my bylibyśmy sami... Potem słońce by wzeszło, a ciebie by nie było. Stary Człowieku... Ada – tu obejrzał się na stojącą obok „kapłankę” – Ada mówiła nam, że ty się znasz ze słońcem i jeszcze z inną gwiazdą, większą od słońca, tajemniczą i czerniejącą czasem, a czasem jasną, którą ona widziała będąc z tobą tam, na północy... Mówiła, że ty stamtąd przyszedłeś i mówisz do tej gwiazdy, gdy ją zobaczysz, w świętym języku, tym, którym my musimy rozmawiać z tobą... My się boimy, żebyś ty tam, na tę gwiazdę nie wrócił, bo – zostalibyśmy sami... Więc cię prosimy...

– Tak, tak! prosimy cię! zostań z nami! – wołały karlice i karły kończąc zdanie Jana.

Przez jakiś czas stałem w milczeniu, nie wiedząc zgoła, co mam odpowiedzieć. Mężczyźni i kobiety zwarli się teraz ciasnym kręgiem dookoła mnie i wyciągali ręce, i prosili trwogą nabrzmiałym głosem:

– Zostań z nami! zostań!...

Czułem, że daremną rzeczą byłoby powtarzać im teraz to, co mówiłem tyle razy, iż ja jestem zwyczajnym człowiekiem, nie obdarzonym zgoła żadnymi tajemniczymi siłami i tak samo, jak oni wszyscy, śmierci podległym. Nie wiedziałem, co robić, w uszach brzmiał mi tylko nieustanny, do jakiejś przeciągłej litanii podobny głos: Zostań z nami!

Spojrzałem na Adę. Stała na uboczu w swym kapłańskim stroju, z ogromną powagą w całej postaci, ale zdawało mi się, że na jej ustach dostrzegam jakiś uśmiech – pół szyderczy, pół smętny...

– Po coś ich tu przywiodła? – zapytałem. Uśmiechnęła się znowu i podniosła na mnie dotąd spuszczone ku ziemi oczy:

– Wszak słyszysz, Stary Człowieku, czego chcą od ciebie.

Dokoła brzmiało bez ustanku:

– Zostań z nami!...

Tego było mi już za wiele.

– Nie! nie zostanę! – krzyknąłem twardo. – Nie zostanę, bo...

I znowu nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Jakże im wytłumaczyć, że idę zobaczyć Ziemię, gwiazdę ogromną i jasną, za którą tęsknię, nie utwierdzając ich tym samym w mniemaniu, że jestem nadprzyrodzoną istotą?...

Dokoła mnie zrobiło się teraz cicho. Spojrzałem na nich i – kto by dał temu wiarę! – zobaczyłem, że te karły płaczą na myśl, że ja ich opuszczę! Nie wołali już, nie prosili mnie, ale w ich załzawionych, we mnie utkwionych oczach przebijała się jakaś psia pokora i błaganie głośniejsze od krzyku.

Żal mi się ich zrobiło.

– Odejdę od was – rzekłem już łagodniej – ale nie teraz jeszcze...
Możecie spać spokojnie!

Usłyszałem coś jakby westchnienie ulgi z kilkudziesięciu piersi.

– A gdy kiedyś udam się w podróż – dodałem tknięty nagłą myślą – w podróż tam ku północy, gdzie świeci gwiazda najpiękniejsza, o której słyszeliście ode mnie i od Ady, wtedy wezmę i was ze sobą, abyście ją zobaczyli i mogli później opowiadać swym dzieciom i wnukom...

– Wielki jesteś. Stary Człowieku! wielki i łaskawy! – odpowiedziały mi liczne i radosne głosy. – Nie odchodź tylko od nas na tę gwiazdę, o której mówisz!

– Gdybym mógł odejść! – westchnąłem mimo woli – ale, niestety, jestem tylko człowiekiem, takim jak wy...

W grupie karłów powstał ruch i ożywienie. Poglądali po sobie i zdawało mi się, że na szerokich ustach dostrzegam coś podobnego do

chytrego uśmiechu porozumienia, który mówił: Wiemy już, wiemy! Ada nam mówiła, że Stary Człowiek z jakiejś niewytłumaczonej przyczyny nie chce, żebyśmy wiedzieli, iż on jest... Starym Człowiekiem.

Ogarniało mnie znowu zniechęcenie; odwróciłem się i wszedłem do izby. Przed domem powstał gwar – widziałem przez okno, jak wszyscy kupili się koło Ady, która coś rozprawiała żywo, zapewne o mnie i o mojej nadprzyrodzoności.

Obecnie jest już blisko zachodu słońca i księżycowy ludek rozszedł się już od dawna po domkach, poprzyklepianych do kamiennych brzegów ciepłych stawów, ciągnących się długim szeregiem ku południowemu zachodowi. Za kilkanaście godzin poukładają się do długiego snu i będą marzyć zapewne o przyobiecanej im przez Starego Człowieka podróży i o Ziemi, ogromnej, dziwnej i zmiennej gwiazdzie, którą znają tylko z opowiadania.

*

Za kilkanaście godzin będę ja jedyną czuwającą istotą na Księżycu.

Ale teraz ruch jeszcze wszędy panuje. Widzę przez okno, jak przed domem Jana krzątają się jego starsi synowie; nie opodal kobiety kończą w pośpiechu gromadzenie żywności przed mającą wkrótce zapaść nocą.

Nie wiem, czy dobrze robię, zatrzymując się jeszcze pośród tych ludzi... Zresztą, nie ma o czym myśleć: przyobiecałem im, że pozostanę jeszcze.

Ale, pociesz się, stare serce moje! – niedługo już pozostanę! Jeszcze kilka dni, kilkanaście najwyżej długich dni księżycowych, a wyruszę na północ, w Kraj Biegunowy, aby tam już życia dokonać patrząc na Ziemię.

Ci ludzie, wiem, pomni niej obietnicy, będą chcieli iść ze mną. Więc wezmę kilku z nich w tę drogę, niechaj zobaczą Ziemię i niech wracają potem do swych braci – beze mnie.

Zbyt wielka tęsknota mnie ciśnie. Żałuję nawet, że uległem i obiecałem pozostać tu jeszcze, a jeśli się czasem czego obawiam, to tylko, aby mi sił nie zabrakło i życia odejść stąd w tę krainę, gdzie będę miał Ziemię przed oczyma!

Ale nie! siły moje wystarczą jeszcze, wystarczą! Dziwię się czasem sam niespożytości swego organizmu. Toż to kilka lat brakuje mi już

tylko do setki, a zda się, że każdy dzień, miał wyczerpywać me siły i nadwątląć zdrowie, hartuje mnie tylko coraz więcej...

I znowu myślę mimo woli o owym śmiesznym a przestraszającym podaniu, rozpowszechnionym wśród tutejszego ludu, że ja nigdy nie umrę...

Przestraszająca, okropna myśl! bo niestety, tylko fizyczna natura człowieka może się przyzwyczaić do tego, co jest z nią sprzeczne, dusza przenigdy! Ból mój i tęsknota moja nie tylko że nie zmniejszają się z latami, ale owszem, rosną wciąż bez ustanku, nadmiernie...

Odpędzam tę myśl od siebie, a z lubością natomiast i ukojeniem myślę o tym, że za kilkanaście dni księżycowych zobaczę Ziemię. Serce mi drży w piersi tak dziwnie i gorąco, jak gdybym był dwudziestoletnim młodzieniaszkiem i miał iść na schadzkę z jakąś wymarzoną, a nade wszystko drogą Beatrycą, z którą dotąd w snach tylko poważałem się rozmawiać...

Ale – wiem – kochanka moja będzie zimna, niema i daleka i ja tylko będę ku niej wyciągał rozpaczliwe, stęsknione ręce, i ja tylko będę jej wołał przez te nieprzebyte otchłanie niebieskie, ona – ani głos mój usłyszy, ani jedną mi myśl, jedno wspomnienie poświęci.

To jest rzecz dziwna i straszna zarazem – mieć przedmiot swej tęsknoty na niebie... Zdaje mi się, że do tej dalekiej, niewidocznej stąd gwiazdy mej rodzinnej przywiązany jestem długą nicią, zadzierzgniętą o serce, która może się rozciągać w nieskończoność, ale nie pęknie nigdy. I tak zawieszony u niedostępnego mi już świata, czuję, że ten grunt pod moimi nogami jest mi obcy i obcy zawsze będzie...

Straszna jest miłość gwiazd. Bo Ziemia jest dla mnie w tej chwili już tylko gwiazdą, którą kocham nade wszystko. Jeśli są duchy, które ze wspanialszych i światlejszych światów, ze słońc może płomiennych spadają na ciemne planety, to cierpią zaiste, zachowawszy pamięć, naj-sroższe męczarnie, które i mnie znosić wypadło w udziale...

Ileż razy co dnia powtarzam sobie, że ów pogardzony i obżałowany przeze mnie księżycowy ludek karłów, co się nieomal w prochu czołga przede mną. Starym Człowiekiem, jest jednak stokroć ode mnie szczęśliwszy.

Teraz oto, skończywszy robotę, snują się te człowieczki dokoła swych domków i uśmiechają się do siebie z pogodą i zadowoleniem. Jan, który naturalnym prawem starszeństwa jest tu ich władcą, zawezwie ich przed wieczorem tak, jak to raz na zawsze przed laty nakazałem, celem wspólnego odczytania kilku ustępów z wyznaczonych prze-

ze mnie książek. Dawniej, jeszcze za życia Toma, gdy Jan był małym chłopcem, przewodniczyłem zazwyczaj sam tym wieczornym zgromadzeniom, objaśniałem im Biblię lub inne księgi do czytania przeznaczone i opowiadałem długie powieści o Ziemi i ludziach – ale teraz nie pokazuję się nawet na miejscu zgromadzeń tam, pod krzyżem, którego znaczenie oni zaledwie rozumieją. Po co mam do nich mówić, kiedy każde me słowo po swojemu na opak tłumaczą, do każdej prawdy dorabiają zaraz fantastyczne a naiwne legendy?

Chociaż – powtarzam to znowu – co oni winni! Co winni, że wszystko, co słyszą, odnoszą do siebie, niezdolni wznieść się myślą ponad ten szmat ładu, który zamieszkują? Co winni, że słuchając ksiąg genezyjskich, myślą o swym dziadu Piotrze, którego grób na Wyspie Cmentarnej znają, i zwracają oczy na mnie z wyrazem bałwochwalczego lęku? To, że ludzie mogą zamieszkiwać inny świat, jakąś gwiazdę, podobną do tych, co błyszczą w nocy nad nimi, uważają za rzecz, w którą wierzyć wprawdzie trzeba, gdyż ja tak powiedziałem, ale której niepodobna sobie wyobrazić.

Zrobiłem wszystko, co tylko leżało w mej mocy, aby rozbudzić duszę u tych ludzi, a opuściłem ręce dopiero wtedy, gdy przekonałem się o bezwarunkowej próżności swych zabiegów – nie powinien bym sobie zatem robić wyrzutów, a mimo to czuję na sobie ciężącą straszną odpowiedzialność za ten upadek plemienia ludzkiego, które mnie było zdane.

I znowu ironia życia: oni się uważają za szczęśliwych, a ja rozpaczam nad nimi i bezradną troską o nich powiększam swój ból i swą tęsknotę...

[Rozdział] V

Znowu lata na Ziemi upłynęły od czasu, jak po raz ostatni do kart tych zaglądałem. Dziś otwieram pamiętnik, aby zapisać datę opuszczenia tej krainy nad morzem. Odchodzę wreszcie do Kraju Biegunowego – na zawsze już, jak się zdaje.

Od EXODU naszego dni księżycowych sześćset dziewięćdziesiąt i jeden.

*

Wszystko jest już gotowe; stary wóz nasz, zmniejszony do połowy i naprawiony, zaopatrzyłem w żywność i paliwo, które będą mi mogły wystarczyć na długi czas pobytu w Kraju Biegunowym, na dłużej może, niż będę potrzebował... Bo stary przecież jestem...

Miałem dziś z rana wyruszyć, ale tymczasem zaszła okoliczność, która o jeden dzień księżycowy przynajmniej opóźni mój wyjazd.

Rzecz tak się miała: Od czasu wyprawy Toma na południe, ku równikowi, której omal że życiem nie przyplącił, zakazałem surowo takich przedsięwzięć, będąc z góry pewnym, że nie wiodą do celu, a narażają niepotrzebnie podróżników. Dotąd słuchano święcie mego rozkazu, a ja pewien byłem, że i zawsze tak będzie, zwłaszcza wobec małej przedsiębiorczości tutejszego pokolenia, zwróconego całą istotą tylko ku praktycznym i codziennym sprawom życia.

A jednak omyliłem się. Snadź i tutaj przedostała się z Ziemi i tli w piersiach tych karzełek utajona odrobina tego ognia, co tam pchnął ludzi do stworzenia postępu i odkrycia nowych lądów wśród oceanu. Od jakiegoś czasu już zauważyłem, że niektórzy z mężczyzn poglądają tęskliwym okiem ku południu, za dalekie morze. Pytali mi się kiedyś, co tam jest za tym morzem. Odpowiedziałem im, że nie wiem, ale oni, jak mogłem z wyrazu twarzy sądzić, nie uwierzyli temu. Podejrzewali raczej, że nie chcę im powiedzieć...

Ostatnią noc spędziłem z Janem przy pobliskich źródłach naftowych, zajmując się przygotowaniem zapasów na podróż do Kraju Biegunowego. Gdy rankiem powróciłem nad morze, aby pożegnać się z księżycowym ludkiem i pobłogosławić go, nim odejdę dokonać życia z dala od tych okolic, dowiedziałem się, że korzystając z mej nieobecności, trzech mężczyźni, najsilniejsi i najodważniejsi z całego zaludnienia, puścili się, jak nam ich żony opowiadają, na południe. Zbudowali sarnie, umieścili w nich drugi motor elektryczny i wzięwszy ze sobą oprócz zapasu żywności dwa psy i futra, wyprawili się nocą po zamrzniętym morzu, aby dotrzeć przed rankiem do przeciwległego brzegu na południowej półkuli.

Szalone przedsięwzięcie! Pewien jestem, że nie powrócą nigdy, ale tymczasem ulec muszę prośbom Jana i Ady i czekać jeszcze dzień jeden, aby ich pobłogosławić, jeśli wrócili... nim odejdę.

Pytałem się żony Kaspra, najstarszego z trzech awanturników, po co oni poszli na południe? Odpowiedziała, że chcieli zobaczyć, co tam jest. Nadto żadnych objaśnień dać mi nie mogła.

Szkoda tych ludzi, bo zginą niewątpliwie, a są dzielni, jak dali tego dowód.

*

Nadszedł już tedy dzień odjazdu! – Słońce wzeszło od paru godzin i lody już tają; wkrótce siądę do wozu i ruszę ku północy.

Bez żalu żegnam ten kraj, choć wiem, że odjeżdżam, aby nie wrócić tutaj już nigdy.

Tylko... oglądam się jeszcze za grobem Marty na dalekiej Wyspie i tak mi dziwnie na sercu...

Wczoraj przed wieczorem kilka godzin spędziłem na tym grobie. Ciężko mi się z nim było rozstawać: to jedyna rzecz, którą kocham na tym świecie. Wziąłem z niego grudkę ziemi – przycisnę ją do ust, gdy będę umierał w dalekim kraju.

Czas mi już w drogę... Księżycowy lud zbiera się, aby mnie pożegnać. Nie szemrają, nie opierają się – wiedzą, że tak być musi. Ada, Jan i dwaj jego bracia mają mi jeszcze towarzyszyć do Kraju Biegunowego. Nie mogłem im tego odmówić...

Tamci trzej nie powrócili jeszcze i zapewne nigdy już nie wrócą. Lecz nie będę już dłużej czekał. Zresztą wszyscy tak są przygnębieni moim odjazdem, że o nich już nawet nie myślą. Jan tylko wspomniał dziś o wschodzie słońca ich imiona i dodał:

– Spotkało ich nieszczęście, bo wyruszyli nie pytając Starego Człowieka o radę.

Odpowiedział mu nagły wybuch płaczu pośród kilku zgromadzonych dokoła niego.

– Odtąd nie będzie już kogo pytać! – mówili wśród łkań, cisnąc się ku mnie...

Zdaje się, że ci ludzie mnie kochają. Dziwne odkrycie –w tej ostatniej chwili...

Wszystko jedno! czas mi w drogę!

*

W drodze, na Równinie Jezior.

Z ulgą oddycham w tej chwili, gdy pomyślę, że poza mną leży już moje księżycowe życie, a przede mną jeszcze krótki pobyt w Kraju Biegunowym, pierwszej ongi przystani naszej na Księżycu, a potem –

śmierć w obliczu Ziemi, ukochanej, na niebiosach rozświetlonej ojczyzny mojej.

Powoli wszystko snem mi się już staje – życie moje przeszłe i ci ludzie, pozostawieni tam nad morzem – wszystko to ginie mi w srebrnej jakiejś mgie sennej, przez którą prześwieca tylko w duchu moim płomienny krąg Ziemi.

Niecierpliwy już jestem i tak bym ją rad jak najprędzej zobaczyć, że tęsknoty ukoić nie mogę. Noc jest, a sen się mych powiek nie ima. Próbuję skrócić pisaniem długie godziny.

Oto zatrzymaliśmy się na noc tu, gdzie Piotr znalazł byt niegdyś pierwsze źródła naftowe. Ile to lat już upłynęło od tego czasu! I znowu wracam myślą mimo woli do tego życia minionego, które leży już poza mną. Stają mi przed oczyma pomarli towarzysze moi i Marta, i dzieci jej pierwsze, które także już nie żyją...

Ach! Precz te wspomnienia, rozstrajające mnie tylko teraz, gdy sił mi potrzeba, aby dotrzeć do kraju, gdzie zobaczę Ziemię!

Z tęsknotą rwałem się do tej podróży, a przecież przyznać muszę, że ciężkie mi były ostatnie chwile pożegnania. Takie to dziwne jest serce ludzkie i taka moc przyzwyczajenia. Snadź i do krat więziennych przyzwyczać się można.

Ostatniego rana, za ledwo skończyłem pisać poprzednią notatkę, spostrzegłem gromadzącą się przed moim domem całą ludność tego świata. Stawali w milczeniu, posepni i smutni, i czekali. Przeliczyłem ich z okna: byli wszyscy z Wyjątkiem owych trzech. Wóz stał w pogotowiu...

Wtedy obejrzałem się jeszcze raz na te kąty, w których z górą pięćdziesiąt lat przeżyłem, a nie chcąc, aby czczono może kiedyś bałwochwalczo ten dom, jako miejsce pobytu Starego Człowieka, podpaliłem go własnoręcznie wraz ze wszystkim, co w nim jeszcze pozostało, a czegom niegdyś używał, i wyszedłem do zgromadzonego ludu... Jasny płomień buchnął za mną przez drzwi i okna. To był mój stos pogrzebowy. Przytłumiony krótki okrzyk wyrwał się z ust zgromadzonych, gdym stanął przed nimi. Poglądali na płonący dom i na mnie, ale nikt się nie ruszył, aby gasić ogień: czuli, że ja chciałem tak... Milczeli wszyscy.

– Jestem dzisiaj po raz ostatni wśród was – zacząłem, aby coś powiedzieć, gdyż w tej ciszy, przerywanej tylko trzaskiem płomienia, ogarnęło mnie przygnębienie i smutek.

– Odchodzę od was – mówiłem dalej – do kraju, kędy już dawno odejść zamierzałem. Wątpię, abym kiedy powrócił tu jeszcze, ale wy, gdy zechcecie, będziecie mnie mogli tam odwiedzać, póki nie umrę...

Karły patrzyły ciągle w milczeniu na płonące belki dachu i na mnie: niektórzy, widziałem, mieli duże łzy w oczach.

Odetchnąłem głęboko, bo ciężar jakiś przywalał mi piersi.

– Wzrosliście wszyscy w moich oczach – zacząłem znowu, z trudem szukając słów – byliście ze mną do tej chwili, a odtąd macie się rządzić sami. Pamiętajcie, że jesteście ludźmi, pamiętajcie!

Głos mi się złamał w piersi.

– Dawałem wam nieraz nauki, nie zapominajcie o nich! Zostawiam wam księgę, świętą księgę przywieziona z Ziemi, gdzie jest mowa o stworzeniu świata, odkupieniu i przeznaczeniu człowieka, czytajcie ją często i żyjcie jak należy.

Urwałem znowu, czując, że mówię rzeczy banalne i bezużyteczne.

Wtedy jedna młoda kobieta wystąpiła spośród zgromadzonych i odezwała się:

– Stary Człowieku, nim odejdiesz, powiedz, czy dobrze jest, aby mąż bił żonę?

Te słowa były jak gdyby hasłem. W jednej chwili otoczył mnie rój kobiet i mężczyzn i poczęli pytać głosami żałośliwymi:

– Stary Człowieku, powiedz, czy dobrze jest, aby brat zaprzęgał młodszego do pracy dlatego, że jest słabszy?

– Powiedz, czy dzieci mają prawo wyganiać rodziców z chaty, którą oni sami niegdyś zbudowali?

– Powiedz, czy słuszne jest, aby jeden z ludzi mówił: To są moje pola – i nie pozwalał innym zbierać z nich plonu?

– Czy słusznie, aby jeden drugiemu odbierał żonę?

– Aby psuł narzędzia?

– Aby się mścił za wyrządzoną krzywdę?

– Aby okłamywał dla własnej korzyści?

– Powiedz, czy to jest słusznie!

– Powiedz, nim odejdiesz, bo i ty, i księgi uczyliście, aby tego nie czynić, a tymczasem to się dzieje wśród nas codziennie!

Straszliwy ból ścisnął mnie za serce. Opuszczając ten ludek, widziałem już jasno, jakimi torami pójdzie dalszy jego rozwój. Dużo z ducha ludzkiego zginęło w drodze na Księżyc, ale zło człowiecze przyszło tu z nami ze Ziemi!

– To jest źle! – odrzekłem wreszcie. – Jeśli pod moim okiem takie rzeczy się dzieją, cóż będzie dopiero, gdy odejdę?

– Więc czemu odchodzisz? – odpowiedziano mi.

Było to pytanie takie proste, a tak straszne zarazem. Czemu ja odchodzę?

Zwiesiłem głowę jak winowajca, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

W głuszy słycać tylko było trzask płonącego domu i stłumiony, daleki poryk wulkanu.

Lud się już nie odzywał. Zrozumiał snadź to, co i ja czułem w owej chwili, że odjazd mój jest bezwzględna koniecznością losu, której się daremnie opierać.

– Może powrócę do was jeszcze kiedy. Żyjcie tymczasem w zgodzie i po ludzku – bąknąłem wiedząc, że kłamię im i sobie.

– Nie wrócisz! – odezwała się milcząca dotąd Ada. A potem, zwracając się twarzą do obecnych, dodała podniesionym głosem:

– Stary Człowiek was opuszcza!

Było coś strasznego w tym krzyku, który dreszczem przejął wszystkich zgromadzonych.

– Tak być musi! – rzekłem głucho.

W godzinę później znajdowałem się już we wozie, dążąc wraz z Adą i trzema jej bratankami ku północy...

*

Czwarty dzień księżycowy jesteśmy już w drodze. Słońce, wszedłszy dziś z rana, nie poszło już słupem w górę, ale zatoczywszy się na nieboskłonie, czołga się niemal po nim, rumiane, wzniesione zaledwie parę stopni nad siną linię gór na południowym wschodzie. Znak to, że się zbliżamy do celu podróży. Na północy rośnie przede mną górskie pasmo; rozróżniam już gołym okiem najwyższe, wieczyście słońcem oświetlone szczyty i wąwóz wśród nich, stanowiący bramę biegunowej kotliny.

Tak mi serce bije...

Dzień dzisiejszy nie będzie miał końca, bo w chwili kiedy słońce zająć by powinno na tej półkuli, staniemy już na biegunie, w kraju wiecznego świtu, gdzie o każdej godzinie jest równocześnie wschód, zachód, południe i północ dla różnych południków, których węzeł ma się tam pod stopami.

I wtedy – zobaczę Ziemię!

*

W Kraju Biegunowym.

Po czterech księżycowych dobach podróży, właśnie w godzinie, kiedy słońce w okolicach Ciepłych Stawów miało zachodzić, nadeszła wielka chwila: przedarliśmy się przez wąwóz w paśmie gór, stanowiącym graniczny mur biegunowej kotliny.

Z tak ogromnym wzruszeniem wstępowałem w ten kraj, mając oczy utkwione w stronę nieba, gdzie mi się niebawem miała ukazać Ziemia – a gdy ją nagle w szczelinie skał zobaczyłem, tak byłem do głębi przejęty tym widokiem, że nie zważałem zrazu na to, co czynią moi towarzysze. Dopiero po chwili, podniósłszy się z kolan (bo na kolanach ją witałem, tę ojczyznę moją daleką, i z rękami wyciągniętymi tak, jak je dziecko wyciąga ku matce), spojrzałem na moją drużynę. Jan, syn jego najstarszy, i dwaj jego bracia, którzy tu przyszli ze mną, stali dookoła mnie z odkrytymi głowami, skamieniali, z świętą grozą na twarzach, poglądając osłupiałym wzrokiem na półkrog Ziemi. Ada stała na przedzie i miała ręce wyciągnięte ku Gwieździe Pustyni.

Sporo czasu upłynęło, nim wreszcie zwróciła się do swoich zadumanych towarzyszy:

– Stamtąd o n przybył – rzekła przytłumionym głosem, jakby nie chcąc, abym ja słyszał – i tam powróci, gdy czas nadejdzie. Upadnijcie na twarz.

I oni na twarz upadli przed widokiem Ziemi, po której deptali ich ojcowie...

Powstawszy, nie śmieli się zbliżyć do mnie, a gdy ja, wreszcie ochłonawszy, zawołałem ich i począłem im jeszcze wzruszeniem przerywanym głosem tłumaczyć zjawisko, które mieli przed sobą, stali dookoła moich kolan zalęknieni, grozą przejęci jakby niepewni, czyli w najbliższej chwili nie uniosę się nad ich głowy i nie poszybuję błędym powietrzem, hen, ku tej świetlistej gwieździe!

Ach! gdybym to mógł uczynić!... I wtedy, gdy do nich mówiłem – nie rozumiany – zajęła mnie nagle ta myśl tak, że bezwiednie prawie zamilkłem, zapatrzony na Ziemię, czując tylko, że tym ludziom dookoła siebie nie mam nic zgoła do powiedzenia.

I oni milczeli dość długo, aż wreszcie, skupiwszy się nieco poza mną, zaczęli trącać się łokciami i szeptać:

– Patrz, patrz, o n przybył stamtąd! – mówił jeden do drugiego, wskazując snadź na Ziemię.

– Wtedy, gdy tu jeszcze nikogo nie było...

– Tak... On tu przywiódł driada Piotra i jego żonę, Martę...

– A jednego, który był ojcem naszego praojca, pozostawił na pustyni martwym. Tak Ada uczy.

– Tego w Piśmie nie ma. Tam jest tylko mowa o Adamie, to niby Piotr, i o...

– Cicho, Pismo jest inne. Pismo także o n przyniósł stamtąd...

– Tak, wszystko o n zrobił, dla pierwszych ludzi zrobił tu morze i słońce, i stawy...

Odwrociłem się szybko, usłyszawszy te ostatnie słowa, i półgłosem prowadzona rozmowa ucichła natychmiast.

Chciałem ich strofować, ale w tejże chwili przyszło mi na myśl, że to jest próżny wysiłek. Powiedziałem im więc tylko, aby rozbili namiot, bo tutaj dłuższy czas pozostaniemy.

I płyną od tej chwili godziny, znaczone niewidzialnym słońcem na zaróżowionych szczytach gór – płyną, dla nich, zda się, powoli, dla mnie aż nazbyt prędko!

Tak mi jest drogi ten *Kraj Biegunowy*, że strachem i boleścią przejmuję mnie myśl o samej możliwości powrotu tam, nad brzeg morza, do *Ciepłych Stawów*... Przebywając tutaj, mam to wrażenie, że się znajduję już w ostatnim przedsiönku, niemal na samym progu księżycowego świata, że stamtąd już tylko krok jeden przez międzygwiazdną przestrzeń do Ziemi – i dalibóg, więcej mnie nęci ku sobie ta bezbrzeżna martwa pustynia, co się poczyną za tymi tam górami przede mną, niż ów kraj żyzny, gdzie mieszkałem tak długo.

Nawet grób Marty na *Wyspie Cmentarnej* nie pociąga mnie teraz. Wszak tutaj więcej mam z niej dokoła siebie niż tam... Tutaj ona do mnie należała, choć nie mówiliśmy o tym nigdy ze sobą; tu stała ona nad moim łóżem, gdym chorował, tutaj chodziła ze mną po zielonych, puszystych łąkach albo wdzierała się na różowe szczyty gór – a tam... była żoną innego, tam patrzyłem jeno na ból jej i poniżenie, sam poniżony i zbolący.

Dobrze mi jest tutaj, w *Kraju Biegunowym*, tak dobrze, jak tylko może być człowiekowi, który stracił wszystko, nawet ziemię spod nóg, i zawieszony na srebrzystej, martwej gałce wśród błękitów, żyje tylko przeszłością i oddalą, i myślą o tym, co jest niepowrotne...

Cicho, cicho, stare, niepoprawne, nieutulone serce moje! Oto masz świetlisty krąg Ziemi przed sobą, oto masz te same łąki, po którychśmy razem z nią, tą cudzą i martwą, błądzili – a zapewne i grób już niedaleko – czegoż ci nadto potrzeba, stare serce moje?

*

O bracia moi! tam, na tej jasnej kuli, która się świeci w tej chwili przed moimi oczyma!

O bracia moi dalecy! o bracia moi nieznani, a nade wszystko drodzy!

O Ziemi, gwiazdo przejasna! radości mych oczu! światło płonące nad pustyniami!

Ziemi! raj uroczysty! klejnocie najprawdziwszy, szmaragdzie jasny, w lazur mórzu oprawny, o kwiatów snopie! kadzielnicu przewonna! harfo ptaszęciami rozśpiewana głosy!

O Ziemi! Ziemi! ojczyzno moja! matko moja stracona!

Łkanie mi się wydziera ze starej, stęsknionej piersi, a łez już nie mam, abym cię oplakiwał, gwiazdo świecąca nad pustyniami! świecie nad inne godzien miłości!

Oto wyciągam ręce do ciebie – najdalszy, najniezwyklejszy z tych synów, a jedyny, któremu ty się raczysz zjawiać teraz w tej złotej postaci – gwiazda wśród gwiazd na niebie!

Oto się modłę do ciebie, ja opuszczony i samotny, ja, któregoś ty dzieckiem znała, a który się teraz zestarzałem nie na twoim matczynym łonie:

Ziemi!

daruj, iżem odszedł od ciebie, szaleństwem żądy poznania obłąkany, którąś ty sama we mnie wychowała, uwiedziony srebrną twarzą tego globu martwego, któryś ty przed wiekami wyrzuciła ze siebie, aby nocom twym świecił i kołysał twoje morza!

Proszę cię, syn twój marnotrawny, któremuś ty wszystko dobro dała, postać wyniosłą i myślącego ducha, kwiaty, aby oczy swe radował, i ptaki, aby się pieśnią poił, i braci, aby miał z kim ból i radość dzielić; syn marnotrawny i srodze ukarany, a nie mogący już wrócić, aby najlichszym być z dzieci na twym szerokim łonie:

Ziemi!

nie zapominaj o mnie! świeć oczom moim, nim je bielmo gorąco pożądanej śmierci przysłoni!

Piję, wchłaniam światło twoje całą swą istotą! Upajam się światłem twoim do obłędu, do szału!

Światło twoje – od mórz lazurowych odbite, od śnieżnych szczytów i łąnów zielonych, od drobnych, łyskliwych listków drzew, od kwiatnych kielichów, od rosy, która tam błyszczy na łąkach, od strzech wieśniaczych i od strzelistych wież kościołów, od twarzy ludzkich, które w zamyśleniu poglądają ku niebu – setki tysięcy mil przebiegło dążąc tu do mnie przez pustkę odwieczną i jest mi teraz wszystkim: i lazurem mórz twoich, i łąnów zielenią, błyskotliwością rosy i barwnością kwiatów, i odblaskiem ducha ludzkiego, zwierciedlącego się w ku niebu zwróconych oczach!

O Ziemi! Ziemi moja!

O! kiedyż duch mój, z ciała wyzwolony, będzie mógł pójść po tych świetlnych strunach, między tobą a tym strasznym światem nawiązanych, a łona twego dopadłszy, wiatrem cichym całować to wszystko, co tak ukochał i za czym tęskni tak bezmiernie!

O Ziemi!

[Rozdział] VI

Dziwne mam przeczucie, że wkrótce już umrę. Ta myśl krąży koło mnie, pełne jej jest powietrze, pełne jej są krwawe promienie słońca – niebo wydaje mi się podobnym do cichego, miękkiego całunu, a Ziemia świeci na nim jak srebrna lampa w grobie. Nigdy jeszcze nie czułem tak żywo, jak teraz, że umrę wkrótce...

Bez bólu, bez żalu i niepokoju myślę o tym, ale – co dziwniejsza – i bez radości, którą by powinno wzbudzić w mej piersi nadchodzące ostateczne wyzwolenie.

Zdaje mi się, że coś mi jeszcze pozostaje do zrobienia – coś niezmiernie prostego, a ogromnie ważnego, na co jednak wpaść nie mogę. I to mnie gnębi, to sprawia, że nie cieszę się śmiercią wybawicielką, która – wiem – blisko już krąży koło mnie.

We śnie słyszę wyraźnie, jak mnie wołają tam, ze Ziemi. A ja – także we śnie – odpowiadam im za każdym razem: pragnę iść do was, ale nie wiem drogi...

Czyż nie przez pustynię bezpowietrzną wiedzie droga na Ziemię?

*

Byłem niedawno na górze, skąd niegdyś patrzyliśmy z Piotrem na zaćmienie słońca, a potem na jezioro, zalewające nagle całą kotlinę biegunową.

Wziąłem był Adę ze sobą na tę wycieczkę. Prosiła mnie o to sama. Widząc, że wychodzę często na okoliczne góry, aby popatrzeć na Ziemię lub pustynię, widną już stąd na kraju niebokregu, nalegała, abym ją zabrał kiedy, bo i ona chce widzieć, na co ja patrzę i za czym tęsknię.

Idąc dziś ze mną, przybrała się w najświetniejsze kapłańskie szaty, a Janowi powiedziała, że idzie patrzeć na ojczyznę Starego Człowieka. W drodze śmieszyła mnie jej powaga; zdawało się, patrząc na nią, że wstępuje na tę górę dla spełnienia jakiejś wielkiej i świętej ofiary. Jestem pewien, że tak też myśleli ludzie, których zostawiłem w namiocie w dolinie. Poglądali za nią z czcią i jakby lękiem.

Wstępowaliśmy w milczeniu na górę. Śmiech, który mnie zbierał w dolinie, gdy patrzył na kapłańskie szaty Ady, odleciał teraz gdzieś daleko ode mnie – zapomniałem nawet, że ta kobieta postępuje za mną. Patrzyłem na Ziemię, wznoszącą się z wolna nad horyzont, w miarę jak postępowałem wyżej, i na słońce, które tutaj już widoczne, stało jak kula czerwona po przeciwległej stronie widnokregu. Pod nogami miałem kobierzec z rośliny jakiejś do wrzosu podobnej a zaróżowionej słońcem – nad głową blade, zastygłe niebo...

Dziwne przejmowało mnie wrażenie! Zdawało mi się, że wstępując na tę górę, oddalam się już na zawsze od księżycowych ludzi i od tego całego obmierzłego mi świata; zdawało mi się, że istotnie jestem jakimś tajemniczym Starym Człowiekiem, który spełnił już swe ciężkie dzieło i powraca teraz do ojczyzny, tam, między gwiazdy... A słońce pali się za mną czerwone i żegna mię na tym świecie, który trudem mi był tylko i boleścią, a Ziemia wznosi się przede mną ogromna, jasna, gotowa przyjąć mnie na swe światłe łono...

Jużem stał na szczycie góry, w otchłani nad wyraz czystego powietrza, gdy spojrzawszy na tarczę Ziemi – dostrzegłem przesuwany się po niej jasny klin Europy. Widoczna była dokładnie, choć chmury jakiejś, przesuwane się nad Francją i Anglią, zatarły z tej strony jej kontury... Ale szerokie polskie równiny na wschodzie błyszcząły jak srebrne, wygładzone zwierciadło, oparte z jednej strony o ciemny pas Morza Bałtyckiego, z drugiej o łańcuch karpacki, lśniący teraz szczytami jak sznur drogocennych pereł. Takie mi było niespodziane a cza-

rowne to zjawisko mojej ojczyzny na niebieskim błękitcie, że stałem przez chwilę z zatrzymanym oddechem, cały w oko zamieniony, aż nagle, ryknąwszy płaczem jak dziecko, upadłem na twarz na szczycie księżycowej góry.

Gdym się po niej jakimś czasie podniósł, uspokoiwszy się nieco, spostrzegłem ze zdziwieniem, że Ada klęczy u moich nóg, a duże łzy spływają jej po twarzy.

– Co tobie? – spytałem prawie mimo woli... Ona, zamiast odpowiedzieć, objęła mnie tylko rękoma za kolana i wybuchnęła głośnym płaczem. Po chwili dopiero wśród łkań zdołałem rozeznąć urywane słowa:

– Ty jesteś nieszczęśliwy. Stary Człowieku! – mówiła.

– I ty z tego powodu płaczesz?

Nie odrzekła już ani słowa i tylko, stłumiwszy łkanie, wpatrywała się w złocistą tarczę Ziemi...

I znowu długi czas upłynął w milczeniu.

Wreszcie Ada podniosła głowę i spojrzała mi w twarz dziwnie przenikliwym wzrokiem.

– Tutaj na Księżycu jest wszystko smutne i nieszczęśliwe, nawet ty – rzekła. – Po co ty tu przyszedłeś? po co... z tej gwiazdy...

Urwała, a po chwili odezwała się znowu.

– Tamci, moi rodzice, pomarli. A dlaczego ty nie umierasz?

– Nie wiem.

Powiedziałem prawdę; nie wiem istotnie, dlaczego ja nie umieram.

W owej chwili lęk mnie znowu zebrał, bo przyszła mi na myśl ta okropna księżycowa gadka, że ja nie umrę nigdy.

Ada tymczasem milczała przez jakiś czas, aż wreszcie odezwała się głębokim, stłumionym głosem, sobie samej odpowiadając:

– Bo ty jesteś Starym Człowiekiem. A mimo to jesteś nieszczęśliwy...

– Właśnie dlatego – odparłem bezwiednie.

Schodząc po jakimś czasie z góry, doznałem jeszcze złudzenia, które mi łzy wycisnęło z oczu. Oto, gdy nagle na skrócie zobaczyłem namiot Jana i towarzyszy, stojący na tym samym miejscu, gdzie niegdyś stał nasz, zdawało mi się przez krótką chwilę, że w tym namiocie oczekuje mnie Marta z maleńkim Tomaszem przy piersi i Piotr zadumany jak zwykle, ale jeszcze młody i nie tak złamany, jak później, tam nad brzegiem morza.

To rozkoszne złudzenie mojej starczej myśli rozwiął brutalnie widok karłów, kręcących się dokoła namiotu.

Spostrzegłszy ich, zatrzymałem się z jakąś nagłą wewnętrzną odrazą. Ada zauważyła to.

– Ty nie chcesz iść do nich, Stary Człowieku? – zapytała.

Cóżem miał odpowiedzieć? Obejrzałem się mimo woli na Ziemię; zeszedłem już był w dolinę: tylko rąbek jej widno było na widnokręgu.

Ada, schwyciwszy moje przelotne spojrzenie, zrobiła ruch przerażenia, a potem złożyła błagalnie ręce:

– Nie! nie! jeszcze nie teraz! Oni cię jeszcze potrzebują-

Bała się, abym nie wrócił tam, do ojczyzny mojej!

– Czy myślisz, że mogę powrócić na Ziemię? – rzekłem.

– Możesz wszystko, co zechcesz – odparła – ale... nie chciej!

Przyszedłszy do namiotu, znużony i rozstrojony, położyłem się spać, ale sen miałem bardzo niespokojny. Przede wszystkim przez parę godzin nie pozwalały mi zasnąć szepty mych towarzyszy za płócienną ścianą, którzy otoczywszy Adę, wypytywali ją o mnie, com podczas wycieczki mówił, co robił?... Drażniły mnie strasznie te głosy, a gdym wreszcie zasnął, śniły mi się ubiegłe czasy, Marta, księżycowa pustynia i Ziemia! Ziemia!...

*

Męczą mnie te sny... Chciałbym już zostać sam. Towarzystwo tych ludzi, co przyszli tu ze mną, męczy mnie już i nuży. Zdaje mi się, że stoją bezustannie między mną a Ziemią i cień jakiś rzucają mi na duszę.

A oni tymczasem ani myślą o odjeździe! Rozłożyli się obozem na równinie, urządają się i robią zapasy, jak gdyby mieli wieki tutaj mieszkać. Czyżby może łudzili się, że zdołają z czasem i mnie nakłonić do powrotu?

Kto wie czy nie ma w tym wszystkim ręki Ady? Coraz więcej zadziwia mnie ta kobieta. Czasem nie wiem już doprawdy, czy mam rzeczywiście z obłąkaną do czynienia, tak mi się jej czyny i słowa w nowym przedstawiają świetle. Bo czyż to nie jest zastanawiające, że ta szalona jest właściwie najrozumniejsza ze wszystkich tutaj urodzonych ludzi?

A zresztą, co mnie to wszystko obchodzi? Wszakże jestem człowiekiem z innego świata, człowiekiem odchodzącym już i tak nad wszelki wyraz, tak okropnie znużonym tym, co przeżyłem.

O! gdyby ci ludzie zechcieli dać mi nareszcie spokój i odejść, pozostawić mnie w samotności!

Ziemia moja, Ziemia! ty nie wiesz, jak mi ciężko żyć bez ciebie i jak bym pragnął już umrzeć! Bodaj jutro, dziś, zaraz...

*

Cóż ja za bluźnierstwo napisałem! Wczoraj jeszcze pragnąłem umrzeć, a dziś chcę żyć, muszę żyć jeszcze bodaj kilka dni księżycowych – potem niech się dzieje co chce! Szum mam w głowie, a jakąś pełnię niewysłowioną i rozkoszną w piersi. Tak jest, tak jest! muszę tego dopełnić, muszę!

Chwała Bogu, że wóz nasz stary mam ze sobą i pod dostatkiem zapasów...

A przecież to takie proste! Dziwna, że wcześniej nie pomyślałem o tym!

O Ziemia! o bracia moi ukochani! nie jestem ja tak opuszczony i oderwany od was, jak sam do niedawna jeszcze sądziłem – mam sposób przesłania wam wiadomości o sobie i – chociaż mi życiem przyjdzie zapłacić za to – uczynię to, tak mi Boże dopomóż!

Umrę wtedy na pustyni, w pełnym blasku mojej gwiazdy i matki, lecz przedtem...

*

Obym ją znalazł! O niej teraz tylko myślę, o niej marzę i dalibóg, nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu pragnąłem tak spotkania ukochanej kobiety, jak dziś pragnę znaleźć ją, tę armatę, zostawioną przed pięćdziesięciu laty przy grobie O'Tamora!

Gdy przyszło mi to po raz pierwszy na myśl, ogarnął mnie istny szal radości, zdawało mi się, że zstępuje na mnie jakieś objawienie cudowne, które mi wskazuje sposób porozumienia się z bracią moją, pozostałą na Ziemi!

Bo doprawdy, pięćdziesiąt ziemskich lat tu żyję, a dotąd ani razu nie pomyślałem o tym, że tam na Sinus Aestuum, wśród kamiennej pustyni przy grobie O'Tamora, stoi armata wymierzona dokładnie w środek srebrnej tarczy ziemskiej i czeka tylko iskry, aby wyrzucić powierzony jej list w przestrzenie, ku Ziemi.

Tak jest, ja pójdę na martwą pustynię szukać tej armaty, pójdę szukać trupa starca O'Tamora w skalistym grobie, który jej tam pilnuje przez lat pięćdziesiąt, patrząc na Ziemię pustymi oczodołami... Wiem, że nie wrócę z tej wyprawy; zbyt jestem już stary i zbyt znękany, a nade wszystko nie mam dokąd wracać ani po co. Śmierć mną pogardziła, nie chciała przyjść po mnie tu nad morze, więc ja pójdę naprzeciw niej, w ten kraj okropny, gdzie zaprawdę musi być jej siedlisko.

I spocznę tam na wieki obok O'Tamora i wystrzelonej armaty, na skałach, pod jasnym kręgiem Ziemi u zenitu... Byle jak najprędzej!

Ale przedtem... Serce mi bije gwałtownie! Przedtem zwinę ten pamiętnik, tę księgę boleści, którą niegdyś chciałem pozostawić przyszłym księżycowym ludziom, przycisnę do piersi, ucałuję i pošlę w kuli, jak list w stalowej kopercie, do was, o bracia moi dalecy, ukochani bracia moi!

Marzę o tym z bijącymi tętnami w skroniach, jak tam na Ziemi znajdzie ktoś kulę stalową – może po tygodniach dopiero, może po latach, po wiekach? – a otworzywszy wyjmie z niej zwitek papierów... Będziecie wtedy, o bracia moi nieznani, czytali to, com pisał z nieustanną myślą o was i o wspólnej matce naszej. Ziemi, którą wy znacie w zieleni, w przepychu kwiecica i srebrzystościach zimowych poranków, a ja znam także jako światło niebieskie, przeczyste i spokojne, płonące od wieków nad krainą ciszy i śmierci!

O bracia moi! wy nie wiecie, jak piękna jest matka wasza, gdy się patrzy na nią przez nieba otchłanie! I nie wiecie, jak ja tęsknię za nią i za wami i przeklinam to niebo, które między nami legło, choć mi tak blaskiem maluje ojczyznę moją!

*

A więc tak było:

Słońce stanęło już po raz trzeci nad pustynią i po raz trzeci Ziemia szerniała nowiem od chwili, jak przybyliśmy po długiej i uciążliwej podróży do Kraju Biegunowego, kiedy Jan, zaszedłszy mnie zamyślnego na wzgórzach, odezwał się z nagłą:

– Stary Człowieku, czas wracać!

Drgnąłem na te słowa, a tak byłem w myślach o Ziemi pogrążony, że ich nie rozumiał zrazu i sądziłem, że on mnie wzywa do powrotu tam – skąd przyszedłem!

Ale on mówił tymczasem:

-Żony nas czekają i dzieci... Czas wracać nad morze do Ciepłych Stawów, do pól naszych i zagród. Stary Człowieku...

Mówił nieśmiało, jakby pytał raczej, a nie żądał, lecz w głosie jego i twarzy wyczytałem mimo to niezłomne postanowienie.

I nagle zdjęła mnie ogromna żalność: ci ludzie przybyli tu ze mną i myślą teraz o powrocie, o rodzinach swych, o ojczyźnie, do której tęsknią i którą wnet zobaczą – a ja?... Mój dom, moja rodzina i ojczyzna tam – na niebie! ani mi do niej powrócić, ani żyć w niej kiedy, choć przecież pewnie stokroć gorsza tęsknota żre mnie za nią niż tych ludzi za kawałkiem Księżyca nad brzegiem księżycowego morza! Zazdrość mnie ogarnęła.

– Wracajcie! – odparłem sucho.

– A ty? – zawołał Jan z najwyższym zdziwieniem i przerażeniem, cofając się o krok przed zamaszystym ruchem mej ręki, którą mu wskazałem drogę na południe, i poglądając ku mnie w górę.

– Ja zostanę tutaj. Wszakże wam mówiłem, biorąc was w drogę ze sobą, że odjeżdżam, aby nie powrócić już nigdy...

– Tak – szepnął Jan – ale ja myślałem, że z czasem przecież... Tu nie jest dobrze dla ludzi...

– Więc wracajcie. Ja zostanę.

Teraz nie odrzekł ani słowa. Pochylił tylko głowę, jakby ugodzony ciężarem w kark, i odszedł szybko – do Ady! –pomyślałem od razu – po radę!

Jakoż nie omyliłem się. Po chwili przyszła księżycowa kapłanka. Byłem przygotowany na jakąś śmieszna scenę z dodatkami tłumnych próśb, zaklęć, a nawet płaczu, w rodzaju tej, która się odegrała przed wyruszeniem w drogę – jakież mnie tedy ogarnęło zdziwienie, gdy Ada przyszła sama i cicha i nie pytając o nic ani prosząc, rzekła tylko:

-Zostajesz tutaj, aby patrzeć na Ziemię, Stary Człowieku?

Skinąłem głową milcząco.

– Ale tam nie odejdziesz jeszcze? – to mówiąc wskazała ruchem głowy Ziemię i leżącą pod nią martwą księżycową pustynię.

Mimo woli spojrzałem w ową stronę i wtedy nagle zaświtała we mnie po raz pierwszy ta myśl. że mógłbym się udać tam. na pustynię, którą przed pięćdziesięciu laty przebywałem z towarzyszami, aby przynajmniej na krótki czas, nimbym umarł z wyczerpania, czuć się bliższym Ziemi, mieć ją wprost ponad głową. Dzisiaj myśl ta owładnęła mną już niepodzielnie, towarzyszy każdemu memu ruchowi i pozbyć się jej nie mogę, ale wówczas był to pierwszy przebłysk zaledwie, któ-

ry na razie wnet stłumiłem, sądząc, że jest to rzecz niemożliwa – jak gdyby śmierć stała już u kresu możliwości i niepodobna było kupić tego, za co życiem trzeba zapłacić.

– Tam nie odejdziesz? – powtórzyła kapłanka. Zawahałem się.

– Nie. Jeszcze nie.

– Więc... czy nie mógłbyś jeszcze powrócić z tymi biedakami nad morze? Oni tak pragną mieć cię wśród siebie.

– Nie – odpowiedziałem ostro, widząc, że się już zaczynają prośby – zostanę tutaj.

– Jak ci się podoba. Stary Człowieku. Oni będą bardzo smutni, ale... jak ci się podoba, tak zrobisz. Gdy wrócą sami, zapytają ich ci, co pozostali w domach: A gdzie jest Stary Człowiek, na którego patrzyliśmy od dziecka? Oni zaś spuszczą tylko głowy i odpowiedzą: Opuścił nas. Ale jak ci się podoba. Ostatecznie wiedzą, że jesteś gościem wśród nich i że przyjdzie czas, kiedy się będą musieli rządzić sami.

– Ty im zostaniesz i będziesz nimi rządzić. Nawet Jan cię słucha i poważa.

– Nie, ja nie zostanę z nimi.

Spojrzałem na nią zdziwiony, a ona po krótkiej chwili wahania schyliła się do moich kolan:

– Mam prośbę do ciebie. Stary Człowieku...

– Mów.

– Nie odpędzaj mnie!

–Co?

– Nie odpędzaj mnie. Pozwól mnie zostać ze sobą.

– Ze mną tutaj? w *Kraju Biegunowym*?

– Tak jest. Z tobą w *Kraju Biegunowym*.

– Ależ dlaczego? cóż ty tu będziesz robić? Tam są twoi bliźni, nad morzem!

– Ja wiem, ty nie jesteś mój bliźni, bo ty jesteś z gwiazd dalekich, jak wiem, ale pozwól mi...

Zamyśliłem się nad tą dziwną prośbą.

– Dlaczego chcesz pozostać ze mną? – spytałem wreszcie po raz drugi – tutaj nie jest dobrze ani wesoło...

Ada pochyliła głowę i głosem stłumionym, głębokim, ale mocnym odpowiedziała:

– Bo ja cię kocham. Stary Człowieku. Milczałem, a ona po chwili ciągnęła dalej:

– Wiem, że to jest karygodna zuchwałość, gdy mówię do ciebie, że cię kocham, ale ja nie umiem nazwać inaczej tego, co czuję. Rodziców moich już nie pamiętam prawie. Przypominam sobie tylko, że byli nieszczęśliwi. Na ciebie patrzę od dziecka i widzę w tobie wielkość jakąś, jakieś światło, jakąś potęgę, coś, czego nie znam, ale wiem, że z gwiazd tu przyszło z tobą.

Umilkła, a gdy m zdumiony, wsłuchiwał się jeszcze w przebrzmiałe jej słowa, podjęła znowu:

– A przy tym i ty byłeś nieszczęśliwy i taki samotny, samotny przez całe życie, jak ja. Nie wiem, po co przyszedłeś z tej gwiazdy jaśniejącej na Księżyc... Tak chciałeś... Wiem, że robisz wszystko, co zechcesz, wystarczasz sobie i mnie nie potrzebujesz, ale ja ci chcę służyć i być z tobą do ostatka. Nie odpędzaj mnie. Ty wielki, ty dobry i mądry!

To mówiąc schyliła się znowu do moich nóg i tak już pozostała z czołem na moich kolanach.

– A gdy zechcesz już odejść, powrócić do swej jaśniejącej na niebie ojczyzny – mówiła znowu po jakimś czasie – to ja odprowadzę cię aż po kraniec tej wielkiej i martwej pustyni, pożegnam i będę patrzeć jeszcze długo, długo za tobą. Stary Człowieku, aż mi znikniesz sprzed oczu, a wtedy wrócę do ludzi nad morskim brzegiem i powiem im tylko: On już odszedł... Potem umrę.

Tymczasem, gdy tak mówiła głosem rozplywającym się w obcym dotąd u niej dla mnie szepcie marzenia, księżycowi ludkowie, podkradłszy się już blisko, nad słuchiwali jej słów z zapartym oddechem, i nagle usłyszałem stłumiony głos Jana:

– Stary Człowiek odejdzie od nas... na Ziemię! A potem płacz. Dziwny, przejmujący, półcichy płacz i szczegółna! Zwykle drażnił mnie i gniewał płacz tych antropomorfów, a teraz, nie wiem, czy to wobec wzruszenia, jakie wywołały we mnie niespodziewane słowa Ady, czy wobec tej budzącej się myśli o ostatecznej podróży na pustynię pod świecą się Ziemię: dość, że przejął mnie wielki smutek i litość.

Zwróciłem się ku nim, a Jan, ośmielony snadź moim wzrokiem, postąpił parę kroków i odezwał się spoglądając mi w oczy:

– Stary Człowieku, czy to już nieodwołalne? Czy tam cię już oczekują? Czy zapowiedziałeś już swe przybycie? Musimyż pozostać sami?

W tej chwili –jakby mnie kto obuchem uderzył w głowę! Jeden błysk, jedna myśl:

Armata!

Tak jest! armata! przy grobie O’Tamora, tam, na pustyni!

Zakołowało mi wszystko przed oczyma; obiema rękami przycisnąłem serce, bojąc się, by mi snadź piersi nie rozsadziło.

Oczy utkwilem w rąbku tarczy ziemskiej, widnym nad horyzontem, a przez myśl szły mi teraz jakieś szalone błyskawice: podróż, pustynia, armata, strzał, bracia moi ziemscy, ten pamiętnik... a potem szara mgła, roztopiająca w sobie wszystko: zrozumiałem, to śmierć!

Zapomniałem zupełnie, gdzie jestem, co się dokoła mnie dzieje. Oni w oniemieniu patrzyli na mnie, snadź z najwyższym zdziwieniem, aleja ich nie widziałem. Jak przez sen doleciał mnie tylko głos Ady:

– Odejdźcie, Stary Człowiek mówi ze Ziemią. Wkrótce nas opuści.

Gdym oprzytomniał nieco z pierwszego, piorunującego wrażenia, jakie ta myśl na mnie wywarła, spostrzegłem, że jestem sam.

Zrozumiałem, że to jest objawienie, że muszę iść na pustynię, znaleźć armatę, przesłać Ziemi ostatnią wieść i ostatnie pozdrowienie i – umrzeć na pustyni.

W jakiś czas opowiedziałem Adzie i Janowi o swym postanowieniu; przyjęli to z głowami posepnie spuszczoneymi, ale bez słowa oporu, jak gdyby byli na to przygotowani.

O powrocie ich teraz nad morze nie ma już mowy. Chca pozostać tutaj aż do chwili mego odjazdu.

Obecnie, gdy stanę twarzą ku Ziemi, mam słońce po prawej stronie, nim zatoczy pół kręgu i stanie po stronie lewej, niosąc dzień na pustynną półkulę – wyruszę w drogę.

*

Skończyła się tedy moja księżycowa tragedia! Jestem tutaj, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem na Księżycu łąki, zieloność i życie; wówczas przybyłem tu, odbywszy podróż przez śmiertelną pustynię – obecnie wybieram się, aby przebyć ją po raz drugi i ostatni.

Chmurno jest w sercu moim, ale spokojnie. Patrząc na minione życie i zdaje mi się, że czas jest zrobić rachunek sumienia. Chciałbym, tak jak czynią na Ziemi ludzie na śmierć się gotujący, wypowiedzieć się z grzechów, a dziwna rzecz! na usta cisną mi się nieszczęścia moje. Byłoby to oboje jednym i tym samym?

Więc Ty, Panie, który słyszysz snadź zarówno głos najlichszego robaka, jak łoskot światów w przestrzeń pędzących, który widzisz mnie tu na Księżycu tak, jak niegdyś widziałeś mnie na Ziemi, przyjm tę

spowiedź, przez którą Ci wyznawam, że byłem grzeszny i nieszczęśliwy!

Oto gdy byłem dzieckiem, ciasno mi było na Ziemi, którąś dla mnie zbudował, i wylatywałem nieustannie, w skrzydła tęsknoty ubraną myślą do tych światów odległych, błyszczących na firmamencie, tak że pieczęt matki odbiegałem, aby marzyć o cudach, któreś Ty stworzył – nie dla mnie! – Byłem grzeszny i nieszczęśliwy...

Kiedym dorastał i pochłaniał te okruszyny wiedzy, któreś ty ludziom zdobyć pozwolił, dusza wciąż we mnie krzyczała: mało! i śniła o zrywaniu siedmiorakich pieczęci i podnoszeniu zasłon. Twoją zasuniętych ręką. Grzeszny byłem i nieszczęśliwy.

A zaledwie stałem się mężem, opętała mnie żądza bujania w przestworzach – jak gdybym, stojąc na Ziemi, nie był również w bezmiarach wszechświata i nie unosił się nad otchłaniami – i skorzystałem ze sposobności i z lekkim sercem rzuciłem matkę-żywicielkę dla srebrnej, uwodzącej lunatyków twarzy Księżycy. Grzeszny byłem, Panie, i jestem nieszczęśliwy...

Patrzyłem na śmierć towarzyszy i przyjaciół, łamiąc się w duchu, a gotów byłem walczyć z nimi o odrobinę powietrza, potrzebną dla utrzymania życia, albo o kobietę, która nie należała do żadnego z tych, co po nią ręce wyciągali... A kiedy byłem świadkiem jej nieszczęścia, którego sam biernym sprawcą się stałem, nie uczyniłem nic, aby ją z niego wybawić... Grzeszny byłem i nieszczęśliwy...

Zostałem sam na tym okropnym świecie, na który mnie własna wola zaniósł, a mając sobie powierzone młode pokolenie ludzkie, nie umiałem rozbudzić w nim ducha ani zwrócić ócz jego ku niebu... Owszem, miasto miłości, pogardę miałem dla nieszczęśliwych i zezwoliłem, aby mnie czcili, podczas gdy Tobie jednemu cześć się należy... Byłem grzeszny i nieszczęśliwy...

A teraz łamany bólem, znużony tęsknotą, opuszczam tych powierzonych losom mej pieczy i przewodnictwu i idę po ostatnią smutną rozkosz, po śmierć w obliczu Ziemi!

Grzeszny jestem. Panie! i nieszczęśliwy!

Życie moje rozłamało się na dwie wielkie części, z których jedna była pragnieniem rzeczy nieznanych, a druga tęsknotą za straconymi... A obie były smutne i nad wyraz bolesne...

A czegom pragnąłem, nie osiągnąłem, bo oto zaledwie o mamę krok posunąłem się we wszechświecie, a nawet nie znam tajemnic miejsca, gdzie się znajduję. Na darmo wszystko poświęciłem, na darmo prze-

brnąłem przestrzenie błękitu, przebyłem pustynię straszniejszą niż jakiegokolwiek na Ziemi, daremnie lat kilkadziesiąt żyłem na tym srebrnym globie: zagadki są dokoła mnie dzisiaj tak, jak przed potową wieku...

A po czym tęsknię – wiem, że nigdy nazad nie osiągnę.

I to jest całe życie moje!

O! czas, czas! że się już zakończy!

Z umiłowaniem i upragnieniem poglądam ku pustyni, na którą rychło strącę wóz, aby być samotnym – aż do śmierci.

Ci ostatni ludzie, których widzę, pozostaną tutaj... Wyjdą zapewne na górę i będą jeszcze długo poglądali za mną, za czarnym wozem, niknącym w zorzy słonecznej, a potem powrócą do swego ludu i powiedzą: Stary Człowiek już odszedł.

I z tego, z tych słów, wyrośnie tutaj kiedyś w przyszłości legenda, tak jak z naszego na ten świat przybycia!

Grzeszny jestem...

Zbliża się chwila odjazdu.

[Rozdział] VII

*

Na Mare Frigoris.

Jestem sam – i takim straszliwym lękiem przejmuję mnie ta bezbrzeżna samotność i głusza. Zdaje mi się, że już umarłem i płynę w tym wozie, jak w Charonowej łodzi, ku jakimś nieznanym krainom...

A przecież znam to bezdroże i widziałem już te góry, rysujące się na horyzoncie dokoła. Jechałem już tędy przed laty, przed długimi laty! Ale wtenczas dążyliśmy ku życiu, a teraz...

Boże! daj mi tyle sił jeszcze tylko, abym zdołał dotrzeć tam, do grobu O'Tamora! O nic Cię już więcej nie proszę.

Obiecałem księżycowemu ludkowi, że jeśli sił mi starczy powrócić z pustyni, zamieszkać już pośród nich do końca życia, ale ja wiem, że nie powrócę z pustyni...

Chociaż może potrzebniejsza by teraz była obecność ma przy Ciepłych Stawach niż kiedykolwiek.

Jeśli to jest prawdą...

Dziwną i straszną wieść usłyszałem w chwili odjazdu.

Słuchajcie mnie, ziemscy ludzie:

Już miałem siadać do wozu i żegnałem skupioną koło mnie gromadkę, gdy nagle u wejścia do kotliny spostrzegłem dwóch ludzi. W pierwszej chwili sądziłem, że to złudzenie, ale wkrótce niepodobna już było wątpić: dwóch karłów zbliżało się szybko ku nam. Jan spostrzegł ich także i wydał okrzyk:

– Posyłają za nami! Tam się musiało stać coś złego!

Jakoż nie omyliło go przeczucie – przybywali posłowie znad morza z dziwną a straszną wieścią.

Wkrótce po moim odjeździe z krainy Ciepłych Stawów śmiali awanturnicy, których miałem już za straconych, powrócili z wyprawy na południową półkulę. Ale powróciło ich dwóch tylko. Trzeci nie wróci nigdy. I ci dwaj takie przynieśli wieści, że co prędzej uradzono posłać za mną do Kraju Biegunowego i nakłaniać mnie do przyjazdu nad morze.

Dwaj wybrani posłowie ruszyli w górę za biegiem rzeki, a potem kierując się słyszany mi niegdyś opowiadaniami Ady, dostali się na wyżynę ponad Równinę Jezior i stąd, przedzierając się wąwozami, trafili szczęśliwie i dość wcześnie do biegunowej kotliny.

Słuchałem niecierpliwie tego opowiadania, pragnąc dowiedzieć się wreszcie szczegółowo, co ich skłoniło do tak nadzwyczajnej podróży?

Wreszcie posłowie, nagabywani przeze mnie i Adę, poczęli, przezywając sobie wzajemnie, opowiadać historię wyprawy owych awanturników.

Z chaotycznych wyrazów i zdań dowiedziałem się jeno tyle, że przy sprzyjającym i nader silnym wicherze na saniach opatrzonych żaglami przebyli w ciągu długiej nocy lotem strzały zamarznęte morze i dotarli o wschodzie słońca do przeciwległego brzegu na południowej półkuli. To było jasne, ale dalej trudno się było połapać w tym wszystkim, co mówili... Zresztą było to takie nadzwyczajne...

Wśród gór na rozległych równinach mają tam mieszkać jakieś dziwne istoty, pół ludzkie, a pół zwierzęce, kryjące się przed mrozem w głębokich jamach, wykopanych dokoła rozwalających się w gruzy, od wieków snadź opuszczonych miast. Z tymi to istotami, nad wyraz drapieżnymi, musieli podróżnicy staczać walki, z których, postradawszy tylko jednego towarzysza, wyszli zwycięsko jedynie dzięki posiadaniu broni palnej. Z powrotem uciekali w najwyższym przestachu, bo owe istoty goniły ich zawzięcie po lodach.

– To są złe potwory! – mówił opowiadający trzęsąc się na samo ich wspomnienie – małe, ale bardzo złe! Musieliśmy uciekać, bo ich jest dużo, dużo, i są złe! Mają takie, o, długie ręce i dzioby zamiast ust... Kaspra pochwyciły na długi sznur i rozszarpały, a potem zawlokły trupa do głębokiej jamy, w której mieszkają. Tam kraj jest piękny, ale te potwory złe! Towarzysze biednego Kaspra opowiadali nam o tym. Te potwory ich goniły, ale oni mieli sanie z motorem i psy, więc zdołali uciec, choć z wielkim trudem. O! tam jest kraj dziwny! bardzo dziwny, za morzem, na południu. Tam stoją wielkie wieże, ale rozwalone, są jakieś ogromne maszyny czy fabryki, ale popsute, zarosłe. Te potwory pilnują tego i kłaniają się wieżom, zdaje się jednak, że nie wiedzą, co z tym robić. Mieszkają w jamach i są złe.

Daremnie wypytywałem chcąc się dowiedzieć bliższych szczegółów o owych istotach, żyjących za księżycowym morzem: nic nadto nie umieli mi powiedzieć. Usłyszałem tylko jeszcze historię powrotu podróżników zza morza, okropną, dreszczem przejmującą Odyseję! Wiatr z powrotem im nie sprzyjał, więc też nie starczyło jednej nocy na przebycie morza. Łód już puszczał rankiem, gdy przerażeni dotarli szczęśliwie do jakiejś drobnej i –pustej prawie wysepki, na której chroniąc się w jamach przed straszliwym równikowym upałem, przesiedzieli cały dzień w oczekiwaniu nocy i mrozu, aby się puścić po łodzie dalej z powrotem. Drugiej nocy wichur odrzucił ich daleko na zachód, a na domiar złego zepsuł im się motor przy końcu podróży, tak że walcząc z niewysłowionymi trudami, musieli iść pieszo morskim wybrzeżem, powierzywszy psom ciągnięcie sań po piasku.

I oto dotarli wreszcie do krainy Ciepłych Stawów, ażeby się dowiedzieć, że Starego Człowieka już tam nie ma.

– Więc czego chcecie ode mnie? – spytałem wysłuchawszy tego zadziwiającego opowiadania.

– Broń nas, Stary Człowieku, broń! – zakrzyknęli równocześnie obaj posłowie. – Złe nam się dzieje bez ciebie i nieszczęścia na nas spadają! Te potwory drapieżne przebędą teraz niewątpliwie morze, kiedy się już dowiedziały o naszym istnieniu, i będą walczyć z nami, gnębić nas, trapić! A ich jest więcej! znacznie więcej niż nas!

Ze złożonymi rękoma rzucili mi się do kolan; czułem utkwione w sobie pytające, niespokojne i błagalne spojrzenia Jana i jego braci – Ada tylko była nieruchoma i na pozór obojętna.

A ja stałem do głębi wstrząśnięty, wahający się jeszcze, niepewny, co powiedzieć, co zrobić, uderzony nie tyle możliwością najazdu

owych istot na ludzką kolonię księżycową, co samą wieścią, że tu żyją jakieś istoty i rozumne, jak się zdaje. Była chwila, kiedy już myślał wyrzec się ostatniego szczęścia, umiłowanego zamiaru przesłania wieści o sobie wam, ziemscy bracia moi, aby pozostać wśród księżycowego pokolenia, poznać owe dziwne, potworne narody, mieszkające za morzem, o których istnieniu dowiedziałem się dopiero teraz, przypadkiem, po kilkudziesięcioletnim tu pobycie, a w razie potrzeby bronić przed nimi potomstwo moich pomarłych przyjaciół.

Ale krótko trwało to wahanie. Jakiś bezbrzeżny smutek mnie ogarnął. I co mnie obchodzą księżycowe narody, te z Ziemi przybyłe i tamte, szczątki jakiegoś dawnego księżycowego ludu, mieszkające jak krety w jamach dokoła rozwalonych miast, w których snadź niegdyś panowali dumnie ich przodkowie? Niechaj się żrą, niech walczą, niech się wygubią wzajemnie... Co mnie to obchodzi? Stary jestem i nie wiem, czy mi życia stanie, aby odbyć daleką, śmiertelną podróż na bezpowierzną pustynię – mamże je marnować teraz dla głupiej litości lub głępszej jeszcze ciekawości? A kto mi zaręczy zresztą, że opowiadanie tych dwóch szaleńców jest prawdziwe? Może to nie miasta tam stoją, lecz skały spiętrzone? może owe rzekome narody księżycowe są tylko bezrozumnymi zwierzętami? Stary już jestem i nie mam czasu przekonać się o tym, bo pilno mi umrzeć tam, przy grobie O'Tamora, w pełnym blasku Ziemi.

– Nic wam już pomóc nie mogę – szepnąłem wreszcie –myście sami o sobie. Podróż mnie czeka nieodwołalna, a droga moja w innym kierunku wiedzie niż wasza...

– Wiedziałam, że tak odpowiesz – odezwała się Ada, podczas gdy ja stawałem już nogę na stopniach wozu. Ale Jan chwycił mnie jeszcze za kolana:

– Przyrzeknij nam tylko – zawołał –jeśli inaczej być już nie może, przyrzeknij nam, że powrócisz do nas z tej pustyni, dokąd zmierzasz! Będziemy cię oczekiwali i myśl o tobie będzie nas krzepiła w walkach, które stoczyć nam wypadnie!

Zawahałem się.

– Jeśli sił i życia stanie, powrócę! Ada zwróciła się ku gromadce:

– Powróci, ale tam!

To mówiąc wyciągnęła rękę ku rąbkowi Ziemi, błyszczącemu nad widnokregiem.

Byłem już w wozie i rękę trzymałem na sterze, gdy doleciały mnie jeszcze ostatnie jej słowa:

– A tutaj przyjdzie znowu dopiero po wiekach, po wiekach... gdy się dopełni...

*

Na Mare Imbrium, pod Trzema Głowami.

Straszliwą przebyłem drogę, dążąc ku wam, o bracia moi! Kamienne przerażenie mnie chwyta, gdy pomyślę o tej samotności bezdennej i o przeprawach onych przez góry, rozpadliny, pustynie rozległe i martwe. Płynąłem przez morza ciemności sam i piekła ogniste mam jeszcze przed sobą, żary oślepiające i mrozy nielitościwe. I pustkę... pustkę...

Inną drogą się tutaj dostałem niż ta, którą przebywaliśmy niegdyś – ale niemniej straszliwą. – Obawiając się pamiętnej groźnej rozpadliny w Poprzecznej Dolinie, abym snadź w niej nie uwiązł, okrążyłem z Morza Mrozów pierścień Platona od zachodu i tak się dostałem na tę wielką równinę, która mnie aż pod stopy Eratosthenesa powiedzie...

Po cóż mam opowiadać straszliwości dotychczasowej przeprawy? – gorsze mnie jeszcze pewno rzeczy czekają.

Byłem też na miejscu, gdzie ongi widzieliśmy Miasto Umarłych. Ale pustynia tam gładka, nie dojrzałem nic, ani skały nawet, ni śladu...

Czy wtedy nas zmysły łudziły, czy pomyliłem się teraz w pomiarach i minąłem z dala to miejsce przekłete?

A może karawana trupów zwinęła tymczasem kamienne namioty i poszła dalej na pustynię, na bezbrzeżną śmierci równinę?...

Lęk idzie za mną, idzie lęk przede mną – a ja z okropną ostatnią samotnością swoją...

Słońce wstaje rozlśnione – błyszczą gwiazdy różnokolorowe na czarnym aksamitnym niebie-i strasznie... strasznie... I po co mam szukać Miasta Umarłych – znajdę je rychło, dość rychło – czyż to nie jest Kraj Śmierci dookoła mnie?

*

Pod Eratosthenesem.

Jeszcze ostatni, krótki wysiłek... Ostatnia góra, ostatni szczyt. Okrążę go od zachodu i południa i tak się dostanę na Sinus Aestuum – i stamtąd, znad grobu kamiennego starca O'Tamora...

Dzikię, poszarpane turnie przede mną – i Ziemia, już prawie w zenicie, w pełni jak kwiat rozwinięta – i słońce tuż pod nią...

Starczy jeszcze żywności i starczy powietrza – oby sił jeszcze starczyło! Ubywa mi ich coraz więcej, gwałtownie, nagle... Wiem, że umrę tutaj... Sypiać już z dawna nie mogę, nawet w nocy, nawet w czas południowego żaru. Gdym zasnął po raz ostatni, kędyś w pośrodku Morza Dżdżów po słońca zachodzie, prześladowały mnie we śnie różne głosy i zwidzenia... Naprzód zdawało mi się, że słyszę za sobą wołanie pozostawionego ludu, który mnie błagał, abym powrócił i bronił go przed księżyczanami, którzy przebyli już równikowe morze i palą mu chaty, i zabijają żony i dzieci... Zaledwie usnąłem, zbudzony tą marą, gdy znowu pokazały mi się postacie moich zmarłych przyjaciół i towarzyszy. Witali mnie pośród siebie i wzywali, abym do nich poszedł, cień między cienie – błądzić po pustce na wiekiistość... A wreszcie śniło mi się, że mnie wołano ze Ziemi – i to był jedyny głos, któremu odpowiadała cała moja istota.

Zbudziłem się i idę za tym głosem, o bracia moi ziemscy – i wiem, że już nie zasnę, aż wtedy, gdy wolno mi będzie w śnie ostatecznym na zawsze przymknąć powieki.

To już niedługo – wszak prawda? – niedługo...

*

Nad grobem O'Tamora – w ostatnią godzinę.

Niech Bogu będą dzięki Najwyższemu: znalazłem drogę i miejsce owo... przekłete! gdzie po raz pierwszy dotknęła noga nasza księżycowego gruntu, i... błogosławione! skąd posłać mogę na Ziemię wieść o sobie.

Stoję nad trupem starca O'Tamora i dziwię się, widząc, że młodszy jest ode mnie, żywego. Lata przeszły nad nim, nie dotknawszy go, tak jak wiatr lekki przechodzi nad granitowymi skałami. Tu w tej pustce bezpowietrznej nie ma zepsucia: starzec O'Tamor wygląda tak, jak w chwili, gdyśmy – go opuszczali – patrzy nieustannie w błyszczącą Ziemię szeroko rozwartymi, martwymi oczyma. A ja, który młodzieńcem odszedłem od jego grobu, stoję teraz nad nim z siwą po pas brodą i resztką siwych włosów na wyłysiałej czaszce, i z przerażeniem w gasnących oczach...

Za długo żyłem, starcze O'Tamorze! za długo żyłem!...

Działo znalazłem: gotowe jest i nie zepsute; czeka na mnie od pięćdziesięciu lat z górą... A oto piszę ostatnie wyrazy, nim zamknę te papiery w kuli, która je poniesie ku Ziemi.

Zapasy żywności już się wyczerpały, powietrza starcza mi zaledwie na dwie lub trzy godziny. Muszę się spieszyć...

Od EXODU naszego dni księżycowych siedmset i siedm.

O, Ziemi! O Ziemi Utracona!

NA TYM URYWA SIĘ RĘKOPIS, ODNALEZIONY
W KULI SPADŁEJ Z KSIĘŻYCA.

Pisałem w Krakowie, w zimie 1901-2.